



Lynda Simmons

Niebezpieczny wdzięk

Z angielskiego przełożyły
Krystyna Chmiel Ewa Morycińska-Dzius



Shannonowi, który jest tyleż czarujący co niebezpieczny, z wyrazami sympatii

Podziękowania

Oto lista osób, którym chciałabym podziękować za wkład w powstanie tej książki:

Brianowi i Betty McGowan dziękuję za umożliwienie mi pogłaskania lamy i nawiązania bliższego kontaktu z kangurami Bennetta, strusiami afrykańskimi, emu i świnką wietnamską. Nigdy nie zapomnę Waszej szlachetności i gościnności.

Oldze Truchan i Dawidowi Scott dziękuję za wprowadzenie mnie za kulisy świata projektantów potraw i fotografików. Osobiste doświadczenia w tej dziedzinie zwiększają wiarygodność mojego pisarstwa.

Jackie Buchner z firmy aranżującej potrawy dla potrzeb filmu wyrażam wdzięczność za przybliżenie mi chwytów handlowych i warsztatu produkcyjnego telewizyjnych filmów reklamowych.

Dziękuję także Tomowi Decillis, który wie o grających szafach więcej niż ktokolwiek inny.

Michaelowi Hancockowi z Browarów Denisona składam podziękowanie za zapoznanie mnie z warunkami pracy w swoich zakładach, a firmie „Złota Podkowa” -za to, że historia Max ujrzała w ogóle światło dzienne.

Nie ma chyba na świecie książki będącej płodem tylko jednego umysłu. Tym większą wdzięczność winna jestem tym, którzy swoją wiedzą i doświadczeniem wspomogli publikację tej opowieści.

I

„To noc cudów!" krzyczał olbrzym z dachu stodoły.

Gromada roztańczonych elfów wpadła do zakładu fryzjerskiego i odegrała swój numer.

Jeszcze zanim smok przy bramie zaczął zionąć ogniem wprost w błotnik jej samochodu, Maxine Henley nabrała pewności, że wybrała nieodpowiedni weekend na powrót do domu.

- Przejścia nie ma! - ryknął smok, wciąż miotając iskry, kiedy toczył się ciężko w stronę jej samochodu. Max z westchnieniem opuściła szyby, obejmując wzrokiem zaklinaczy węży nad stawem, pasiaste namioty przy wybiegu dla koni i muszlę koncertową przy stajni. W powietrzu unosił się słodki zapach waty cukrowej, co wskazywało, że jarmarczne atrakcje przywabiały tłumy widzów, a co za tym idzie, przyniosą niezły dochód.

Jak co roku w dzień przesilenia letniego na farmie Henleyów odbywał się Jarmark Świętojański. Piętnaście lat temu matka Maxine po raz pierwszy zorganizowała tę imprezę w celu przyciągnięcia gości do swojego zajazdu, ale - w przeciwieństwie do „Świąt winobrania" i plenerów rzeźbiarskich pod patronatem fabryki konserw - pomysł jarmarku chwycił i przerodził się w coroczny festiwal, reklamowany w rubryce „Zobacz koniecznie" przewodników turystycznych po Blue Ridge.

Transparent nad bramą zachwalał te same atrakcje, o których ryczał olbrzym - „Chóry Elfów, Wróżek i Krasnoludków, Jakich Jeszcze Nie Widzieliście”.

Max z westchnieniem sięgnęła po portmonetkę. Rzeczywiście, jak mogła zapomnieć o krasnoludkach?

- A cóż to za stworzenie... - Smok zaczął swoją kwestię, ale gwałtownie urwał i wlepił w nią zdumione spojrzenie. - O rany, Maxine?

Zdjął przyprawioną głowę i wsadził przez okno rękę w szponiastej rękawiczce.

- Boże wielki, dziewczyno, jak miło znów cię widzieć!

- Ciebie też, Ben - odwzajemniła się Max, ale ściskając pokrytą łuskami łapę nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wprawdzie Ben Morgan trochę posiwiał od czasu, kiedy ostatnio go widziała, a wokół oczu przybyło mu zmarszczek, ale jak dawniej potrafił śmiać się od ucha do ucha, a rumieńce miał nawet żywsze. Można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, że jeśli on odgrywał rolę odźwiernego, to w olbrzymia na dachu stodoły wcielił się jego brat Tim. Potwierdzało to prawidłowość zaobserwowaną przez Max już przed laty, że w Schomberg w stanie Wirginia nic się nigdy nie zmieniało.

- Szkoda, że nie przyjechałaś wcześniej - narzekał, kurczowo ściskając jej rękę, podczas gdy równocześnie wyciągał z kieszeni pieczętkę. - Nie zobaczysz już poly-kaczy ognia ani tańczących wróżek, ale na tej estradzie do północy będzie coś się działo. A jak tam twoja ręka?

- Trochę trzeszczy w stawach - przyznała Max.

- Widzisz, to są skutki życia w mieście - dogadywał, przybijając jej na przedramieniu niebieską pieczętkę w kształcie tańczącej wróżki. Chowając pieczętkę do kieszeni dodał: - Od tego mięśnie wiotczeją.

Max miała na końcu języka nazwę siłowni w Nowym Jorku, gdzie jej zdjęcie wisiało na tablicy honorowej. Nie miała jednak kiedy powiedzieć mu o tym, bo już przejechał pazurami po dachu wozu i z szerokim uśmiechem zmienił temat:

- Słyszałem, że można ci już gratulować! Kiedy nadejdzie ten wielki dzień?

Max mogła się spodziewać, że jej matka nie będzie trzymać tej wiadomości w tajemnicy przed Benem. Ten, rzecz jasna, nie omieszkiał powtórzyć tego bratu, który z kolei podzielił się nowiną ze swoją żoną. Ta zaś w piątek wieczorem, kiedy grała w bingo, przekazała informacje dalszym osobom, aż w końcu całe miasteczko wiedziało, że Maxine Henley zamierza wstąpić w związek małżeński. W Schomberg bowiem plotki przemieszczały się lotem błyskawicy. Szczególnie jeśli dotyczyły kogoś z Henleyów.

Nie była na tyle naiwna, aby przypuszczać, że kursujące o niej pogłoski pójdą w zapomnienie. Dała sobie jednak słowo, że w ten weekend nie da się sprowokować do rozmów na ten temat. Uśmiechnęła się więc tylko do Bena i podniosła w górę lewą rękę, jakby od niechcienia śledząc grę świateł w brylancie pierścionka.

- Nie ustaliliśmy jeszcze dokładnej daty – bąknęła niedbale, czując, jak wargi krzywią się jej w uśmiechu. Dokładnie taką samą minę zrobiła, kiedy Peter wyrwał się ze swoim pytaniem.

No, może określenie „wyrwał się” nie było zbyt stosowne. Chyba lepiej zabrzmiałoby „rzucił pytanie”. Rzucił więc to pytanie podczas przygotowywania listy rekwizytów do ich najnowszego, wspólnego projektu -walentynkowej książki kucharskiej! W skład kompozycji wchodził biały obrus, czerwone róże i najdorodniejsze truskawki, jakie

była w stanie znaleźć. Peter odłożył wtedy długopis i wyciągnął pierścionek, a nakładając go jej na palec dodał:

- O ile, oczywiście, jesteś pewna, że nie wolałabyś po prostu zamieszkać ze mną.

Zaręczyny nie wyglądały więc tak, jak sobie wyobrażała, ale czy cokolwiek w życiu było dokładnie takie, jak się chciało? Może więc nie warto zawracać sobie głowy serduszkami i kwiatami, jeśli ważniejsze są wspólne dążenia i jednakowe zainteresowania, a to akurat ją i Petera łączyło.

- Pewnie pójdziemy do ołtarza latem przyszłego roku - poinformowała Bena, uwalniając rękę i kryjąc ją we wnętrzu samochodu. - Ponieważ jednak przez najbliższe dwa tygodnie mamy pracować w Wirginia Beach, chcieliśmy po drodze wstąpić na farmę, żebym mogła przedstawić go mamie.

Max wolała nie wspominać, że jej matka zdecydowanie odmówiła wyjazdu do Nowego Jorku. Upierała się, że ten tajemniczy Peter Ross powinien spotkać się oko w oko z przyszłą teściową na jej gruncie, aby usiąść z nią przy stole i dowiedzieć się dokładnie, do jakiej rodziny wchodzi.

„Jakby to miało jakieś znaczenie...” myślała Max, j spoglądając w stronę starego, chaotycznie zaprojektowanego domu. Nieruchomość ta należała do rodziny Henleyów od stu lat z górą, ale Max sprzedałaby ją bez j namysłu pierwszemu chętnemu.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna była jednak postąpić tak, jak radził jej Peter, czyli nie dać się zastraszyć i oznajmić mamie, że spotkają się na weselu. Tym razem jednak zgodziła się z Ewą, że nie należy całkiem rezygnować ze zwyczajów, nawet pozornie śmiesz-

nych i staroświeckich. Należało do nich, na przykład, upieranie się przy uroczystym ślubie, choć wygodniej byłoby po prostu zamieszkać razem.

A wszystko przez to, że okres dzieciństwa, kiedy kształtują się pewne nawyki, spędziła w Schomberg. Na szczęście jej własne dzieci nigdy nie będą musiały borykać się z takim obciążeniem.

Sięgnęła po torebkę rzuconą na sąsiednie siedzenie.

- Po ile w tym roku są bilety wstępu?

- Daj spokój, wchodzisz na koszt firmy. To prezent na nową drogę życia. A gdzie się podział szczęśliwy narzeczony?

- To jego jeszcze nie ma? - Max spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Miał przyjechać już kilka dni temu, żeby zawczasu sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na poniedziałek. Mówił, że pojedzie prosto na farmę, a ja miałam dołączyć później. - Zerknęła na zegarek w desce rozdzielczej i dodała: - Mam nadzieję, że się nie zgubił.

Peter należał do tego rodzaju ludzi, którzy rzadko zmiierzają prosto do celu, a zwykle wybierają drogi okrężne. Max jednak nie brała pod uwagę takiego wariantu, gdyż była pewna, że w razie jakichś kłopotów zadzwoniłby do niej.

- Kiedy tylko przyjedzie... - zaczęła, ale zaraz podskoczyła przerażona, gdyż osobnik w stroju krasnoludka wsadził znienacka głowę przez okienko jej samochodu. Z szerokim uśmiechem rzucił jej na kolana kamyk zielony jak szmaragd.

- Strzeż tego jak oka w głowie - wyszeptał. - To na dobrą wróżbę!

Mrugnął znacząco i znikł w cieniu, podczas gdy Max ze zdumieniem wpatrywała się w szkiełko leżące na jej kolanach.

-Skąd Ewa bierze takich oryginałów? - spytała Bena, który uśmiechnął się od ucha do ucha.

-Chyba nie ma w tym nic złego? Zobacz lepiej, co się dzieje nad stawem. Twoja matka w tym roku przeszła samą siebie.

-Wierzę ci na słowo - zbyła go Max, rzucając „szmaragd” na sąsiednie siedzenie.

Gdyby Peter już tu był, mogliby razem pójść nad staw, pojeździć na diabelskim młynie czy obejrzeć coś, co chciałyby mu pokazać. Mowy jednak nie było, aby poszła tam sama. Na farmie roiło się dziś od jej dawnych kolegów szkolnych, nauczycieli ze szkółki niedzielnej i Bóg wie, kogo jeszcze. Wszyscy ci z miejsca rzuciliby się na nią z gratulacjami i natrętnymi pytaniami w rodzaju: „Od jak dawna chodziliście ze sobą?”, „Planujecie mieć dzieci?” albo „Czy do ślubu zapuścisz sobie włosy?”.

Max machinalnie przeczesła palcami swoje krótko obcięte, lśniące, czarne włosy. Nie przywykła jeszcze całkiem do tej fryzury, ale z każdym dniem lepiej się w niej czuła. Z krótkimi włosami wyglądała nie tylko na prawdziwą profesjonalistkę, ale na dorosłą, poważną kobietę. Znudziło się jej bowiem wieczne wysłuchiwanie, że jest „słodka”.

Potrząsnęła czupryną i zdecydowała, że nie ma zamiaru narażać się na podobne uwagi. We wstecznym lusterku zauważyła czarny samochód kombi zjeżdżający z drogi głównej, więc wrzuciła bieg i posłała Benowi uśmiech.

-Gdyby Peter się tu pokazał, powiedz mu, że czekam na niego w domu - poprosiła.

-Dobrze, ale jak ja go poznam?

-Blondyn w srebrnym jaguarze. - Wzruszyła ramio nami, ale zro-

biło się jej głupio wobec mężczyzny, który mało tego, że nie odróżniał jaguara od saaba, ale, co istotniejsze, nie widział potrzeby takiego rozróżnienia. - Trudno go nie zauważyć.

- Dobrze, będę miał na niego oko. - Ben z powrotem nałożył smoczą głowę, ale nie odszedł jeszcze od samochodu, tylko ponownie zajrzał do środka. - Aha, Maxine, uważam, że powinnaś o tym wiedzieć. Gwen wróciła.

Max musiała przetrwać to, co usłyszała. Nie mógł się pomylić, na pewno chodziło o Gwen Harper, rudowłosą, piegowatą, o niebieskich oczach w uśmiechniętej buzi, dawną dziewczynę jej brata. Tę, która go zabiła.

- Wynajęła letni domek Connorsów - kontynuował Ben. - To jest przy...

- Wiem, gdzie to jest. - Celowo zniżyła głos. - Dawno tu przyjechała?

- Dwa tygodnie temu, ale rzadko schodzi na dół.

Sam ją tylko raz widziałem. - Przerwał, odprowadzając wzrokiem busik wjeżdżający w bramę. - Ewa nie chciała ci nic mówić, bo bała się, że nie przyjedziesz.

Max nie mogła mieć o to pretensji do swojej matki, bo rzeczywiście zrezygnowałaby z przyjazdu, gdyby się o tym wcześniej dowiedziała. Jednak już w momencie, kiedy lądowała na lotnisku, dała sobie słowo, że nie pozwoli, aby ktokolwiek zburzył jej szczęście. Była przecież narzeczoną, wkraczała na nową drogę życia i nikt ani nic nie był w stanie jej tego odebrać.

- Ja tu przyjechałam tylko na weekend, Ben - zapewniła, zdejmując nogę z hamulca. - Dopóki ona nie wejdzie mi w drogę, nie mam zamiaru jej niepokoić. Ale dziękuję ci, żeś mi o tym powiedział.

Skinął jej głową i wybiegł na spotkanie nadjeżdżających.

- Nie ma przejścia! - ryknął, dla większego wrażenia wypuszczając w powietrze długi, żółty płomień. Max roześmiała się na widok kierowcy busika, który przyhamował w miejscu około sześciu metrów przed bramą, a jego pasażerowie wyprostowali się gwałtownie.

- Widać, że są tu pierwszy raz - zauważyła.

- Uwielbiam takich gości! - rzucił jej Ben. - Może chcesz mi pomóc? Chyba jeszcze mam jakiś miecz we wieżycze strażniczej.

Max przez chwilę zmagala się z pokusą. Chętnie, jak przed laty, stanęłaby przy bramie, obserwując twarze przyjezdnych, których Ben straszył, udając smoka. Wystukiwała palcami rytm na kierownicy, próbując sobie wyobrazić minę Petera, gdyby mu smok zionął ogniem z pyska na błotnik. Uśmiechnęła się pod nosem, bo miałby nauczkę za to, że się spóźnił!

W tej chwili jednak miała na sobie tylko szorty i skąpy top, co raczej nie stanowiło odpowiedniego stroju dla asystentki smoka. No i od dziesięciu lat z górą nie trzymała w ręku miecza! Zresztą wolała mieć ten weekend jak najszybciej za sobą i nie chciała, aby ktokolwiek pomyślał, że zmieniła zdanie.

- Dziękuję, ale naprawdę nie mogę - przeprosiła i gdy Ben odchodził zawołała za nim wychylając się z samochodu. - Któregoś dnia musisz mi pokazać, jak się nosi ten strój.

- Wypraw kiedyś mamę ze mną do kina, a ja za to pokażę ci nawet, jak działa harfa olbrzyma!

- Sama pewnie w życiu bym na to nie wpadła?

- Nie w tym wcieleniu. Kiedy będziesz przejeżdżała, uważaj na pawie. Są trochę zdenerwowane przez to całe zamieszanie. - Zwrócił się do kierowcy busa, powtarzając swoją tradycyjną formułkę: - Cóż to za stworzenie...?

- Nie one jedne - zaśmiała się Max, kierując się w wąską uliczkę.

Zgodnie z kierunkiem strzałek dojechała do skrzyżowania, ale zamiast na parking skręciła w stronę swojego domu rodzinnego. Słońce już zachodziło, kiedy wyłączyła silnik i spojrzała we wsteczne lusterko. Trochę się obawiała, że na swojej drodze może napotkać jakieś rozgorączkowane wiedźmy, ale ku jej zadowoleniu tylko świetliki mrugały z otaczających dom krzaków. Była sama co jej najbardziej odpowiadało, więc kiedy ktoś wsadził rękę przez otwarte okno i klepnął ją po ramieniu, podskoczyła z przerażenia.

- Jak ja nie cierpię krasnoludków! - jęknęła i wystawiła głowę na zewnątrz. Nie napotkała tam jednak brodatego osobnika w czerwonej czapce, tylko spojrzała prosto w błyszczące żywą zielenią oczy. Kolor tęczy pasował do ich posiadaczki, gdyż okazała się eteryczną blondynką w zwiewnej, białej sukni.

- Nazywam się Ilona - wyszeptała tajemnicza kobieta. - Dostałaś szmaragd?

Max roześmiała się i sięgnęła po szkiełko.

- Krasnoludek mówił mi, że to na dobrą wróżbę, ale ja mu nie wierzę.

- Zawsze wierz krasnoludkom! - pouczyła ją blondynka całkiem poważnie, po czym wyciągnęła rękę. - Daj mi go, szybko!

Max wręczyła jej kryształek.

- To moja matka cię na mnie napuściła, prawda? - upewniała się.

- Nikt mnie na nikogo nie napuszczał. - Ilona zamknęła dłoń wokół szmaragdu, a kiedy ją otworzyła - na tym samym miejscu znajdowało się małe pudełeczko.

- Sprytna sztuczka! - pochwaliła Max, ale nieznajoma bez żadnych

komentarzy podniosła wieczko pudrera i coś stamtąd wyciągnęła. Mruczając pod nosem jakieś słowa, wcisnęła przedmiot w rękę Max i zacisnęła wokół niego jej palce.

- To stary amulet miłosny - wytłumaczyła. - Ma dużą moc, więc jeśli będziesz trzymała go blisko serca -przeznaczony ci mężczyzna odnajdzie cię, gdy tylko księżyc się uśmiechnie.

- Dobrze wiedzieć, bo już się bałam, że gdzieś przepadł. - Max z trudem powstrzymywała śmiech. Dobrze, że to, co Ilona wcisnęła jej do ręki, nie poruszało się, nie pulsowało, ani nie wydierało ciepła.

Odgięła palce i stwierdziła, że „amulet” to mała poduszeczka z czerwonego atłasu, na której złotą nitką wyhaftowano różę. Przypominało to nieudaną pracę wykonaną na szkolnych zajęciach praktycznych. Spojrzała więc w zielone oczy kobiety i wygarnęła otwarcie:

- Świetnie zagrałaś tę scenkę, ale powinni cię uprzedzić, że nie potrzebuję talizmanu miłosnego. - Demonstracyjnie pomachała ręką z zaręczynowym pierścieniem. - Akurat wychodzę za mąż. Gdybyś tak miała jakiś talizman gwarantujący karierę albo dobrą pogodę, bo właśnie wybieramy się na plażę...

Ilona ponownie zacisnęła palce Max wokół poduszeczki.

- Pamiętaj, masz go nosić w dzień i w nocy. Talizman musi czuć bicie twego serca i rytm twego oddechu. Dopiero gdy cię dobrze pozna, czarodziejską mocą przyciągnie do ciebie właściwego mężczyznę...

- Gdy tylko księżyc się uśmiechnie, tak? Dobrze, to już zapamiętałam. Ale właściwie kiedy księżyc się uśmiecha? - dodała ściszym głosem.

- Kiedy to zobaczysz, sama poznasz - szepnęła jej jemiście tonem

Ilona, oddalając się od samochodu.

Max wyciągnęła za nią rękę z amuletem.

- Naprawdę świetnie to zagrałaś, ale powinnaś raczej dać to komuś innemu.

- Mężczyzna, który jest ci przeznaczony... - szeptała Ilona, roz-
pływając się w mroku. - Znajdzie cię na pewno...

- Dobra, dobra! - roześmiała się Max w ślad za nią. Mniejsza o to, czy talizman był odpowiedni, czy nie, Ilona posiadała bezsprzeczne zdolności aktorskie. Cokolwiek działałoby się nad stawem rybnym, nie dorównywało jej maestrii.

Max rzuciła talizman na deskę rozdzielczą i wysiadła z samochodu. Przyjrzała się księżycowi, zachodząc w głowę, czy to, co widziała na jego okrągłej tarczy, można uznać za uśmiech. Zatrzęsnęła drzwiczki i brzęcząc kluczykami wsłuchiwała się w muzykę świerszczy, szum rzeki płynącej obok domu i trzaski stygnącego silnika. Pawie nie odzywały się, a do namiotu cyrkowego było na szczęście daleko. Schowała więc kluczyki do kieszeni i oparła się o karoserię, bo nie spieszyła się z wchodzeniem do domu.

W porównaniu z jej ostatnią bytnością w tych stronach nic się nie zmieniło. Te same góry widniały na horyzoncie, taki sam płot z białych sztachet otaczał posesję, a na ścianie wisiał ten sam szyld: „Zajazd Pod Pawiem to nie to samo, co zwykły motel”. Drzwi od frontu stały otworem, a wszystkie lampy się świeciły, chociaż Max dałaby głowę, że w pobliżu nie było ani jej matki, ani psa, ani żadnego z gości weekendowych.

Przypuszczała, że Ewa siedzi w tej chwili w namiocie i przepowiada przyszłość zarówno podnieconym nastolatkom, jak i łatwowiernym dorosłym. Każdemu wróżyła świetlaną przyszłość, pełną brunetów wieczorową porą i podróży za wielką wodę, co jednak nie ziściłoby się,

gdyby pozostali w Schomberg.

Sięgnęła do samochodu po telefon komórkowy, gdyż nagle zapragnęła porozmawiać z Peterem, aby stwierdzić, gdzie się znajduje, dlaczego się spóźnił i jak długo ona jeszcze ma sterczeć tu sama. Po trzecim dzwonku włączyła się poczta głosowa, powtarzając nagrany komunikat: „Dodzwoniłeś się do Petera Rossa, specjalisty fotografii kulinarnej...”

-Pięknie! - mruknęła Max, odkładając komórkę na miejsce. Złowiła przy tym okiem błysk złotego haftu na tajemniczej poduszeczce od Ilo-ny.

-Mężczyzna który jest ci przeznaczony, odnajdzie cię... - przepowiadała sobie pod nosem jej wróżbę. - Tylko gdzie on jest?

-Przepraszam cię, kochana - odezwał się nagle męski głos. Tak ją wystraszył, że podskoczyła po raz trzeci tej nocy. - Zgubiłem komórkę. Czy mogłabyś pożyczyć mi swojej?

Max odwróciła się w kierunku głosu, bo wiedziała, że już gdzieś go słyszała, choć nie spodziewała się usłyszeć go w Schomberg. Z uśmiechem wepchnęła talizman do tylnej kieszeni spodenek.

-Z wiekiem nie nabyłeś lepszych manier, O'Neal!

-Wyszedłem trochę z wprawy - zaśmiał się, wyłaniając się z cienia.
- Jak się masz, Max?

-Już lepiej - odpowiedziała całkiem szczerze.

Sam O'Neal, chłopak z sąsiedztwa, był najlepszym kolegą jej starszego brata, a według wszelkich przewidywań miał największą szansę na rychłe opuszczenie Schomberg. Max kiedyś podkochiwała się w nim na zabój, jak to tylko piętnastoletnie dziewczęta potrafią oszaleć na czymś punkcie. Teraz zaś nie mogła uwierzyć, jak to możliwe, że wy-

gląda jeszcze bardziej seksownie niż przedtem - może to gra jej wyobraźni, a może wyjątkowo korzystne światło?

Zawsze był wysokim chłopakiem, o wydatnych rysach, piwnych oczach i ustach jakby stworzonych do śmiechu. Teraz do tego wszystkiego miał szersze bary i dobrze rozwinięte bicepsy, widoczne przez koszulę z miękkiego, spranego materiału. Ubierał się według własnego upodobania i postępował zgodnie z sobą tylko znanymi zasadami, dzięki czemu jego zachowanie stanowiło mieszaninę luzu i pewności siebie. Usta zwracały uwagę zmysłowością a cała jego postać emanowała wręcz dotykalaną aurą męskości.

Max zwilżyła czubkiem języka zaschnięte wargi, bo w tym samym momencie poczuła lekkie napięcie ramion, co oznaczało wzmożoną czujność, tyleż niespodziewaną co niepotrzebną. Przecież to był tylko Sam, który kiedyś potrafił wygrać od niej w pokera wszystkie pieniądze, jakie zarobiła pilnując dzieci. Kiedy indziej znów sprowokował ją do kradzieży brzoskwiń z sadu Jenkinsów, a z czasem stał się najlepszym kumplem, jakiego kiedykolwiek miała.

- W życiu nie przypuszczałabym, że cię tu zastanę - nie mogła uwierzyć, kiedy stanęła na palcach, aby zarzucić mu ramiona na szyję. - Dziwne, że nie kręcą się w pobliżu żadne elfy!

- Schowałem się, dopóki nie pogubiły tych swoich cizemek numer jedenaście.

Spojrzała mu w oczy i to, co z nich wyczytała, sprawiło, że po raz pierwszy w tym dniu nie pożałowała przyjazdu w rodzinne strony.

- Stęskniłam się za tobą - wyszeptwała.

- Ja też. - Musnął jej policzek lekkim pocałunkiem, jak wypadało

przyjacielowi, za to mocniej ją uściskał.

Przyłgnęła do niego, czując siłę jego ramion. Przez cienki materiał koszulki przenikało promieniujące od niego ciepło, które przyprawiło ją o drżenie. Zawstydzona własną reakcją zdjęła ręce z jego szyi i cofnęła się o krok. Zastanawiała się, czy ją zatrzyma i co zrobiłaby, gdyby próbował.

On tymczasem wypuścił ją z objęć nie wahając się nawet przez chwilę. Tak zachowuje się stary kumpel, pomyślała.

- Musimy nadrobić wszystkie zaległości - zaproponowała, bawiąc się kluczykami aby zyskać na czasie. Miała nadzieję, że jej głos w rzeczywistości nie jest tak zduszony, jak jej się wydawało. - Chodź do domu. Napijemy się kawy i będziesz mógł mi powiedzieć wszystko, co ci leży na sercu.

- Wszystko?

Rozśmieszyła ją jego mina, choć w równym stopniu śmiała się z samej siebie.

- Co z tobą, O'Neal? Masz coś do ukrycia?

- Bynajmniej. - Zniżył głos, śledząc wzrokiem jej sylwetkę.

- Chcę znać szczegóły! - rzuciła mu przez ramię.

- Na przykład jakie? - Starał się udawać, że nie zauważa jej kształtnych ud, kiedy kołysząc biodrami szła do samochodu. Nie mógł jednak oprzeć się wizji jak znów trzyma w ramionach jędrne, młode ciało Max i całuje idealnie wykrojone usta.

- No, takie jak to, gdzie się obracałeś i co robiłeś...

Gwałtownym ruchem potrząsnął głową, zanim zdecydował się za nią podążyć. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Przecież to była Max, jego towarzyszka z lat dziecińczych, z którą razem dorastał i traktował jak siostrę. Co prawda, nie wyglądała już jak dziewczynka, którą pa-

miętał. Pachniała też zupełnie inaczej.

- ... z kim kręcisz... - Max ciągnęła tymczasem swoją wyliczankę.

Sam bezwiednie uśmiechnął się na wspomnienie jej błyszczyka do ust o zapachu winogron i kokosowego olejku do opalania. Zaczęła używać tych kosmetyków w czasie ostatnich wakacji przed jego wyjazdem na studia. Skończyła akurat piętnaście lat i aby podkreślić dorosłość kupiła sobie kostium bikini, którego nigdy nie włożyła, papierosy, których nie paliła i ten idiotyczny, purpurowy błyszczyk. Był świadkiem jej dojrzewania i wtedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że wyrośnie na piękną kobietę.

Nabrał w płuca dużo powietrza, powoli je wypuścił i pomyślał z satysfakcją, że miał nosa. Max wyrosła na kobietę nie tylko piękną, ale i seksowną jak diabli. Gorzej, że była już narzeczoną innego mężczyzny. Ewa powiedziała mu, że ten facet nazywa się Peter Ross i jest fotografikiem specjalizującym się w tematyce kulinarnej. Ciekawe, co Peter powiedziałby na szorty, które włożyła - na ich widok krew pulsowała mu w skroniach.

- ... i po coś tu przyjechał? - dokończyła Max.

Dopiero teraz przypomniał sobie, co o tej porze robił w pobliżu domu. Atrakcyjna blondynka przebrana za syrenę, o imieniu Ruby, poprosiła go, żeby przywiózł więcej nagród za konkurencje rozgrywane przy stawie rybnym, bo akurat jej się skończyły. Oczywiście zgodził się i umówił się z Ruby, że pójdą razem do baru, kiedy tylko wróci. Teraz, patrząc na stos pudełek, które zgromadził, zastanawiał się, czy ona nie nazywała się czasem Pearl? Nie, chyba jednak Jadę! Miał nadzieję, że kiedy wróci, będzie jeszcze miała przypięty identyfikator.

-Na długo przyjechałeś? - mówiła tymczasem Max, kiedy wreszcie się z nią zrównał. Zaskoczyła go tym pytaniem, więc nie zareagował od razu. Zresztą nie mógł odpowiedzieć w kilku słowach. Potrzebował czasu, żeby jej wyjaśnić, dlaczego musiał dokonać takich a nie innych wyborów, co się w jego życiu wydarzyło i co sprowadziło go w rodzinne strony. Ona jednak błędnie zinterpretowała jego milczenie, bo zauważył, że uśmiech znikł z jej warg.

-Obiecay, że zostaniesz tu przynajmniej przez weekend - zaczęła z innej beczki.

-Możesz na to liczyć - skorzystał z okazji, by się zręcznie wywinąć. Kiedy indziej będzie miał dosyć czasu, aby jej opowiedzieć ze szczegółami, na jak długo miał zamiar zatrzymać się w Schomberg i dlaczego.

-Cudownie! - Ucieszyła się, ale więcej na niego nie spojrzała. Patrzyła daleko przed siebie, gdzie wśród pól widać było światła cyrkowego namiotu. Nieoczekiwanie zmieniła temat: - Wiesz, że Gwen wynajęła letni domek Connorsów?

-Tak, słyszałem o tym.

Spuściła oczy, wpatrując się w czubki własnych butów.

-Myślisz, że zostanie na dłużej?

-To całkiem możliwe - odpowiedział zgodnie z prawdą, bo już zbyt długo zachowywał milczenie. Max zaśmiała się nerwowo.

-Jak ona może mieć czelność jeszcze się tu pokazywać?

-Od tamtej pory minęło dużo czasu. - Ważył starannie każde słowo.

- Wszystko się zmienia, ludzie też.

-Pewnie tak, ale tego, co oni zrobili, nie da się odwrócić. - Machnęła ręką, jakby chciała odepchnąć w niebyt zarówno Gwen, jak całą przeszłość. Nagle jej twarz rozjaśnił tak promienny uśmiech, że Sam

nie od razu nadażył za zmianą jej nastroju. - Dobra, dajmy już z tym spokój. Cieszę się, że tu jesteś, ale muszę wiedzieć, czy zdobyłeś już szturmem Wall Street?

- Oni jeszcze się nie połapali, kto im tak dołożył - uśmiechnął się Sam.

- Wiedziałaś, że tak będzie! - Z okrzykiem triumfu otworzyła bagażnik.

Sam zaśmiał się, zadowolony, że nie musi się przy niej kłębować.

- Słyszałem, że i tobie nieźle się powodzi. Prowadzisz własną firmę, nawet walizki masz odpowiednie do swojej pozycji. Gratuluję!

- Zapomniałeś o rezydencji nad jeziorem... Z wrażenia aż zagwizdał.

- To wszystko i jeszcze wesele?

- Jak widzisz, życie jest piękne. - Zamachała mu przed oczyma pierścionkiem. - A jak tam u ciebie z tymi sprawami? Ożeniłeś się już i dochowałeś gromadki dzieci?

- Na razie nic z tych rzeczy.

- No więc mam coś w sam raz dla ciebie.

Z tylnej kieszeni szortów wyciągnęła czerwoną poduszeczkę i podstawiła mu pod nos.

- Co to jest?

Nachyliła się bliżej do niego i zniżyła głos:

- To talizman miłosny, podobno bardzo stary i skuteczny. - Skrzywiła się, próbując zamaskować uśmiech. - Ma zapewnić idealnego mężczyznę, ale myślę, że to się da zmienić.

- Dziękuję, obejdę się bez tego.

- Jak chcesz, ale pamiętaj, że to ty nie uwierzyłeś krasnoludkowi! - Schowała talizman z powrotem do kieszeni. Sam wyciągnął jej rzeczy

z bagażnika i zatrzasnął klapy.

- Zaryzykuję to.

Ze śmiechem rzuciła się naprzód, by otworzyć mu furtkę.

- Dobrze wiedzieć, że nie jestem jedyną normalną osobą w Schomberg. A propos, nie powiedziałeś mi jeszcze, co tu robisz.

Wszedł za nią po schodkach na ganek.

- Nad stawem zabrakło nagród...

- ... i moja matka zagoniła cię, żebyś przywiózł więcej? - Przytrzymała przed nim drzwi od frontu. - Jeśli chcesz, pomogę ci się z tym zabrać, ale chciałabym wiedzieć, co w ogóle robisz w Schomberg, a nie tylko w tym domu.

Minął ją i wniósł walizki do holu, a następnie postawił je u podnóża schodów. Akurat nadszedł odpowiedni moment, aby być z nią szczerym, dopóki w pobliżu nic się nie działo, a ona jeszcze się uśmiechała.

- Max... - zaczął, ale właśnie zadzwonił jej telefon komórkowy. Rzuciła się biegiem do samochodu, wołając po drodze:

- Nie mów nic, to musi być Peter!

Sam wrócił na ganek i oparł się o poręcz. Max, naciskając klawisz odbioru, snuła jeszcze rozważania:

- Może moglibyśmy we trójkę wybrać się gdzieś na kolacyjkę? Jest tu jakiś przyzwoity lokal?

- Jest jeden - mruknął, ale wiedział, że Max już go nie słucha. Może to nawet i lepiej?

- Tu Henley, Kompozycje Kulinarne - odebrała telefon. Po jej uśmiechu Sam poznał, że dzwoniącym musi być Peter.

- Mam nadzieję, że jesteś już blisko - mówiła do mikrofonu –bo

właśnie mam zamiar zabawić się w berka i z moim przystojnym, starym znajomym...

Sam potrząsnął głową, ale musiał się odwrócić, kiedy usłyszał jej niski, gardłowy śmiech. Napotkała jego wzrok i posłała mu całusa. Śmiech wciąż pobrzmiwał i w jej głosie, kiedy mówiła:

- Przepraszam, Peter, ale powiedziałaś, że gdzie jesteś? - Trzymając przy uchu komórkę, przechadzała się wzdłuż samochodu. - W Nowym Jorku? Co, u Boga Ojca, tam robisz?

Wyprostowała się i kontynuowała rozmowę już oficjalnym tonem.

- Aha, chodzi o fakturę dla Webstera? Rzeczywiście, powinnam była wyjeżdżać, dopóki nie rozmówiłam się z nimi. - Spojrzała na zegarek. - Jestem już w drodze do... - Przerwała, aby wysłuchać, co miał jej do powiedzenia. Podczas gdy mówił, wolna ręka stopniowo opadała jej wzdłuż boku. - No więc o co właściwie chodzi?

Sam schodził już ze schodków, bo syrenka czekała na niego, a to, co działo się między Max a Peterem, nie powinno było go obchodzić. Był już na podjeździe, ale jeszcze się obejrzał, bo złowił uchem zmianę tonu jej głosu.

Zauważył, że Max stała bez ruchu, z zadartym podbródkiem i zaciśniętymi powiekami, a pytanie, jakie zadała do mikrofonu, brzmiało:

- A dokładnie kiedy doszedłeś do wniosku, że nie chcesz się żenić?

W tym momencie Sam był pewien, że na razie nie ruszy się stąd ani na krok.

2

- Max, bądź rozsądna - westchnął Peter. - Ja tego na prawdę nie planowałem.

Niby dlaczego miała być rozsądna? W pierwszej chwili zbulwersował ją nie bezsens tych słów, ale ton, jakim je wypowiedział. Nie po-brzmiewał w nim gniew ani wyrzut, tylko zakłopotanie, co było jeszcze gorsze.

Nogi się pod nią ugięły, więc osunęła się na schodki, opierając głowę na rękę.

- Czegoś tu nie rozumiem. Przyszło ci to do głowy nagle, przy kawie czy może pod prysznicem?

- Nie mów tak.

- A co mam powiedzieć? Próbować znaleźć sens w czymś tak bezsensownym, że aż trudno uwierzyć, że to nie żart? - Przerwała, licząc, że z drugiej strony usłyszy śmiech, oznaki zrozumienia czy nawet przeprosiny. Odpowiedziała jej jednak cisza, więc dokończyła myśl: - Chyba że to rzeczywiście nie jest żart.

- Max, proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć. Przejechałem już połowę drogi, kiedy uświadomiłem sobie, że jadę odwiedzić moją przyszłą teściową. Masz pojęcie, teściową!

Przerwał, a Max wiedziała doskonale, że Peter z komórką w ręku krąży teraz po mieszkaniu, wykonując stałą rundkę między salonem, jadalnią, kuchnią a holem. Potem znów od początku: salon, jadalnia,

kuchnia...

- Dopiero kiedy zdałem sobie sprawę, że spotkam się z twoją matką... - mówił dalej, co zmusiło ją do skupienia uwagi - zrozumiałem, że musimy dobrze się zastanowić, czy słusznie postępujemy. Dlatego nie pojechałem już dalej i nie chciałbym spotkać się z tobą w przyszłym tygodniu w Wirginia Beach.

Max zerwała się na równe nogi.

- Jak to, przecież mamy tam zlecenie do wykonania...

- To ja mam zlecenie. Mocniej ścisnęła w rękę aparat.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że zapłacę ci zgodnie z umową, ale zatrudniłem już inną stylistkę.

Max odczuła gwałtowną potrzebę ruchu, więc sama zaczęła zataczać kręgi, najpierw między gankiem a bramą, potem rozszerzyła rundkę od schodów po płot i karmnik dla ptaków, byleby tylko nie stanąć w miejscu ze świadomością, że wali się jej ustabilizowany świat.

- A co z naszymi wakacjami? Mieliśmy spędzić dwa tygodnie na plaży... - urwała w obawie, aby nie wpaść w proszący ton.

- Weź sobie dwa tygodnie wolnego - poradził. - Pojedź w jakieś miłe miejsce, na mój koszt...

Dalszego ciągu już nie słuchała, bo odwróciła się i napotkała spojrzenie Sama, który obserwował ją z podjazdu. Stopy jej przejął chłód, a równocześnie rumieniec wypełził jej na twarz. Była pewna, że jest sama, tymczasem on wcale nie odjechał i przez cały czas się jej przyglądał. Podczas gdy szedł w jej stronę, zachodziła w głowę, jak wiele mógł usłyszeć. Jednak gdy podszedł bliżej- współczucie w jego oczach

nie pozostawiło ani cienia wątpliwości, że słyszał wszystko.

Tymczasem z drugiego końca linii dochodził głos Petera. Brzmiał nawet jakby z daleka:

- Halo, Max, słyszysz mnie?

Spojrzała z góry na komórkę trzymaną w dłoni i czym prędzej przyłożyła ją z powrotem do ucha.

- Oczywiście, że cię słyszę - zapewniła, ale w tym momencie na podjazd ze szczękiem wjechał akumulatorowy wózek golfowy. Z przedniego siedzenia wydawała radosne okrzyki jej matka, obok niej szczekał pies, a na tylnym siedzeniu jacyś dwoje wymachiwali rękami na powitanie. Max na ten widok struchlała i z westchnieniem rzuciła do telefonu: - Musiałeś akurat teraz z tym wyskoczyć?

Najwidoczniej jednak Peter wycofywał się na całej linii.

- Trzeba nam czasu, aby się upewnić, czego naprawdę chcemy - perorował.

A o czym się tu upewniać? Przecież dobrze wiedziała, czego chce - wyjść za mąż, mieć dzieci, kredyt hipoteczny, a może nawet ubezpieczenie na życie? Przenosiła wzrok z ganku na okna, a z nich na sztyld zajazdu i myślała, że do tej pory wydawało się jej to takie proste. Nie pragnęła niczego więcej, tylko normalnej rodziny, byleby nie tutaj.

Tymczasem wózek golfowy zaparkował tuż za jej samochodem. Wyskoczył z niego czarny labrador z czerwonym szalikiem zawiązanym na szyi. Wyprzedził wszystkich, przeskoczył płot i pędem rzucił się w stronę Max.

- Panna Marple! - wyszeptała Max i mimo wszystko zdobyła się na uśmiech. Dopiero gdy nachyliła się, by pogłaskać psa, przekonała się,

że nie była to stara suka zwana Panną Marple, ale jakiś młody osobnik. O tym też matka jej nie uprzedziła!

-Columbo, chodź tu! - zawołała Ewa Henley. Przełożyła nogi przez burtę wózka i wyskoczyła z niego. -Błagam, tylko nie pozwól mu...

-Skakać? - odgadła poniewczasie Max, kiedy przednie łapy psa dotknęły jej piersi.

-Columbo, leżeć! - zakomenderował Sam. Pies przewrócił się na grzbiet, wystawiając brzuch do drapania, zupełnie tak samo, jak zachowywała się Panna Marple.

-Marple nie żyje - podpowiedział cicho Sam. - Columbo to jej wnuk.

Max z trudem przełknęła ślinę i wyciągnęła rękę, by poklepać psa.

-Cześć, Columbo! - przywitała go. Dopiero teraz dotarło do niej, że to i owo jednak się zmieniło.

-Max, co tam się dzieje? - denerwował się przez komórkę Peter. - Kto jest z tobą?

-Och, tylko komitet powitalny - zbyła go. Nie miała czasu na dokładniejsze wyjaśnienia, bo przez trawnik biegła już ku niej matka, szleszcząc obfitymi spódnicami. Była drobna i szczupła, więc w tym stroju wyglądała jak prawdziwa Cyganka, tym bardziej, że na głowie miała chustkę ze złotego materiału, a w uszach olbrzymie koła.

-No i mamy naszą piękną narzeczoną! - prawie zaśpiewała Ewa.

Sam podszedł od tyłu do Max.

-Może chcesz, żebym wyszedł im naprzeciw, to zyskasz trochę na czasie? - zaproponował.

-Nie - odszepnęła, a potem zakryła dłonią mikrofon i odwróciła się w jego stronę: - A w ogóle to co tu jeszcze robisz?

- Kto tam jest z tobą? - gorączkował się Peter. Sam tymczasem wzruszył ramionami.

- Myślałem, że przydam ci się jako przyjaciel.

- Przyjaciel poszedłby teraz na spacer! - zgasiła go, a do mikrofonu odpowiedziała: - To Sam, mój dawny znajomy.

- Czy to dzwoni mój przyszły zięć? - nawoływała tymczasem Ewa. - Powiedz mu, że chętnie powrózę mu z kryształowej kuli.

- Dobrze, powiem! - odkrzyknęła Max z wymuszonym uśmiechem.

- Co chcesz jej powiedzieć? - szepnął jej do ucha Sam.

- Nic i ciebie proszę o to samo.

- Max, co się tam dzieje? - krzyczała komórka podniesionym głosem Petera. Max uśmiechnęła się do aparatu, ponieważ jej matka podeszła bliżej i mogła to widzieć. Nie spuszczać oczu z Sama zaszczębiotała do mikrofonu:

- Dobrze, kochanie, zobaczymy się później... - Ponieważ Peter na szczęście przestał się odzywać, poszła na całość i dodała: - Tak, najdroższy, ja też tęsknię!

W nagłym przypływie natchnienia posłała całusa w stronę aparatu, rzuciła szybką, pożegnalną formułkę i przycisnęła przycisk kończący rozmowę.

- Chyba trochę przesadziłaś - skrzywił się Sam.

- Pyta cię kto? - ucięła, wychodząc na spotkanie matce.

Ewa Henley nie grzeszyła nigdy powściągliwością w wyrażaniu uczuć. Nie cmokała wargami w powietrzu, kiedy miała ucałować kogoś w policzek. Jej uściski były naprawdę wylewne, więc nic dziwnego, że wszystkie jej psy przejęły manierę skakania na gości przednimi łapami,

Dopiero po wyściskaniu córki Ewa cofnęła się i przepuściła przodem gości.

-Bobie, Sylwio, to jest moja córka Max. Z Samem już się zapoznaliście przy stawie.

-Aha, to ten pan, który szedł z syrenką? - upewniła się Sylwia.

-Mało tego, to właściciel piwiarni w Schomberg -dodała Ewa.

-Jakiej piwiarni? - Max podniosła oczy na Sama. Ten niezręcznie zaczął się tłumaczyć:

-Max, ja...

-Nie powiedział ci o tym? - weszła mu w słowo Ewa. - No tak, Sam nigdy nie lubił się chwalić, ale zorganizował coś naprawdę fantastycznego. W budynku starej gospody uruchomił prawdziwy, mały browar, z miedzianymi kotłami i dębowymi beczkami, jak przeniesiony żywcem z przeszłości.

-Właśnie chciałem ci powiedzieć... - zaczął Sam z westchnieniem, ale odwróciła się od niego i postanowiła nie dziwić się niczemu, cokolwiek by robił, czy to będą syrenki, czy piwiarnia. Jak sam powiedział, wszystko się zmienia, ludzie też, ale przykrość pozostaje.

Wolała więc skierować uwagę na gości swojej matki. Oboje byli wysocy i mocno zbudowani, a przed sobą mieli przytroczone dziecinne nosidełka.

-Milo mi was poznać - Max wyciągnęła do nich rękę. - Coś się urodziło?

-Mają dopiero dwa miesiące - przytaknęła Sylwia.

-Bliźnięta - dodał Bob i odchylił brzeg plecaka, aby Max mogła zajrzeć do środka. Ledwo jednak pochyliła się nad nosidełkiem, wysunął się zeń okryty sierścią łebek i głośno prychnął.

- Co to jest? - wrzasnęła i cofnęła się, wpadając wprost na Sama.

- To jest Kangurzyca - wyjaśniła Sylwia, a poklepując wypukłość rysującą się na jej nosidełku, dodała: - A to Maleństwo.

- Kangury Bennetta - podpowiedział szeptem Sam, obejmując Max ramionami, aby ją uspokoić.

- Dla dziecięcego ZOO - uzupełniła Ewa, ale zaraz ze zdziwieniem spytała Max: - Nie napisałam ci o tym w ostatnim liście? Zresztą mniejsza z tym - machnęła ręką. - Jutro będziecie mogli obejrzeć sobie z Peterem wszystkie młode, no i oczywiście lamy. A skoro już mowa o młodych, to niech zobaczę pierścionek naszej przyszłej panny młodej! Usycham z ciekawości, odkąd dowiedziałam się o twoich zaręczynach.

- No, pokaż mamie pierścionek! - zachęcił Sam.

Max obejrzała się za siebie, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Sam wciąż trzyma ją w objęciach. Było jej w nich ciepło i wygodnie, jakby zostały dla niej stworzone, podczas gdy te ramiona, które powinny ją obejmować, znajdowały się o setki mil stąd i powoli wymykały się z jej zasięgu.

- Aha, rzeczywiście, pierścionek. - Powróciła do rzeczywistości. Uwolniła się z objęć Sama i wyciągnęła rękę. - Sama go zaprojektowałam.

Ewa podstawiała rękę z pierścionkiem pod światło księżyca.

- Naprawdę piękny - zawyrokowała. - Skromny, ale elegancki. Zupełnie jak ty. - Przekreśliła dłoń Max, aby Sylwia też mogła zobaczyć klejnocik. - Czyż nie jest śliczny?

Podczas gdy dwie kobiety podziwiałały ozdobę, Max uciekała wzrokiem patrząc pod nogi lub na samochód, byleby tylko nie widzieć pier-

ścionka, który teraz wydawał jej się toporny i krzykliwy. Nic dziwnego, składał się przecież z trzech karatów czystego kłamstwa!

-A gdzie twój narzeczony? - zagadnęła Sylwia.

-Spóźni się. - Max cofnęła rękę i wzmocniła wymowę tych słów energicznym kiwnięciem głową. - Po prostu przyjedzie później.

-Ale chyba nic mu się nie stało? - spytała z troską Ewa.

Max nie od razu odpowiedziała, bo poczucie winy na chwilę odebrało jej mowę. Najpierw zajrzała głęboko w oczy matki, zanim w ogóle otworzyła usta.

Doszła jednak do wniosku, że nie może powiedzieć jej prawdy, bo sama jeszcze nie była pewna, jaka właściwie jest ta prawda. Nie rozumiała dokładnie sytuacji, ale z drugiej strony przyznanie się, że Peter nie przyjedzie dziś wieczorem, dostarczyłoby niezłej pożywki wścibskim językom w Schomberg. Już i bez tego przysporzyła im tyle powodów do plotek, że wystarczyło na całe życie.

Stłumiła więc poczucie winy i wykrzywiła usta w coś, co wydawało się jej uspokajającym uśmiechem:

- Ależ skąd, nic się nie stało. Miał tylko drobne kłopoty w pracy, ale niedługo powinien przyjechać.

Obejrzała się na Sama. Wszystko w niej, od ułożenia ramion do zadartego podbródka, świadczyło, że kłamie, ale Sam wiedział, że nie jest to właściwy czas ani miejsce do zarzucania jej mijania się z prawdą. Zamiast tego skierował się w stronę ganku.

-Lepiej będzie, jeśli zaniosę twoje rzeczy na górę, żebyś się mogła nareszcie rozgościć.

-Ach, nie rób sobie kłopotu! - Max popędziła za nim.

-Dla ciebie i Petera? To żaden kłopot. - Otworzył na oścież drzwi zabezpieczone siatką.

- Śpisz w swoim starym pokoju! - zawołała za nimi Ewa. - Mam nadzieję, że Peterowi nie będą przeszkadzać różowe ściany? - Jeszcze przez zamknięte drzwi

Sam słyszał jej głos: - Mężczyźni różnie reagują na różowy kolor.

U szczytu schodów Sam zwolnił kroku.

- Trzecie drzwi na prawo, o ile dobrze pamiętam. Max minęła go i sięgnęła po swoje bagaże.

- Stąd już mogę to wziąć.

On jednak nie chciał wypuścić ich z rąk, a kiedy podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, powrócił do tamtego tematu:

- Jak długo myślisz, że będziesz mogła utrzymać to w tajemnicy?

- A tobie jak długo udawało się nie przyznawać do piwiarni? - odbiła piłeczkę, próbując wyrwać mu z rąk torby. - Pewnie do kompletu wzięłaś sobie Gwen za współniczkę.

- Moim współnikiem jest Ben Morgan. - Odsunął walizki pod ścianę.

- Ben? - Zaśmiała się krótkim, wymuszonym śmiechem. - No proszę, coraz lepiej!

- Przepraszam cię, Max, ale wydawało mi się, że to nie był dobry moment, żeby ci o tym powiedzieć.

- W takim razie rozumiesz, dlaczego nie jest to dobry moment także na to, aby powiedzieć Ewie prawdę - stwierdziła chłodno.

- To nie jest to samo i dobrze o tym wiesz.

- Nie widzę różnicy.

- Owszem, jest, bo ja nie próbowałem wcisnąć ci kłamstwa.

Tymczasem drzwi od frontu znowu rozwarły się na oścież i w holu na dole dały się słyszeć kroki.

- Chodźcie z tymi maluchami do kuchni – poleciła Ewa swoim gościom. - Nastawię herbatę, a w spiżarni i jest tort z wypisanym waszym nazwiskiem. Max, co i Peter chciałby jutro dostać na śniadanie? - krzyknęła w stronę schodów.

- Wszystko jedno! - odkrzyknęła Max. Przechylając się przez poręcz okrasiała te słowa uśmiechem. - On zje cokolwiek!

- Nie mogę tego słuchać - mruczał pod nosem Sam, maszerując z walizkami przez hol. Na chwilę zwolnił pod drugimi drzwiami, które prowadziły do dawnego pokoju Briana. Był ciekaw, czy Ewa w ogóle używa te go pomieszczenia.

Z kolei Max szła przez hol z ostentacyjnym tupaniem i mamrotała niby do siebie:

- Ona stanowczo pracuje za ciężko. Ci wszyscy ludzie, a jeszcze do tego zwierzęta, wysysają z niej siły.

- To całe jej życie - sprzeciwił się Sam, otwierając trzecie drzwi z prawej strony. - A ty prędzej czy później będziesz musiała powiedzieć jej, jak naprawdę mają się sprawy z Peterem.

- Może... - rzuciła enigmatycznie, zatrzymując się przed wejściem do pokoju.

Sam wszedł tam pierwszy, postawił torby przy łóżku i w ślad za nią przeniósł wzrok z plecionego dywaniku na półkę z książkami i przesuwane drzwi prowadzące na taras nad solarium. Jej pokój stanowił prawdziwy klejnocik utrzymany w tonacji bieli, różu i zieleni. Nie zmienił się od dnia jej wyjazdu, więc serce mu się ścisnęło, kiedy Max zdecydowała się wreszcie posunąć o parę kroków naprzód.

Poruszała się wolno, zatrzymując się, by dotknąć poduszki obramowanej koronką, półki na książki czy toaletki. Lekki uśmiech roz-

kwitł na jej wargach, kiedy jej spojrzenie spoczęło na ramie od lustra, oblepionej muszlami.

- Nie przypuszczałam, że to do tej pory tu zostanie - szeptała bardziej do siebie niż do niego, wodząc palcem po rządku małych, purpurowych muszelek. - Zrobiłam tę ramę zimą, kiedy wyjechaliśmy do Fortu Myers. Miałam wtedy dziesięć lat!

- Twoja mama chyba nigdy nic nie wyrzuca.

- I źle robi - zauważyła Max dziwnie obojętnym tonem, a uśmiech nagle znikł z jej twarzy. Podniosła jedną z walizek i rzuciła ją na łóżko. - Jestem pewna, że jej goście woleliby coś nowszego. - Rozsunęła zamek torby i otworzyła ją. - A jeśli chodzi o tę sprawę z Peterem, to muszę jeszcze trochę poczekać. Po co dawać powód do plotek, kiedy to może być coś przejściowego?

- Jak to przejściowego?

- Peter powiedział mi, że potrzebuje trochę czasu do namysłu. Żeby się upewnić, że naprawdę tego chce. - Wyciągnęła z torby kosmetyczkę i z rozmachem postawiła ją na toalecie. - Bardzo możliwe, że jutro rano pojawi się tu z kwiatami i szampanem, więc wyszłabym na idiotkę, gdybym spieszyła się z informowaniem o czymkolwiek.

- Max, wiem, jakie to przykre...

- Ciekawe, skąd możesz coś o tym wiedzieć?

- Ponieważ byłem w identycznej sytuacji. Rok temu także planowałem ślub. Wydrukowałem już zaproszenia, zarezerwowałem miejsca w hotelu, ale kiedy rozglądałem się za odpowiednim lokalem na wesele - moja narzeczona doszła do wniosku, że nie zmierzamy w tym samym kierunku. Zwróciła mi pierścionek i tyle ją widziałem.

Wyraz twarzy Max znacznie złagodniał.

- Ale doszedłeś już do siebie?

- Teraz tak - potwierdził, choć po raz pierwszy od miesiący zdał sobie z tego sprawę. - Po prostu spodziewaliśmy się czego innego po naszym związku.

- Jeśli tak, to wcale nie byłeś w identycznej sytuacji jak ja, a w zupełnie innej.

Na razie nie rozwijała tego tematu, tylko starannie ustawiała w rządku na toalecie buteleczki, tubki i pędzelki wyjęte z kosmetyczki. Szampon, pastę do zębów, szczotkę do włosów, dezodorant...

- Peter i ja zmierzamy dokładnie w tym samym kierunku i tego samego oczekujemy od życia. - Kolejno ustawiała lakier do włosów, szminkę i kredkę do powiek. - Razem pracujemy, lubimy jadać w tych samych restauracjach i nigdy jeszcze się nie kłóciliśmy. Przynajmniej nie mogę sobie tego przypomnieć.

- Max, on cię porzucił.

Do rządku kosmetyków dołączyła spiralka tuszu do rzęs.

- Wcale mnie nie porzucił!

- No więc jak nazwiesz to, co zrobił?

- Powiedziałabym najwyżej, że stchórzył. Albo lepiej, że ochłódł w uczuciach. A na taki chłód pomoże dodatkowe ciepło.

- Rzeczywiście, zapomniałem, że masz coś do podgrzania atmosfery. Ten twój talizman miłosny! - Odsunął na bok walizkę i wyciągnął się na łóżku. - Biedny, stary Pete zginie w tłoku!

Max wyciągnęła z kieszeni czerwoną poduszeczkę i rzuciła nią w Sama.

- To raczej tobie się przyda niż mnie. Ja mam inne źródła ciepła.

Ponownie sięgnęła do swojej walizki i tym razem wydobyła stamtąd cienką, białą koszulę nocną, zupełnie nową, jeszcze z metkami ze

sklepu. Trzymając ją przed sobą spytała z ironią:

- A co, czy to nie lepiej podgrzeje atmosferę? Jedwab z szelestem przesuwał się po jej piersiach, przylegał do bioder i trzepotał wokół kostek. Koszula tego rodzaju aż się prosiła, żeby jej dotykać i na pewno szybko ześlizgiwała się na podłogę. Sam mógł łatwo wyobrazić sobie, jak podgrzałby atmosferę taki jedwab nałożony na gołe ciało, bez majtek. Świadczyło to tylko, jakim idiotą był Peter Ross!

- Rzeczywiście, całkiem dobrze działa - zgodził się. - Szkoda tylko, że Peter tego nie widzi.

Max przygładziła dłonią koszulę na biodrze.

- Za to będzie miał co wspominać.

Sam uważnie przyjrzał się metkom na białej bieliźnie, potem sięgnął po nie ręką.

- Jeżeli ma tak miłe wspomnienia, to dlaczego na tej koszuli są metki jeszcze ze świątecznej wyprzedaży?

Wyrwała mu ciuszek z rąk.

- Ponieważ do tej pory jej nie nosiłam, bo czekałam na właściwy moment.

- No, tylko nie zmieniaj tematu. - Założył sobie ręce za głowę i obserwował zachowanie Max. - Więc pewnie także nie nakładasz nowych butów zaraz po wyjściu ze sklepu ani nie czytasz gazet jeszcze na parkingu?

- To akurat robię, ale na pewno nie zjadam batoników w kolejce do kasy. - Strząsnęła koszulę przed jego nosem. - A to jest już całkiem inna para kaloszy.

Zerwała metki i wrzuciła je do kosza na śmieci, a koszulę wepchnęła z powrotem do walizki.

- Może wystarczy już o mnie? Opowiedz mi lepiej coś więcej o tej piwiarni, którą otwierasz. No i o twoim triumfalnym powrocie do Schomberg.

Jakim tam triumfalnym! Raczej z konieczności. -Sprawiał jednak wrażenie, że bardziej interesuje go porządek układania jej kosmetyków niż własne zwierzenia. Podejrzywał bowiem, że Max nie jest z nim zupełnie szczerą. W jej wynurzeniach pobrzmiewała jakaś fałszywa nuta. Na razie nie miał się do czego przyczepić, ale nie chciał też tego tak zostawić. Wstał więc z łóżka i podszedł do niej. - Piwiarnia jest już czynna. To mały lokalik, ale przytulny. Na pewno ci się spodoba. Max zabrała z toaletki butelkę szamponu.

-Kiedy przyjedzie Peter, chętnie tam wdepniemy.

-Wprost nie mogę się tego doczekać. - Przykrył jej rękę swoją, przytrzymując ją na chwilę. - Chciałbym tylko rozgryźć, czemu tak się napaliłaś na ślub z tym facetem.

Max nie odpowiedziała od razu, tylko przyglądała się ich złączonym dłoniom, jakby chcąc zyskać na czasie. Dopiero po chwili zwróciła głowę w jego stronę i cichszym już głosem wyjaśniła:

- Ponieważ tego potrzebuję, a właściwie oboje tego potrzebujemy.

Czuł pod swoją dłonią drobne kości jej małej rączki. To, z jakim uporem bronila swego stanowiska, mogło świadczyć o jej sile i zdecydowaniu. Powiódł kciukiem po jej palcach i zauważył, że nerwowo oblizuje wargi. Utwierdziło go to w przekonaniu, że w rzeczywistości jest równie wrażliwa i krucha jak wszystkie kobiety. Gdyby Peter ją skrzywdził, wziąłby na siebie wielką odpowiedzialność.

-Jesteś tego pewna? - zapytał na wszelki wypadek.

-Oczywiście. Na pewno w nic się nie pakuję w ciemno. - Uwolniła rękę, machinalnie bawiąc się butelką szamponu. - Dobrze nam się współpracuje i mamy podobny gust. Na przykład w zeszłym tygodniu

szukaliśmy pracowni i od razu spodobała się nam ta sama!

- To bardzo romantyczne, ale co robicie dla zabicia czasu?

Spojrzała na niego pobłażliwie.

- Podróżujemy, urządzamy wystawy, prezentacje... - Podniosła rękę, aby uprzedzić jego przypuszczalną replikę. - Wiem, wiem, że to też jest praca, ale my to naprawdę lubimy robić, po prostu żyjemy tym. Pewnie trudno ci się z tym pogodzić, ale tworzymy z Peterem idealnie zgrany zespół, dlatego nie mogę uwierzyć, że on chciałby z tym skończyć. Mamy wspólne plany, zlecenia do wykonania, normalne sprawy służbowe, na miłość boską! - Wrzuciła szampon do kosmetyczki, zamknęła jej wieczko i zaniósła kuferek do łazienki. - Zresztą Peter jest zbyt praktyczny, żeby ze mną zerwać.

- Jak to praktyczny?

Z rozmachem postawiła kuferek na blacie łazienkowym.

- No, wiesz. Rzetelny, dobrze zorganizowany...

- ... ostrożny? - dokończył za nią.

Max wróciła tam, gdzie zostawiła walizkę, ale mijając Sama nie spojrzała na niego.

- A jeśli nawet ostrożny, to co w tym złego?

- Myślę, że nic, jeśli tylko się kochacie. - Zbliżył się do niej czym wzbudził jej niepokój. - Powiedz mi, Max, czy ty go kochasz?

- Co za pytanie?

- Szczerze, więc chciałbym usłyszeć szczerą odpowiedź. - Wziął ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie. - No więc jak, kochasz go?

- Na swój sposób - odpowiedziała wysuwając się z jego objęć i znów pochylając nad walizką.

-Co to ma znaczyć?

-To znaczy, że mój sposób pewnie różni się od twojego, ale dla mnie jest dobry. - Wyciągnęła szlafrok i zatrzasnęła walizkę. - Zawsze byłeś romantykiem, tak samo jak Brian. Może to kogoś bierze, ale ja wyrzucę cię za drzwi, jeśli zaczniesz mi opowiadać o namiętnościach i pokrewieństwie dusz.

-Odkąd zrobiłaś się taka cyniczna?

-Nie cyniczna, tylko rozsądna. - Uniósł brew, więc prychnęła ze złością. - Uwierz mi, Samie, Peter i ja mamy to, co dla nas najważniejsze, wspólne cele i podobne zainteresowania. Wszystko inne to głupoty i nie dam się więcej w to wrobić. Wystarczy, że Brian był romantykiem za nas oboje i co mu z tego przyszło? -Potrząsnęła głową, zaciągając zamek walizki. - Kto umiera w wieku osiemnastu lat?

-Max, to było już dawno temu.

-Akurat drugie tyle, ile lat Brian przeżył. - Spojrzała na Sama przez ramię. - Szkoda, że nie mam twojego charakteru. Też chciałabym móc tak zapomnieć o wszystkim i robić swoje jakby nigdy nic...

-Chyba nie myślisz serio, że zapomniałem?

-Nie wiem, co mam o tym myśleć. - Wytrzymała jego spojrzenie. - Wiem tylko, że wróciłeś do Schomberg, otworzyłeś tu piwiarnię i wmawiasz sobie, że to takie samo miłe, małe miasteczko jak każde inne...

-Niczego sobie nie wmawiam - przerwał jej Sam. Chciał do niej podejść, ale wywinęła się błyskawicznie i przemierzała pokój szybkim krokiem, przenosząc spojrzenie z łóżka na lustro, a stamtąd na dywanik. Wyglądało to, jakby nie wiedziała, gdzie się znajduje ani skąd się tu wzięła.

-Pamiętasz, jaką umowę zawarliśmy po śmierci Briana? - natarła na

niego. - Daliśmy sobie słowo, że jeśli tylko zdołamy wyrwać się z Schomberg, to nigdy więcej tu nie wrócimy, nawet nie obejrzymy się za siebie. No i co? Jesteśmy tu wszyscy, nawet Gwen. Brakuje tylko mojego brata. Biedny Brian dla miłości zaryzykował życie i stracił je. Nie ożeni się już, nie spłodzi dzieci ani na stare lata nie będzie siadywał w bujanym fotelu na werandzie. A wszystko przez tę dziwkę! - Zatrzymała się gwałtownie i wyjrzała przez okno. Od razu straciła rozpęd i westchnęła: - Jeżeli to ma być miłość, wolę już codziennie urządzać prezentacje i projektować wystawy!

-Małżeństwo, Max, to nie prezentacja, tylko przysięga. To zobowiązanie do bycia razem, bez względu na okoliczności. To tyleż podniecające, co odstręczające i nie do wytrzymania bez miłości.

-Nie, Samie, to miłość jest nie do wytrzymania. Te wszystkie oczekiwania i niedotrzymane obietnice... -Podeszła do niego bliżej, a jej oczy wyrażały niemą prośbę o zrozumienie. - Wychodzę za Petera nie dlatego, że muszę, tylko, że chcę. Kiedy jestem z nim, nie myślę o naszym miasteczku ani o Brianie, liczy się tylko to, co razem robimy w Nowym Jorku. To, co tam robimy, jest pewne, bezpieczne i czy w to wierzysz, czy nie, ale mnie się to podoba!

-Ale to za mało - przekonywał delikatnie Sam. -Przynajmniej dla ciebie i na dłuższą metę.

Max uśmiechnęła się smutno.

- Jeśli naprawdę tak myślisz, to znaczy, że w ogóle mnie nie znasz. - Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi na oścież. - Możesz nie akceptować moich wyborów, ale jeśli naprawdę jesteś moim przyjacielem, to staniesz po mojej stronie. A jeżeli nawet na to cię nie stać, to zrób dla

mnie przynajmniej tyle i zostaw mnie samą.

Stała wyprostowana, z dumnie uniesioną głową. Jak zawsze uparta i samotna. Sam podszedł do niej, próbował objąć ją ramieniem, aby osłonić przed wspomnieniami, lękami, przed nią samą. Jednak ledwie ją dotknął -wzdrygnęła się, a kiedy ujął jej rękę - wyrwała ją gwałtownym ruchem. Wtedy zaświtało mu w głowie, że może jednak miała rację. Widocznie za mało ją znał.

Wyszedł przez otwarte drzwi do holu.

- To miłe z twojej strony, że wpadłeś - pożegnała go, zamykając za nim drzwi. - Cieszę się, że mogliśmy się spotkać.

Sam próbował przytrzymać drzwi, czym zaskoczył zarówno siebie, jak ją.

- Max, proszę... - wyszeptał wyczekującym tonem, pełen obaw, że wszystko może się zmienić, gdyby jedno z nich odcięło się od drugiego.

Spojrzenie jej szeroko otwartych, lśniących oczu było łagodne i w innych okolicznościach pewnie Sam najpierw lekko dotknąłby jej policzka, potem spróbował mocniej przytulić i pocałować. Tym sposobem przejąłby inicjatywę i przekonał się, dokąd go to do prowadzi.

Na przeszkodzie jednak stanął pierścionek na jej palcu. Ta mała iskierka sprawiła, że cofnął się i sięgnął do kieszeni. Wyjął stamtąd czerwoną poduszczkę i wetknął jej do kieszonki bluzki, ze słowami:

- Tobie teraz bardziej się to przyda. Powodzenia!

3

Kwartalnik „Życie w Górach” nie należał do najgrubszych ani najbardziej kolorowych pism ilustrowanych, ale cieszył się dużą poczytnością, gdyż cztery razy do roku podawał wiarygodne informacje. Między innymi na jego łamach ukazywał się ranking placówek handlowych i rozrywkowych w rejonie. Letnie wydanie zawierało ogłoszenia o domkach na sprzedaż i do wynajęcia, mapkę ścieżek rowerowych na terenach górskich, a na stronie dwudziestej czwartej liczący tysiąc słów, sponsorowany artykuł reklamujący najnowszą firmę w Schomberg - piwiarnię.

„Jeśli tego lata nigdzie się nie wybierasz”, Sam czytał na głos fragment tekstu reklamowego, „pamiętaj, żebyś nie ominął Piwiarni w Schomberg, gdzie można dobrze zjeść i dobrze się zabawić”.

Skończył i trzepnął czasopismem o ladę barową.

- No, panowie, chyba jesteśmy do przodu!

Ben Morgan wyszczerzył zęby od ucha do ucha i wzniosł toast szklanką kawy, bo na coś mocniejszego było jeszcze za wcześnie.

- A czy ktoś w to wątpił?

Michael Schmidt, kucharz, którego Sam podebrał z restauracji „U Colette” w Charlottesville, przyszedł z kuchni i wręczył Samowi talerz.

- Pewnie, że jesteśmy do przodu! Spróbuj, jakie to pyszne.
- Uważaj, tam są orzechy! - ostrzegł Ben.

Michael wydał nozdrza.

-Nie orzechy tylko nasiona sosny - sprostował, wymawiając te nazwę szczególnie wyraźnie i przyglądając ręką kędzierzawą czuprynę. - To jest *pasta primave-re*, a do niej dodaje się nasiona sosny.

-Tyle to i on wie - mruknął Ben, wracając do wycierania szklanek. Sam uśmiechnął się i nawinął na widelec kilka nitek spaghetti. Michael z zapartym tchem śledził jego ruchy.

-No i jak? No i jak? - dopytywał się.

-Dobre! - ocenił Sam, biorąc następny kęs. - Ma taką lekką, kremową konsystencję...

Michael przysunął się bliżej.

-Nie uważasz, że dobre do tego byłoby lekkie piwo?

-Przecież wiesz, że nie warzymy lekkiego piwa. -Sam kątem oka spojrzał na Bena, który bez mrugnięcia uzupełnił:

-I nie będziemy, dopóki ja tu jestem piwowarem. Michael zrobił oburzona minę, więc Sam, aby go załagodzić, nabrał sobie następną porcję.

-To rzeczywiście świetne. Może zaserwujesz to dzisiaj jako specjalność szefa kuchni?

-W piwiarni? - Michael wyrwał Samowi talerz spod ręki. - Kto takie rzeczy podaje w piwiarni? Wystarczą hamburgery i frytki!

Potrząsając z oburzeniem głową, sięgnął do kieszeni białej kurtki i wyciągnął stamtąd świstek papieru. Wydmuchał nos i majestatycznym krokiem opuścił kuchnię.

- Nadęty osioł! - mruknął pod nosem Ben, który dopiero po wyj-

ściu Michaela podniósł głowę odrywając się od zmywania naczyń. - Kto dodaje orzechy do spaghetti?

- To były nasiona sosny! - poprawił dyskretnie Sam i szybko się wycofał, o centymetry unikając trzepnięcia ścierką do naczyń.

Michael z Benem toczyli wieczne spory. Michael wyobrażał sobie, że w menu przyszłej restauracji będą figurować takie dania jak tiramisu i potrawy z ryby-miecza, podczas gdy Ben wołał grube plastry szynki z Wirginii i placka pieczonego na maślanie. Samowi było wszystko jedno, byleby przychodzili klienci.

Zatrzymał się, aby nalać sobie kawy. Spod bufetu wyjął kawałek kredy i poszedł z nią pod tablicę, na której reklamowano specjalności dnia. Był zadowolony, że jego współpracownicy nie pobili się o dobór potraw, Piwiarnia zapewniała zwykle menu typowe dla tej kategorii lokali, ale za to piwo własnego warzenia, najlepsze po tej stronie gór Blue Ridge.

Ben szczyił się swoim talentem piwowarskim jeszcze na długo zanim Sam zdecydował się otworzyć w Schomberg piwiarnię. Przeżył pięćdziesiąt dziewięć lat i przez większą część tego czasu warzył piwo. Sztuki tej nauczył się od dziadka, który od dawna nielegalnie wyrabiał napoje alkoholowe. W górach zresztą wszyscy pędzili bimber, tylko Morganowie wyłamywali się z tego obyczaju i pysznili się piwem własnej produkcji - ciemnym, mocnym i klarownym jak górski strumień.

Ben kontynuował tradycję rodzinną we własnym domu, używając do tego celu kociołków, w których żona pasteryzowała weki i jej miarek kuchennych. Opracowywał receptury nagradzane na lokalnych konkursach, ale coraz częściej stawało się to powodem kłótni z żoną,

która w końcu odeszła. Jednak w tym czasie mocne piwo Bena stało się już głównym hitem reklamowym na Jesiennym Jarmarku w Schomberg, a gorzkie piwo jego produkcji przeszło do legendy.

Dlatego też Sam, kiedy wpadł na pomysł przywrócenia starej gospodzie dawnej świetności, pierwsze kroki skierował pod drzwi Bena. Nie miał opracowanego biznes planu poprzedzonego badaniami demograficznymi, ani innych dokumentów, jakich wymagałby od każdego, kto w Nowym Jorku prosiłby go o referencje. Oprócz wypisu z rejestru gruntów legitymował się tylko wewnętrznym przecuciem i niewyjaśnioną potrzebą pozostania w Schomberg.

Nie minął rok, a już „Piwiarnia w Schomberg” zyskała renomę sięgającą granic hrabstwa. Przy odrobinie szczęścia i pozytywnej reakcji na artykuł w piśmie „Zycie w Górach” około Bożego Narodzenia mogli osiągnąć bilans zerowy. I wtedy dopiero Sam mógłby odetchnąć z ulgą.

Na razie dopisał hamburgera na tablicy specjalności dnia i wyszedł ze swoją kawą przed główne wejście. Usiadł na schodku i przyjaźnie skinął głową kierowcy, który mrugnął mu światłami przed salonem piękności „U Trący”. Uniósł kubek na powitanie, kiedy Howard wyszedł zmienić dekorację wystawy swojej agencji obrotu nieruchomościami. Pomachał ręką Jeffowi, który wystawił przewoźny gril przed swoim sklepem żelaznym.

W składzie delikatesowym Cy plotkowano, że Howard farbuje sobie włosy na zapleczu zakładu Trący. Niektórzy klienci zastanawiali się już, co jeszcze wyrabia się na tym zapleczu, ale Jeff przysięgał, że nie dzieje się tam nic zdrożnego, gdyż Trący podkochiwała się w pewnym Stanie zza Kwik Way.

Sam uśmiechnął się na widok przejeżdżającej półciężarówki, której kierowca pozdrowił go klaksonem. Tak wyglądało typowe sobotnie przedpołudnie w Schomberg, gdzie wszyscy się znali zarówno z twarzy, jak z imion i nazwisk, nic przed nikim nie mogło się ukryć, a plotka była chlebem powszednim, więc każdy od razu zauważył kobietę, która przed urzędem pocztowym głośno mówiła do siebie.

Nie była to zwykła wariatka, tylko Molly, która znowu wyrwała się spod nadzoru i usiadła pod pomnikiem bohaterów czasu wojny. Odczytywała na głos uwiecznione tam imiona swoich dwóch poległych synów, Alberta i Waltera, dopóki Cy nie zaprosiła jej do swego zakładu na kawę. Nikogo to nie bulwersowało, bo wiadomo było, że Molly nie skrzywdziłaby muchy, a zaraz przyjedzie po nią ktoś z rodziny.

Sam wciąż nie mógł się nadziwić, dlaczego te same sprawy i zdarzenia, które przed laty skłoniły go do opuszczenia Schomberg, wpłynęły teraz na jego decyzję o powrocie. Postawił przecież na szalę cały swój dotychczasowy dorobek, aby zainwestować w małe, nieciekawe miasteczko, które dopiero niedawno odkryło własne zalety.

Przedmieścia stopniowo zajmowały miejsce dawnych farm i sadów, a rozwój pasaży i centrów handlowych zmusił do wyprowadzki zasiedziałyh mieszkańców głównej ulicy. Schomberg próbowały ożywić także sklepy pod szumnymi nazwami „Druga strona lustra” i „Orzechowa galeria”, no i oczywiście piwiarnia. Jej założyciel miał ambitne plany, co nie wykluczało prawdopodobieństwa klęski, ale nie żałował swojej decyzji. Nie wiedział tylko, jak przekonać o tym Maxine Henley.

Z westchnieniem odstawił filiżankę do balii pod bufetem, do której

odkładano brudne naczynia. Doszedł do wniosku, że właściwie nie powinno go to obchodzić, bo w końcu ona przyjechała tu tylko na weekend. Potem podąży swoją drogą, w pogoni za tym durniem, z którym się zaręczyła. Wydaje się jej, że ślub z nim zapewni jej ochronę przed Gwen, Schomberg, no i przed Samem...

-Przepraszam pana! - Z zamyślenia wyrwał go głos kobiety mniej więcej sześćdziesięcioletniej, która uśmiechała się do niego od wejścia.

- Mam przesyłkę dla Bena Morgana.

-To ja! - zawołał Ben, wybiegając pospiesznie zza bufetu.

-Zamówiłeś jakiś nowy sprzęt? - zagadnął Sam, kiedy Ben odbierał od przybyłej bloczek.

-To jest struś - wyjaśniła pracownica działu spedycji.

-Zamawialiśmy strusia? - spytał Sam Bena, który już podpisywał przekaz.

- Nie, to nie dla nas - uspokoił szefa, oddając spedytorce długopis. Z wieszaka na kapelusze zabrał czapkę baseballową zdobną logiem drużyny „Górskie Koty”. - Mam nadzieję, że Ewa Henley go weźmie. Ma już dwa, więc chyba przygarnie jeszcze jednego bezdomnego.

-Bezdomny struś? - zdziwił się Sam. Wyszedł z obojgiem na dwór, gdzie przy krawężniku stała zaparkowana półciężarówka z przyczepą do przewozu koni.

-Straszne problemy teraz z tymi strusiami - wyjaśnił Ben, otrzepując czapkę o nogę, podczas gdy konwojentka odwijała plandekę z górnej połowy tylnych drzwi przyczepy. - Odkąd załamał się rynek zbytu na te stworzenia, hodowcy zaczęli masowo porzucać je w lasach.

Sam przyglądał się z boku, kiedy z przyczepy wyjrzała głowa ptaka wysokiego na jakiś metr osiemdziesiąt, z dużymi, niebieskimi oczami

i szyją, która po wyciągnięciu się w górę zwiększała jego wzrost do ponad dwóch metrów.

- Czy to znaczy, że nasze lasy są teraz pełne strusi? - Spytał.

- Nie śmieję się, bo to największe okrucieństwo, jakie w życiu widziałem. - Ben przechadzał się wzdłuż przyczepy, podczas gdy oczy ptaka śledziły każdy jego ruch. - Oczywiście jeśli wiesz, gdzie masz patrzeć.

Sam roześmiał się, na co struś zamrugał powiekami, a Ben bezradnie opuścił ramiona.

- Ty nie kupiłbyś go, prawda?

- Ewa też nie.

Ben potarł usta dłonią.

- Więc może zrobimy tak. Właściciel nie był w stanie go utrzymać, więc zabrałem go od niego.

- To już lepiej, ale naprawdę skąd go wziąłeś?

- Od jednego faceta z Roanoke. Nie ma teraz na nie popytu, więc kupiłem go tanio. Tylko nie mów o tym Ewie, bo będzie chciała mi za niego zapłacić, a ja nie wezmę od niej ani grosza. Ona po prostu potrzebuje samca.

Sam uniósł brew, więc Ben ze śmiechem trzepnął go swoją czapką.

- Oczywiście chodzi o samca strusia! Za późno zorientowała się, że kupiła dwie samice, a nie miała serca odesłać jednej, żeby nie poczuła się odrzucona. Tylko że do nich potrzebny jest samiec. - Westchnął i zwrócił się do Sama:

- Daj mi słowo, że jej nie powiesz, ile kosztował.

- Dobrze, ale ty mi za to też coś powiedz. Kiedy wreszcie dasz sobie spokój z Ewą?

Ben zamyślił się na chwilę, potem wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ptaka po szyi.

- Myślę, że nigdy - odpowiedział w końcu. - To złamałoby jej serce.

Sam roześmiał się, na co Ben tylko wzruszył ramionami i wyciągnął z kieszeni kluczyki od swojego samochodu.

- Kiedy to prawda! - upierał się. - Jestem pewien, że gdzieś w głębi tego jej hardego serca ona mnie kocha. Czuję to!

Konwojentka wróciła do przyczepy i Ben dał jej kartkę z wypisanym adresem, pod który miała dostarczyć ptaka.

-Tylko niech pan nie zostaje za bardzo w tyle - poprosiła, zaganiając strusia głębiej do wnętrza przyczepy, aby móc domknąć drzwi. - Nie mam zbyt dużo czasu.

-Pojadę zaraz za panią - zapewnił Ben, dzwoniąc kluczykami, a kiedy półciężarówka ruszyła, zapytał Sama: - Może chcesz pojechać ze mną? Pomógł byś mi przy tym strusiu.

Sam potrząsnął przecząco głową.

-Wątpię, aby Max była tym zachwycona.

-Dlaczego? - Ben przestał brzęczeć kluczykami i spojrzał na niego spod oka. - Coś ty jej zrobił?

-Nic, po prostu nie zgadzamy się w pewnych sprawach.

-Aha, pewnie chodzi o to, że ten jej narzeczony nie przyjechał?

- Oho, widzę, że plotki szybko się rozchodzą.

-Jeszcze się nie rozchodzą, ale na pewno będą. – Ben spojrzał na drugą stronę ulicy w kierunku zakładu Cy, powtórnie trzepnął się czapką po nodze i odwrócił się do Sama. - Ta Maxine jest jakaś dziwna. Na pierwszy rzut oka wydaje się taka niedotykalska i niezależna, ale w środku jest krucha jak szklanka.

Sam przypomniał sobie wczorajszy wieczór, kiedy Max rozpaczliwie próbowała uciec od bezsensownej przeszłości w jutro, w którym nie było miejsca na miłość. Równocześnie jednak upierała się, że ma prawo do własnych decyzji i nie obchodzi jej, co on o tym myśli.

- Teraz już niech się kto inny o nią martwi! - Klepnął Bena w ramię i zawrócił w stronę piwiarni. - Lepiej się pośpiesz, bo twój ptak przybędzie na miejsce przed tobą.

- Czy to właśnie próbowałeś sobie wmówić tamtym razem?

Sam zatrzymał się w pół schodów i obejrzał się za siebie. Ben stał jeszcze przy krawężniku, a z jego wyrazu twarzy trudno było cokolwiek odczytać.

- Czy to próbowałeś sobie wmówić, kiedy wyjeżdżałeś stąd po śmierci Briana? - powtórzył. - Ze nie musisz się więcej o nią martwić?

Sam poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Powoli zawrócił.

- O co ci chodzi?

- Po prostu dziwi mnie, że nigdy nawet nie zainteresowałeś się, co działo się tutaj po twoim wyjeździe.

- To było tak dawno... Nie widzę powodu...

Ben przerwał mu gestem uniesionej ręki.

- Powód jest taki, że ta dziewczyna potrzebowała przyjaciela, a ciebie wtedy przy niej nie było.

Sam zdawał sobie sprawę, że z okien sklepu Cy obserwuje go wiele par oczu. Nie miał jednak ochoty przenosić tej dyskusji w inne miejsce.

- Rany Boskie, przecież byłem wtedy na studiach, na drugim końcu kraju! - zdenerwował się. - Skąd miałem wiedzieć, co tu się działo?

- Ona uciekała z domu, raz za razem. - Ben ruszył do swojej półciężarówki, zaparkowanej po drugiej stronie ulicy. Szedł tak szybkim kro-

kiem, że Sam musiał biec, aby nadążyć za nim. - Wyglądało to, jakby szukała Gwen.

- Zaraz, zaraz. Przecież Gwen mieszkała w Waszyngtonie. Jak ona mogła wyrywać się sama w taką drogę?

Ben zatrzymał się przy swoim wozie i obejrzał się przez ramię na Sama.

- Raz udało się jej dotrzeć aż do Bostonu - rzucił od niechcienia. - Wybrała się tam za tobą. Prawie całą drogę autostopem.

Sam bez trudu wyobraził ją sobie stojącą na poboczu szosy z kciukiem uniesionym w górę. Chciała dostać się do Bostonu, aby odszukać chłopaka, który wcale o niej nie myślał, bo świadomie wypiął się na Schomberg i wszystkich jego mieszkańców z nią włącznie. Na myśl o tym nerwowo przeczesał włosy palcami. W gruncie rzeczy on jeden zrobił to, co sobie obiecali - uciekł stamtąd i nie oglądał się za siebie. Jak mógł myśleć, że to będzie aż takie proste?

- A to idiotka! Przecież każdy mógł ją stamtąd porwać...

- Przywiozła ją policja - dokończył za niego Ben. - Po tym zdarzeniu nie ruszała się więcej z domu, ale zatruwała Ewie życie na potęgę. Wiecznie się z nią kłóciła, żądając, aby sprzedała farmę i wyprowadziła się stąd. - Z westchnieniem nasunął czapkę na czoło. - Może byłoby jej lżej, gdyby to zrobiła?

Sam ciężko opadł na karoserię ciężarówki.

- A ja nawet do niej nie napisałem!

Ben uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

- Ona nigdy nie miała do ciebie o to pretensji. Odwrotnie, może nawet to wpłynęło na nią pozytywnie. Ty wyjechałeś na studia, więc uznała, że to jest i dla niej jakieś wyjście. Uspokoila się, przestała uma-

wiać się na randki i chodzić na imprezy, ba, nawet grać w piłkę! Zachowywała się tak, jakby jej nie było. Sam zadarł głowę i spoglądał w niebo.

- Tamtego lata nie przyjechałem do domu nawet na wakacje - wyznał cichym głosem. - Wmówiłem ojcu, że muszę zostać w Bostonie, bo trafiła mi się świetna robota. A wiesz, co to było? - Uśmiechnął się do Bena. - Telefoniczne zbieranie zamówień na prenumeratę czasopism. Całe lato przegadałem przez telefon z obcymi ludźmi, żeby nie musieć rozmawiać z nikim w Schomberg, nawet z Max. - Parsknął krótkim, urywanym śmiechem. - Dobry był ze mnie przyjaciel, co?

- Byłeś wtedy młody, Samie.

- Za to teraz już nie jestem taki młody. - Westchnął i odsunął się od ciężarówki. - A ona nie chce nawet mojej przyjaźni.

- Powiedziałyby ci, gdyby tak było. - Ben ostentacyjnie się odwrócił i spojrzał prosto w okno wystawowe sklepu Cy. Sam z satysfakcją zauważył, jak trzy twarze od razu się wycofały. - Jak za dawnych czasów, co? Znaleźliście się z Max w samej kuźni plotek. Zobaczysz, ile „życzliwych” osób zacznie się teraz złazić na farmę. Oczywiście wszystkie będą miały najlepsze intencje, ale Max zdrowo się napoci, żeby każdej wytłumaczyć, gdzie się podział jej narzeczony.

- Przydałby się jej ktoś w odwodzie - zgodził się z nim Sam.

- Owszem, ktoś, komu by ufała.

- Komu na niej zależy.

- I musi to być ktoś, kto wie, jak się sprawy mają z tym durniem Peterem.

Sam wyciągnął rękę:

- Daj mi kluczyki, bo nie cierpię, jak prowadzisz. -Otworzył kabinę ciężarówki i zasiadł za kierownicą. -I zadzwoń do Michaela. Powiedz mu, żeby mnie zastąpił, co oznacza, że nasiona sosny będą wszędzie.

Max zakręciła kran, otworzyła drzwiczki kabiny prysznicowej i podniosła telefon komórkowy z posadzki. Odgarniając z oczu mokre pasma obejrzała dokładnie wyświetlacz. Sprawdziła wskaźnik naładowania baterii i zasięgu, mając nadzieję, że znajdzie wiadomość nagraną na poczcie głosowej.

Niestety, nie zobaczyła ikony migającej koperty ani informacji „Masz nową wiadomość”. Jedyne komunikaty na wyświetlaczu były data i godzina, niewiele różniąca się od czasu podanego dziesięć minut temu.

Kusiło ją, aby wybrać numer Petera, ale podobnie jak wczoraj, naciskała przycisk kończący rozmowę jeszcze zanim uzyskała połączenie. Nie pamiętała już, ile razy tak próbowała - dziesięć, dwadzieścia czy więcej? - aż w końcu zarzuciła tę upokarzającą czynność, odłożyła komórkę i sięgnęła po ręcznik. Doszła do wniosku, że nie ma sensu zaczynać tego od nowa.

Wróciła do sypialni i podciągnęła roletę. Ucieszyła się, że słońce świeci od rana, niebo jest tak jaskrawo niebieskie, że aż razi, a tam, gdzie wczoraj stały namioty, biega z pół tuzina lam. Nigdzie nie było widać krasnoludków ani wrózek, a talizman miłosny otrzymany od Ilo-ny leżał tam, gdzie jego miejsce, czyli w koszu na śmieci.

Oznaczało to, że życie wróciło do normalności. Ubrała się szybko, wrzucając przez głowę lekką, bawełnianą sukienkę. Miała nadzieję, że

Peter dziś zadzwoni, Rzucając spojrzenie w stronę telefonu komórkowego leżącego w łazience, wyobrażała go sobie już na pokładzie samolotu, rozczochranego i nieogolonego, bo tak się spieszył, żeby jej wszystko wyjaśnić.

Co prawda nie widziała nigdy, żeby Peter nie zdążył się ogolić lub uczesać, jak również, żeby gdzieś się specjalnie spieszył, toteż obraz nie był zbyt wyraźny, ale nawet słysząc kroki matki na schodach była pewna, że wkrótce zobaczy oryginał.

Tylko czy naprawdę go kocha? Odpychała od siebie pytanie zadane jej przez Sama. Chętnie uwolniłaby się od niego raz na zawsze, ale wiedziała, że marne są na to widoki. Stale czuła przy sobie jego milczącą obecność, czy to brała do ręki komórkę, czy zamykała oczy. Wciąż zasiewał w jej umyśle ziarno niepewności, każąc jej - po raz pierwszy od wielu lat - wątpić w słuszność własnego postępowania.

- Nigdy więcej! - powiedziała do siebie na głos, zamykając z ostentacyjnym trzaskiem klapkę komórki.

Dopiero wtedy odpowiedziała na pukanie do drzwi.

Na progu stała jej matka, trzymając plecioną z wikliny tacę. Stał na niej dzbanuszek z różowymi różami, kubek gorącej kawy i przykryty talerz.

- Przypuszczałam, że pewnie rozmawiasz przez telefon. - Cmoknęła córkę w policzek, podała jej kubek i przeszła do nocnej szafki, aby postawić tam kwiaty. - Chciałam je tu przynieść już wczoraj wieczorem, ale w tym całym młynie zupełnie zapomniałam.

Gdzieś się podziiała wczorajsza Cyganka - zamiast obfitych spódnic Ewa nałożyła szorty i koszulkę bez rękawów, a włosy ściągnęła w kok na czubku głowy, Max przyglądała się, jak matka ustawia kwiaty na nocnym stoliku i wyobrażała sobie, jak sama będzie wyglądać w wieku

lat pięćdziesięciu trzech. Perspektywa ta wcale jej nie przerażała.

-Bob i Sylwia wyjechali dziś wczesnym rankiem, ale kazali złożyć ci najlepsze życzenia z okazji ślubu - zakomunikowała jej Ewa, ściągając kołdrę z łóżka i przystępując do wygładzania prześcieradła.

-Bob i Sylwia? - przypominała sobie Max, pociągając łyk kawy. - Aha, to ci od kangurów. A propos, gdzie są te puchate maleństwa?

-Na wybiegu, za domem. - Ewa strząsnęła prześcieradło i delikatnie ułożyła je na łóżku. - A śniadanie w bufecie, na dole.

Max czuła dolatujące aż na piętro zapachy jajek, naleśników, syropu klonowego i bekonu. Znając swoją matkę przypuszczała, że na szwedzkim stole stoją także garnuszki smażonych w domu dżemów i koszyk ciepłych bułeczek. Pewnie przygotowała to wszystko, kiedy już nakarmiła zwierzęta.

-Wypróbowałam właśnie nowy przepis na chleb bananowy - zmieniła temat Ewa. - Z zarodkami pszennymi i otrębami. Same zdrowe składniki.

-Ale pewnie bez smaku? - Max podeszła do łóżka.

-Właśnie dlatego chciałabym, żebyś go spróbowała. -Matka wskazała tacę. - Ugryź kawałek i powiedz, czego mu brakuje.

Max uważnie, nawet z rezerwą, przyglądała się kromce chleba.

-Przecież mówiłam ci, że nikt nigdy nie chciał jeść tego, co ugotowałam. Skąd mogę wiedzieć, czego tu jeszcze potrzeba?

-Nic nie mów, tylko skosztuj - nastawała Ewa, komicznie przewracając oczami.

Max odłamała rozek kromki i wsadziła go do ust. Było to jakieś suche i mdłe.

-No? Co tam jeszcze mam dodać? - nie ustępowała Ewa.

-Najlepiej lakieru do włosów, żeby ładnie błyszczał! -wymówiła się Max. Za nic w świecie nie dałaby się matce zaciągnąć do kuchni.

-Jesteś niemożliwa! - Matka znów zajęła się słaniem łóżka.

- A ty pracujesz za ciężko. - Max zręcznie zmieniła temat, strząsając z palców okruchy. - Prowadzenie takiej placówki to za dużo dla jednej osoby. Potrzebujesz pomocy.

- Już mam. Złap to prześcieradło za drugi koniec.

Max jęknęła i wykonała polecenie.

- Chodzi mi o kogoś na stałe, żeby cię odciążył... -tłumaczyła.

- Kogoś takiego też mam. Pamiętasz tych chłopaków od Jenkinsa? Już tak nie rozrabiają i codziennie przychodzą pomagać mi przy ob-
rządku, a Ben wspaniale się spisuje w dziecięcym ZOO. - Ewa ze śmiechem rzuciła w Max poduszką. - O mnie się nie martw, ja sobie radę dam!

Razem wygładziły kołdrę i wytrzepały poduszki. Max przypomniała sobie, jak mając dziesięć lat uczyła się przy matce słać łóżka, podczas gdy Brian z ojcem ćwiczyli nakrywanie do stołu. Przygotowywali się w ten sposób do prowadzenia zajazdu, co miało zwiększyć rentowność farmy. Poklepując ostatnią poduszkę pomyślała sobie, jak to cudownie, że im się udało.

- Szkoda, że położyłaś się wczoraj tak wcześnie - wspomniała Ewa, wycierając toaletkę, na której nie było ani źdźbła kurzu. - Zabawa trwała jeszcze w najlepsze do późnej nocy.

-Nie wątpię. - Max była ciekawa, czy Ewa otwarcie przyzna się do współuczestnictwa w spisku Ilony.

-Na pewno spodobałyby ci się syrenki - rozwodziła się dalej Ewa. - Wiem, że Sam był nimi zachwycony. Mówił ci coś o nich?

-Nie. - Max postanowiła, że się nie zdziwi, jeśli się dowie, że Sam wrócił do syrenki albo że poszedł z nią, na przykład, na piwo do swego nowo otwartego lokalu. W końcu nie obchodziło jej, co on robi i z kim, dopóki trzymał się od niej z daleka. - Ale wiesz, widziałam jeden fajny numer. Pamiętasz takiego krasnoludka, który rozdawał szmaragdy?

Ewa przytaknęła, zabierając się do ścierania nocnej szafki.

- Tak, to była promocja sklepu „Druga strona lustra” przy Center Street.

Max pomyślała, że to bardzo trafnie dobrana nazwa. Krasnoludek mógł przecież odegrać rolę Białego Królika, a Ilona - Zwariowanego Kapelusznika!

-Okaziciel szmaragdu otrzymuje dziesięcioprocentowy rabat na dowolnie wybrany towar z tego sklepu -wyjaśniła Ewa. - Masz go jeszcze?

-Gdzieś go zgubiłam. - Ewa nie rozwijała tego tematu, więc Max próbowała sama dalej go dźżyć. - A zapamiętałaś taką szczupłą blondynkę? Nazywała się Ilona...

-Ach, Ilona! - Ewa ze śmiechem przetarła szmatką muszelki na ramie lustra. - To chyba najlepsza wróżka po tej stronie Blue Ridge. W porównaniu z nią jestem tylko starą szarlatanką. A co, widziałaś ją?

Max nie mogła powstrzymać uśmiechu, bo przecież Ewa musiała wiedzieć o jej spotkaniu z Iloną. Kto inny mógł to tak ukartować? Jeśli jednak wolą udawać naiwną...

-Tak, ale tylko przelotnie - rzuciła od niechcienia, odchodząc w stronę okna.

-Naprawdę? - zainteresowała się Ewa, a Max, obserwując ją kątem oka, zauważyła, że matka przestała od« kurząc. - I co ci powiedziała?

-Coś na temat podróży za wielką wodę... - zmyśliła naprędce patrząc w inną stronę. Była przekonana, że tym razem Ewa na pewno się wygada, ale matka tylko uniosła brwi.

-To mi nie wygląda na styl Ilony. Czy jesteś pewna, że właśnie tak powiedziała?

-Prawdę mówiąc, nie słuchałam zbyt uważnie - wywinęła się Max. Czekala tylko, kiedy matka sama poruszy temat magicznych zaklęć i amuletów, ale ona tylko mruknęła: „To niedobrze!” i z pasją wróciła do machania ścierką. Max wywnioskowała stąd, że w takim razie kto inny musiał napuścić na nią Ilonę, ale kto to taki?

-A gdzie teraz może być ta Ilona? - spytała ostrożnie.

-Nie mam pojęcia. Ona pojawia się tu tylko raz do roku i znika. - Ewa zwróciła wzrok ku córce. - Ale uwierz mi, gdyby kiedykolwiek mnie zatrzymała i chciała mi coś powiedzieć, nie lekceważyłabym jej słów!

Wróciła do swojego zajęcia, nie widząc jak Max otwiera szeroko oczy ze zdumienia. Ewa była wprawdzie oficjalną organizatorką Jarmarku, ale nigdy nie traktowała aż tak poważnie towarzyszących tej imprezie atrakcji. Znała je przecież „od kuchni” i wiedziała, czemu olbrzym zawdzięcza swoje gigantyczne rozmiary i gdzie „śpiewająca harfa” ma wyłącznik. Dlaczego więc dostała bzika na punkcie Ilony?

Ewa zdjęła białą koszulę nocną z oparcia krzesła i trzymała ją w ręku przed sobą.

- To naprawdę urocze. Szkoda, że Peter tego nie widział.

- Aha - odburknęła Max, mając głowę zaprzątniętą amuletem Ilony i jej zapewnieniem o „przeznaczonym dla niej mężczyźnie”. Jednak dotknięcie śliskiego jedwabiu wywołało w pamięci obraz nie Petera, lecz Sama.

Przypomniała sobie, jak pociemniały mu oczy, kiedy przyłożyła tę koszulę do siebie i jak zacisnął pięści, kiedy wygładzała ją na biodrach. A jaką przemożną satysfakcję odczuła, kiedy musiał się odwrócić!

Odrzuciła koszulę na łóżko. No więc podniecała go, najlepszy dowód, że to on musiał się odwrócić, a nie ona. I dobrze, ale co z tego wynika? Tylko to, że szczeniackie zadurzenie ma długi żywot.

-Ale dziś wieczorem już ją zobaczy, prawda? - spekulowała Ewa.

-Och, nie, dziś jeszcze nie!

- Jak to? - Ewa obdarzyła ją zdziwionym uśmiechem. - Mówiłaś, że ma przyjechać dziś wieczorem. Max dopiero teraz zdała sobie sprawę, o kim mówi jej matka.

-Ach, tak, rzeczywiście, ale dziś nie przyjedzie. Znowu się spóźni.

-Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Dziś rano. - Max na gwałt szukała wymówki. - Zadzwoił do mnie na komórkę, że wezwali go na pilną sesję zdjęciową w Nowym Orleanie.

Ewa kręciła nosem.

-Jak bardzo może być pilna sesja zdjęciowa?

- No cóż, zawsze może się zdarzyć jakiś wypadek losowy. Na przykład plany są ustalone, produkty dostarczone, a tu nagle bach! Fotografik obrywa kulkę w łeb!

Matka wyraźnie się przeraziła.

- Zabili wam fotografika?

Max zatrzepotała rękami, jakby chciała utrzymać się na wodzie.

- No nie, to był tylko przykład! On po prostu zachorował i nie mógł wyrobić się na czas, więc Peter musiał go zastąpić.

- A co z tym zamówieniem w Wirginia Beach?

- Poczekaj - odparła szybko Max. - To miały być zdjęcia do specjalnej książki kucharskiej na Boże Narodzenie, więc mamy rezerwę czasową.

Dwa tygodnie, jeśli miała być szczerą!

- Więc nie pojedziecie na wakacje z Peterem? - Matka przysunęła się bliżej, co sprawiło, że Max poczuła się osaczona. - Będiesz miała dwa tygodnie wolnego i nigdzie się nie wybierasz? - Ewa z uśmiechem wyciągnęła do niej rękę. - A nie mogłabyś po prostu zostać tutaj?

Max cofnęła się o krok. Szkoda, że nie przygotowała sobie lepszej wymówki.

- Chyba nie będę mogła.

- Ale ja tak chciałabym pomóc ci kompletować wyprawę i organizować wesele! - naciskała Ewa. - Oj dawna o tym marzyłam. Modliłam się, żebyś znalazła kogoś, kto cię pokocha i zadba o ciebie. A teraz masz Petera.

Max wytarła spocone dłonie o sukienkę.

- Tak, oczywiście, ale naprawdę nie mogę...

- Nigdy nie sądziłam, że będę miała szansę pomagać ci w przygotowaniach do ślubu! - Ewa coraz bardziej się rozkręcała. - Dopóki ty mieszkałaś w Nowym Jorku, a ja tutaj, nie było to możliwe. Ale teraz ty masz wolne, a ja przez najbliższe dwa tygodnie nie spodziewam się żadnego gościa!

Zawahała się, jakby chcąc staranniej dobierać słowa, Obie jednak wiedziały, że ma rację.

- Max, wiem, że w przeszłości nie zawsze wszystko układało się jak należy - spróbowała z innej beczki. - Ale zobaczysz, że teraz będzie inaczej. Przecież możemy świetnie się bawić, może nawet polubisz kangury... - Wzięła głęboki oddech i przysunęła się jeszcze o krok. - Nie musimy mówić o Brianie i Gwen, i obiecuję, że nie będę zmuszać cię do gotowania! Co ty na to? Spróbujemy?

Wszystkie mocne postanowienia Max wzięły w łeb na widok rozradowanej miny jej matki. Jak mogła jej odmówić? W końcu to tylko dwa tygodnie, a tyle każdy może wytrzymać. Zresztą kto wie - może rzeczywiście będą się dobrze bawić?

-Pewnie, czemu nie? - odpowiedziała, choć nie potrafiła zmusić się do uśmiechu.

-Cudownie! Pojedziemy po zakupy, wstąpimy na lunch do Sama...

t - Nie wybieram się do Sama! - Max na krótko wykrzywiła usta w uśmiechu, aby skłonić matkę do opuszczenia uniesionych brwi. - Przy najmniej na razie, dopóki Peter nie przyjedzie. Chciałabym zostawić najlepsze na deser, żeby mieć mu co pokazać.

-Rzeczywiście, to dobry pomysł - przytaknęła Ewa.

-Właściwie nie chciałabym afiszować się w naszym miasteczku, dopóki Peter nie przyjedzie.

-Tym lepiej, możemy pojechać do jakiegoś centrum handlowego albo nawet do Waszyngtonu. Najważniejsze, że będziesz ze mną.

Matka szykowała się już, aby swoim zwyczajem wylewnie ją uściśkać, kiedy uwagę obu kobiet odwróciło głucho dudnienie. To Columbo szczełał basem, biegając tam i z powrotem wzdłuż ściany stajni, gdyż na podjeździe pojawiła się półciężarówka.

- Och, Columbo, to tylko Ben! - Ewa wychyliła się przez okno. - Pewnie odwozi mi kozę, bo któraś znowu uciekła. Tyle razy mu powtarzałam że oberwie rogami, ale nawet nie słucha. A prędzej czy później

spróbuj coś przetłumaczyć kozie!

- Wierzę ci na słowo.

- Jest z nim jeszcze ktoś. - Ewa przechyliła głowę na bok, aby lepiej widzieć. - To chyba Sam.

- Sam? - powtórzyła Max, zdenerwowana zarówno przyspieszonym biciem własnego serca, jak i faktem, że Sam w ogóle miał odwagę jeszcze się tu pokazać. Błyskawicznie podbiegła do okna. - Czego on może chcieć?

- Prawdopodobnie spotkać się z tobą. - Ewa odwrót ciła się od okna i podniosła z podłogi kosz z brudną bielizną. - Poczekaj, zobaczysz, jak będzie fajnie!

- Już się z tego cieszę! - zakpiła Max, nie odrywając się od okna. Nie mogła się bowiem powstrzymać, żeby nie śledzić wzrokiem Sama wysiadającego z ciężarówki.

Rzeczywiście, setnie się ubawi! Będzie popijać mrożoną herbatę na werandzie, a przed Samem ukrywać się w stajni... Przycisnęła czoło do szyby. Ciekawe, po co on tu znowu przyjechał? Na pewno po to, żeby zarzucać ją niedyskretnymi pytaniami. Może jeszcze przywiózł ze sobą statystykę rozwodów, z której niezbiec wynikało, że miłość jest warunkiem koniecznym dla trwałości małżeństwa?

I jeszcze do tego musiał tak diabelnie seksownie wyglądać! Oceniała go kątem oka - niby nie miał na sobie nic specjalnego, zwykłe ubranie do pracy na wsi, wytarte dżinsy, koszulę z zawiniętymi rękawami i kowbojskie buty, ale jak te łachy na nim leżały!

Przestraszyła się, bo spojrzał w górę, jakby widział ją w oknie. I rzeczywiście uśmiechnął się i pomachał w tamtym kierunku ręką. Zwyczajne, przyjacielskie pozdrowienie, tylko że ona w tym momencie

nie żywiła do niego przyjaźni.

Spróbowała zapuścić żaluzję, ale zaraz cofnęła rękę, a potem znów ją wyciągnęła. Czuła, że twarz jej płonie, a serce bije coraz szybciej...

-Max?

Odwróciła się gwałtownie i napotkała spojrzenie Ewy, która przyglądała się jej od drzwi.

- Coś się stało, czy źle się czujesz?

Max z trzaskiem zapuściła żaluzję.

- Ależ skąd! - Przyglądała jedną ręką włosy, a drugą sukienkę. Wzięła się pod boki, uważając, żeby nie wykonywać nerwowych ruchów. - Wyjdź tam do nich, a ja zaraz dołączę, tylko przebiorę się w coś lżejszego. Może szorty, chociaż na ten upał sukienka byłaby lepsza...

Siłą woli nakazała sobie milczenie, żeby matka mogła nareszcie wyjść, a ona zyskała szansę ułożenia jakiegoś planu działania.

- Jak wolisz - wzruszyła ramionami Ewa. Schyliła się, aby zabrać ze sobą także i kosz na śmieci.

Max w ułamku sekundy przypomniała sobie Ilonę, krasnoludka i tę dziwną przenośnię z „uśmiechniętym księżycem”. Uznała to za znak. Może zresztą to był tylko niepokój, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Błyskawicznie zrozumiała, że Ewa nie musiała zaplanować z góry jej spotkania z Iloną. Wystarczyło, że Ilona sama ją znalazła. A poduszeczka, która teraz spoczywała w koszu, nie tyle była talizmanem miłosnym, ile raczej sygnałem. Znakiem orientacyjnym, którym Peter miał się kierować, aby ją tu odnaleźć i zabrać do domu. Do miejsca, gdzie nowe znajomości nawiązywało się w barach, dzika przyroda nie panoszyła się bez kontroli, a Sam O’Neal ze swoimi wścibskimi pyta-

niami i diablo seksownymi dzinsami pozostawał tylko mglistym wspomnieniem.

-Zostaw to! - krzyknęła, a widząc zdumione spojrzenie Ewy załogodziła ją śmiechem. - Co ty sobie myślisz, że pozwolę ci targać po schodach te wszystkie ciężary? - Zwinnym ruchem porwała kosz. - Zniosę go na dół, kiedy sama będę schodzić.

-To ładnie z twojej strony, kochanie. - Ewa wycofała się za drzwi. - Dziękuję ci.

-Cała przyjemność po mojej stronie! - odkrzyknęła Max z uśmiechem, zamykając drzwi.

Od razu opadło z niej napięcie, kiedy usłyszała kroki Ewy schodzącej w dół po schodach. Wróciła do okna, odchyliła róg żaluzji i dyskretnie wyjrzała. Sam nie ruszył się z poprzedniego miejsca, natomiast przybyła jeszcze jedna półciężarówka, ciągnąca za sobą przyczepę do przewozu koni. Czyżby przywieźli żyrafę do ZOO? W tej chwili jednak Max nie miała czasu myśleć o zwierzętach. Musiała raczej zastanowić się nad swoją przyszłością, i to jak najdalej od Schomberg!

Wyciągnęła z kosza poduszeczkę, która była ciepła i miękka. Wodząc palcem po złotych nitkach haftu Max stwierdziła, że przedmiocik jest nieduży i niezbyt gruby, a więc łatwo go będzie nosić tak, aby nikt nie zauważył, nawet matka.

Zamknęła oczy i ścisnęła poduszeczkę mocniej, wmawiając sobie, że nie jest to amulet, tylko znak orientacyjny. W końcu wszystko było tylko kwestią nazwy.

-Max, idziesz już? - wołała z dołu jej matka.

-Poczekaj, już idę!

Zrobiła kilka kroków w odpowiednim kierunku, wzięła głęboki od-

dech, ukryła talizman za dekoltem tak, aby znajdował się blisko serca i czekała. I rzeczywiście, wbrew wszelkiej logice poczuła promieniujące w tym miejscu ciepło, od którego mrowiła ją skóra, a serce biło szybciej.

Otworzyła oczy i podeszła do lustra, aby sprawdzić działanie talizmanu. W szklanej tafli zobaczyła jednak tylko kobietę o szeroko otwartych, niebieskich oczach, nie dosuszonych włosach i zaróżowionych policzkach.

Przyłożyła dłonie do twarzy i skierowała się ku drzwiom. Idąc, powtarzała sobie szeptem przepowiednię Ilony: „Mężczyzna, który jest mi przeznaczony, odnajdzie mnie na pewno”.

RS

4

Max trzymała się w bezpiecznej odległości od przyczepy. Strusie widywała dotąd tylko na obrazku. Wiedziała, że są to wielkie ptaszyska, które mają zwyczaj chować głowę w piasek. Jednak ten tutaj nie robił nic podobnego.

Z wyżyn swojego wzrostu wyciągał szyję, jak daleko mógł, śledząc każdy krok Ewy, która zbliżała się powoli, z uniesioną ręką, ukazując otwartą dłoń na znak, że nie ma złych zamiarów. Max zastanawiała się tylko, czy długi dziób ptaka nie kryje wewnątrz zębów.

- Mówisz, że to sierota? - Ewa wypytywała z uśmiechem Bena. - No więc jak to się stało?

Struś tylko zamrugał na nią oczami, więc skinęła na Bena, żeby razem z nim wypełnić odpowiednie formularze. Podszedł do niej, wpatrując się w czubki swoich butów.

- Już po drodze opowiadałem Samowi że przedtem trzymał go jeden facet z Roanoke, który nie miał go za co karmić. Popatrz tylko na to biedactwo, jeszcze nie ma roku, a mało brakowało, żeby zdechł z głodu! Oczywiście od razu pomyślałem o tobie.

Max nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jej matka tak uroczo się rumieniła lub spuszczała oczy, Musiało to mieć miejsce jeszcze za życia ojca, czyli kiedy Max skończyła dziesięć lat.

„Trochę za długo jak na miłość bez wzajemności" pomyślała. Wiedziała jednak, że biednemu Benowi przez ten cały czas nie udawało się wyciągnąć Ewy nawet do kina, więc solidaryzowała się raczej z nim.

- Wpuścimy go tam, gdzie reszta - postanowiła tymczasem Ewa.

- Reszta? - przeraziła się Max. - To ile ich tam jest?

- Tylko Laverne i Shirley - wytłumaczyła Ewa. - Dla niego nie wymyślałam jeszcze imienia.

Max przyglądała się, jak Ben opuszcza klapę przyczepy, ale cofnęła się o krok, kiedy ptaszysko postawiło na rampie łapę.

- Chyba nie umieścisz go w dziecięcym ZOO? - wyraziła nadzieję.

- Oczywiście, że nie. - Ewa uspokajała strusia czułymi słowami, podczas gdy Ben prowadził go do stajni. W którymś momencie jednak ptak przystanął, wykręcił głowę do tyłu tak, że mógł spojrzeć Ewie prosto w oczy i dziobnął błyszcząca spinkę w jej włosach.

Max syknęła, zastanawiając się, do czego w ogóle Ewie potrzebne są strusie. Wyartykułowała swoje wątpliwości głośno, kiedy struś postawił toporną stopę o centymetry od palców Ewy.

Odprowadzając wzrokiem odjeżdżająca przyczepę Ewa spokojnie odpowiedziała:

- Kochanie, pomyśl tylko o kapeluszach!

Max od razu wyobraziła sobie trzech muszkieterów lub postacie z obrazów Moneta w kapeluszach ze strusimi piórami.

- Kto dziś nosi takie kapelusze? - zaoponowała, kiedy weszli do ciemnej stajni.

- Tobie byłoby w nich ładnie! - wtrącił się Sam.

Odwróciła się i zobaczyła jak wychodzi z przyczepy. Włosy tak

czarne, że aż niebieskawe, miał odrzucone do tyłu, w oczach iskierki humoru i lekki uśmiech na ustach.

- Szczególnie w takim z szerokim rondem - kontynuował swoje rozważania. Max starała się za wszelką cenę ukryć przyśpieszone tętno, powtarzając sobie, że to wzburzenie szybko minie.

- I z kokardą... - dodał, idąc przy niej z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż boków. Widać było, że czuł się tutaj jak u siebie w domu, nawet z kozą depczącą mu po piętach.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. W końcu trudno długo gniewać się na kogoś, kto spaceruje z kozą! Jednak dla zachowania pozorów skrzyżowała ręce na piersiach i zadarła podbródek.

- Z kokardą? - powtórzyła wyniośle.

- Tak, i jeszcze z takim długim, fryzowanym, strusim piórem, które opada nisko i tu cię łaskocze - powiódł palcem po jej policzku. Potem nachylił się do jej ucha i szepnął: - I w niczym więcej!

Max trzepnęła go po ręku.

- Chyba w twoich snach!

- Teraz także i w twoich. - Ze śmiechem uchylił się od następnego klapsa.

- Nie licz na to! - fuknęła, zdenerwowana zarówno tym, że mówił prawdę, jak tym, że Peter nie dzwonił, a w dodatku koza zaczęła skubać kwiaty na jej sukience.

Sam popchnął zwierzę w stronę drzwi stajni.

- No, zmykaj! - polecił, zadając kłam teorii, w myśl której kozie trudno byłoby cokolwiek przelumaczyć.

Max potrząsnęła z niesmakiem głową. Zobaczyła jeszcze jedną zabawną scenkę z życia na wsi, którą będzie mogła opisywać w Nowym Jorku!

Sam ponownie zwrócił się do niej, nie przestając szczerzyć zębów w uśmiechu:

-Ej, Max, nie udawaj, że nigdy nie ubierałaś się tak dla Petera! Kapelusz albo czólenka na szpilkach i nic więcej poza uśmiechem...

-Ty ciągle o tym samym? - spytała, patrząc w przestrzeń.

Podszedł o krok bliżej i uśmiech znikł z jego twarzy.

-Co, chcesz mi wcisnąć, że nigdy tego nie robiłaś? -Uniósł jej podbródek, aby musiała spojrzeć mu w oczy. - Nie wierzę!

-Owszem, wiele razy - odparła, siląc się na obojętny ton, choć czuła, jak płoną jej policzki i wyobrażała sobie, jakie muszą być czerwone. Rzecz w tym, że nigdy nie wystąpiła przed Peterem ubrana tylko w czólenka i... uśmiech! Peter ani razu czegoś takiego od niej nie zażądał, co oznaczało, że był dżentelmenem, podczas gdy Sam - wręcz przeciwnie!

Pchnęła go otwartą dłonią w pierś, jakby potrzebowała więcej miejsca, by go lepiej widzieć.

-Po co tu znowu przyjechałeś? - zaatakowała. - Żeby zadać mi kolejne pytania czy wykazać, jakie popełniam błędy? Bo jeśli tak, to...

-Przyjechałem, żeby cię przeprosić za wczorajszy wieczór. - Cofnął się o kilka kroków. - Nie mam prawa osądzać ciebie ani Petera. Wprawdzie nie aprobuję twego postępowania, ale zawsze możesz na mnie liczyć, ilekroć będziesz tego potrzebowała. Chciałem, żebyś to wiedziała, zanim stąd wyjedziesz.

Max w zakłopotaniu wpatrywała się w swoje paznokcie, bo nie spodziewała się przeprosin z jego strony. Ucieszyła się z tego bardziej niż się przyznawała sama przed sobą, ale nadal nie była pewna, czy pragnęła jego towarzystwa.

- I przepraszam cię za tę głupią gadkę o kapeluszu - dodał jeszcze.
- Sam nie wiem, o czym wtedy myślałem.

Tu już kłamał, bo jasne było, że myślał o niej w takim kapeluszu od momentu, kiedy ją zobaczył, wychodząc zza przyczepy. Słońce przenikało przez sukienkę, wydobywając tylko zarysy jej ciała. Resztę musiał dopowiedzieć korzystając z bogactwa wyobraźni, która spisała się aż nazbyt dobrze.

Jednak ten weekend zdawał się składać z samych kłamstw i tajemnic, więc Sam pozostał przy swojej wersji, pewien, że Max nie będzie chciała usłyszeć prawdy. Przynajmniej nie wtedy, kiedy miała w głowie tylko Petera, podczas gdy naprawdę potrzebowała przede wszystkim przyjaciela.

- Dziękuję ci - odpowiedziała. Potrafiła zapominać i przebaczać szybciej niż on, gdyż taka właśnie była.
- A on miał cholerne szczęście, że na nią trafił. - Ale na razie nigdzie nie wyjeżdżam!

Sam potrząsnął głową.

- A ja myślałem, że spieszysz się z powrotem do Nowego Jorku!
- Tylko krowy nie zmieniają poglądów. – Poszła pierwsza w kierunku wybiegu, dając mu dużo do myślenia na temat tego, co mogło wpłynąć na zmianę jej decyzji.

Podciągnęła się na płot i usiadła na nim okrakiem.

- Wynika stąd, że przez najbliższe dwa tygodnie będę kompletować wyprawę i planować wesele. Jeśli uważasz, że nie dasz rady tak długo zachowywać pozorów, zrozumieć to.

- Postanowiłaś nic jej nie mówić, tak?

- A o czym tu mówić? - Wytrzymała jego spojrzenie.

Sam skinął głową i oparł się o płot.

- Wnioskuje z tego, że Peter dostał pilne zamówienie i to go zatrzymało, ale przyjedzie tak szybko, jak tylko będzie mógł. Pasuje?

- Super! - pochwaliła, zniżając głos.

- Widzisz, od czego są przyjaciele?

Uśmiechnęła się do niego, rzeczywiście przyjaźnie, ale zaraz wpatrzyła się gdzieś w przestrzeń.

- Powinnam chyba wracać do domu, bo Peter może dzwonić.

- Pewnie, byłoby źle, gdyby cię nie zastał.

Nie odpowiedziała, więc zachodził w głowę, o czym w tej chwili myślała i co oznaczało to, co widział w jej oczach. No i co zrobiłaby, gdyby postanowił rzucić wszystko w diabły i pójść na całość? Po prostu ściągnąłby ją z tego płotu, przerzucił sobie przez ramię i wierzgającą zaniósł do samochodu. Chętnie przejechałby wiele kilometrów, aby znaleźć miejsce, gdzie mogliby zostać naprawdę sami. Tam spróbowaliby otrząsnąć się ze swoich poprzednich wcieleń i przyzwyczaić się do nowych. Może udałoby im się też zasypać przepaść między jednymi a drugimi?

- Czy jest tu Maxine Henley?

Na wybiegu rozległ się przeraźliwy głos, który zmącił błogą ciszę. Wszyscy wzdrygnęli się i odwrócili w kierunku dźwięku. Od strony tylnych drzwi domu Ewy machała do nich ręką kobieta, która od razu dała się poznać jako Judith Anderson, była gwiazda sezonu. W jednej ręce trzymała jakiś prezent, a w drugiej coś, co wyglądało jak kawałek odłamany od czegoś większego.

Sam obejrzał się na Bena i Ewę wychodzących ze stajni. Okazało się, że Ben miał rację, jeśli chodzi o gości, ale ta niespodziewana wizyta zaskoczyła także i jego.

- Pukałam do drzwi od frontu - tłumaczyła się tym czasem Judith, -

ale nikt mi nie odpowiadał, więc pomyślałam sobie, że pewnie tu jesteście.

- Musiała pewnie przekopać cały dom, aby się o tym przekonać! - syknęła Max do Bena, z oczyma zwięzonymi złością. - Ciekawe, jak długo tam była?

- Wystarczająco, aby wysledzić, dla ilu gości twoja mama zarezerwowała pokoje i co zamierza podawać na śniadanie - mruknął Ben, opierając łokieć o płot.

Publiczną tajemnicą było bowiem, że Judith prowadziła inny zajazd w nowej dzielnicy miasteczka. Wybudowała monstrualną kamienicę urządzoną w stylu ekskluzywnych magazynów i umeblowaną importowanymi antykami, które przedstawiała swoim gościom jako pamiątki rodzinne odziedziczone po przodkach. Zarzucała swoimi folderami biur podróży, wykupywała przestrzeń reklamową we wszystkich przewodnikach i czasopismach poświęconych turystyce i korzystała z każdej okazji, żeby podglądać bieżące posunięcia konkurencji.

- Wydaje mi się, że temu chlebowi bananowemu czegoś brakuje - zastanawiała się głośno, oblizując palce. - Dobrze, że Max tu jest, to się zaraz dowiem, co jeszcze mam dodać.

- I pewnie zaraz zechce przepis! - skomentowała jej słowa Max, zwracając się do Sama. - Trudno mi uwierzyć, że kiedyś z nią chodziłeś.

- Ona była wtedy blondynką, a ja byłem młody. - Sam smętnie zwiesił głowę. - Teraz mi wstyd.

Ben roześmiał się tak głośno, że Max dała mu sówkę w bok. Dopiero Ewa, przechodząc koło nich, zmierzyła całą trójkę surowym spojrzeniem.

- Bądźcie grzeczni dla gościa! - pouczyła i od razu, bez wysiłku, przybrała wyraz zawodowej uprzejmości.

Z uśmiechem pomachała ręką nowo przybyłej kobiecie. - Ach, Judith, co za miła niespodzianka!

-Szczyt południowej gościnności! - skomentował Ben.

-Dlatego zawsze wolałam mieszkać na północy -mruknęła pod nosem Max, ześlizgując się z płotu.

Sam zauważył, że Max nie umiała, jak jej matka, uśmiechać się na zawołanie. Zwykle wolno jej to szło, ale tym razem twarz rozjaśniła się jej w ułamku sekundy.

-Gdzie tym razem Peter musiał tak pilnie pojechać? -spytał, kiedy się zrównał z nią.

-Do Nowego Orleanu - odpowiedziała, nie przestając się uśmiechać.

- Powiemy jej, że zamówienie na świąteczną książkę kucharską zostało odłożone, a nowy klient zatrudnił własną stylistkę, więc zrobiłam sobie miłe wakacje.

-Dobrze, powiem jej to.

Sam dostrzegł skrzywienie jej warg, kiedy odchyliła głowę do tyłu, aby spojrzeć na niego:

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - wyszeptała.

Idąc obok niej, Sam uświadomił sobie, że też się nad tym zastanawia.

-Gratuluję! - oznajmiła tymczasem Judith, równocześnie wręczając Ewie prezent i wyciągając ramiona do Max. - Myślałam, że pierwsza złożę ci życzenia, ale widzę, że ktoś mnie ubiegł. Jak się masz, Samie?

-Dziękuję, wszystko w porządku - odpowiedział zdawkowo, ale wzdrygnął się widząc, jak Judith cmoknęła powietrze na wysokości policzka Max.

-Niech no ci się przypatrzę! - cofnęła się o krok. -Nic się nie zmieniłaś. Najwyżej włosy, ale myślę, że do wesela ci ich przybędzie.

-Wprost marzę o tym! - Uśmiech nie schodził z twarzy Max.

[

Judith popatrzyła na nią obojętnie, a potem też się uśmiechnęła.

- Wiesz, to nawet lepiej, że cię znowu widzę. Mamy tyle zaległości do nadrobienia...

Max błyskawicznie odwróciła głowę. -My?

- Wydaje mi się, że mogę tak mówić. Nie widziałyśmy się od tamtego wieczoru, kiedy Sam zabrał mnie na tańce do Kleinburga. - Judith ze śmiechem zwróciła się do Sama. - Pamiętasz, wstąpiliśmy tu po Briana i Gwen. - Przeniosła wzrok na Max: - Wiesz, że ona wróciła, prawda? Wygląda dobrze pod każdym względem, ale nie wyobrażam sobie, jak ona może mieszkać tu całkiem sama...

Z tonu głosu Judith Sam wywnioskował, że nie zauważyła lekko uniesionego podbródka Max ani jej palców, nerwowo poruszających się po udzie. On jednak nie przeoczył nawet takich drobiazgów.

- Wspomniałaś coś o tańcach - odezwał się do Judith, przysuwając się równocześnie bliżej do Max. -Przypomnij mi, jaką wtedy miałaś sukienkę?

- Oczywiście niebieską.

Podczas gdy Judith z nadąsaną miną uskarżała się Ewie na krótką pamięć mężczyzn, Sam za plecami ujął rękę Max. Ona nie obejrzała się, ale na krótką chwilę szerzej otworzyła oczy, aby zaraz rozluźnić palce i pozwolić, aby splotły się z palcami Sama.

On ze swej strony nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy Judith trajkotała jak najęta, chociaż nikt już tego nie słuchał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, po co naprawdę są przyjaciele.

- I wiesz co, Samie? - trzepała dalej Judith. - Nigdy nie mówiłam ci o tym, ale tamtej nocy z trudem mogłam chodzić. - Roześmiała się

na głos, przyciskając rękę do piersi. - Masz pojęcie, że zgubiłam pantofelek? Zupełnie jak Kopciuszek, tylko przed balem! A ty szukałaś go wszędzie, pamiętasz? - Te ostatnie słowa były adresowane do Max.

- Jakby to było wczoraj.

Śmiech Judith powoli cichł.

-No i nie mogę się doczekać, żeby poznać twojego narzeczonego - zmieniła temat. - Gdzież jest ten szczęśliwiec?

-Przyjedzie później - odpowiedziała Max, stanowczo zbyt szybko.

-Tak mi mówiono. Ale wszystko u niego w porządku, prawda?

-W najzupełniejszym. - Sam zabrał głos w zastępstwie Max, ściskając ją mocniej za rękę, jakby chciał tym sposobem zapewnić jej bezpieczeństwo. - Na pewno słyszałaś, jakim Peter jest cenionym specjalistą?

Zawiesił głos, licząc, że Judith przytaknie, bez względu na to, czy słyszała o tym, czy nie.

-No więc, jeśli nagle dostał ważne zamówienie na wybrzeżu... Chodzi o coś naprawdę wysokiej klasy, oczywiście utajnione...

-A ja myślałam, że on tylko robi zdjęcia różnych potraw - bąkała Judith, zmieszana. Sam dla większego efektu zniżył głos.

-Słyszałaś kiedyś o książkach kucharskich sławnych ludzi? - Judith zrobiła oczy jak spodki, więc zaszokował ją jeszcze bardziej: -Widzisz, ten VIP jest bardzo wybredny. Daje zlecenia tylko najlepszym fachowcom, do których, rzecz jasna, zalicza Petera.

Judith od razu spojrzała na Max inaczej, z większym szacunkiem.

-Musisz być z niego dumna!

-Wszyscy jesteśmy - włączyła się Ewa, przekazując Benowi podarunek od Judith. - Jestem pewna, że Max nie zechce tego otworzyć przed jego przyjazdem, więc może poprosimy Bena, żeby zaniósł to do domu?

Ben udał się już w tamtym kierunku, kiedy Ewa ujęła Judith pod ramię i zrećnie obróciła w przeciwną stronę.

- Wiem, dziewczyny, że chciałybyście jeszcze pogadać, ale muszę się ciebie poradzić w jednej ważnej sprawie. Wpadłam niedawno na pomysł, żeby ofiarowywać moim gościom jakieś upominki.

Gdyby Judith była psem, pewnie nastawiłaby czujnie uszy.

-Upominki? - powtórzyła.

-Tak, jakby pamiątki pobytu u nas - wyjaśniła Ewa z chytrym uśmiechem. - Oczywiście z logo mojego zajazdu.

Judith spojrzała na nią z podziwem.

-Wiesz, że nie pomyślałam o tym! - wyznała. Potem odwróciła się do Max i dodała tytułem usprawiedliwienia: - Nie pogniewasz się, jeśli zamienię kilka słów z twoją mamusią? Tymczasem zastanów się, co powinnam jeszcze dodać do tego chleba.

-Ona na pewno coś wymyśli - zaręczyła Ewa.

-Dwa jajka i pół filiżanki śmietanki! - mruknęła pod nosem Max, kiedy obie panie odeszły, trzymając się pod rękę. - Zamorduję ją, jeśli da tej Judith przepis! A tobie - zwróciła się do Sama - udało się z tą książką kucharską VIP-a. Wspaniały pomysł!

-Cała przyjemność po mojej stronie. - Sam skłonił głowę z przesadną unізonością.

-Jutro o tej porze ludzie już będą plotkować, że Peter robi zdjęcia do

ter robi zdjęcia do książki o upodobaniach kulinarnych Elvisa Presleya.

- I dobrze, bo wszyscy wiedzą, jak lubił gotować!

Uśmiechnęła się, ale nie na długo, a kiedy cofnęła rękę, Sam nawet nie próbował jej zatrzymać, bo nie potrafił tak szybko wymyślić pretekstu.

- Pomysł Ewy z upominkami też był dobry - przypomniał.

Max przytaknęła, ale Sam widział, że teraz nie ma co na nią liczyć, bo odprowadzała wzrokiem dwie sylwetki zdążające do domu, a myślą wybiegała jeszcze dalej.

- Szkoda, że w porę nie ukryłam się w domu! - narzekała. - Nie tylko ona będzie chciała wyciągnąć mnie na pogawędkę o Brianie i dawnych czasach oraz poinformować o aktualnych dokonaniach Gwen! A one obie będą z kolei chciały dowiedzieć się, gdzie przebywa Peter i kiedy przyjedzie. I co ja zrobię, jeśli on nie zadzwoni? Myślisz, że ktoś zauważyłby, gdybyśmy wsiedli do twojej ciężarówki i po prostu odjechali?

Sam z trudem odegnał nasuwającą mu się wizję i w ciągu chwili znalazł się przy Max.

-Max - zapewnił łagodnie - on przyjedzie!

-Jak możesz być taki pewien?

-Ponieważ miałaś rację. Byłby idiotą, gdyby cię wypuścił z rąk.

Oblizła wargi czubkiem języka i spojrzała w stronę domu.

- Na wszelki wypadek powinnam przynieść sobie komórkę, ale boję się natknąć na Judith. Myślisz, że może mnie szukać w stajni?

Pospiesznie rozejrzała się wokół.

- Jeśli spróbuje, schowamy się - zapewnił Sam.

W stajni panował chłód i półmrok, do którego oczy Max musiały

stopniowo się przyzwyczaić. Powoli coraz wyraźniejsze stawały się zarysy drewnianych boksów, powierzchnia betonowej posadzki i znajome zapachy dzieciństwa - siana, drewna i zwierząt, które wydzielały piżmową woń.

-Ewa utrzymuje tu wzorowy porządek - zauważyła Max.

-Ona tym żyje! - sprostował Sam. Za tymi słowami nic się nie kryło, nie stanowiły wyzwania, nie zdradzały poczucia winy. Powiedział po prostu prawdę, którą znali wszyscy w Schomberg.

Ewa prowadziła farmę tak, jakby przynajmniej przez najbliższe sto lat miała pozostać w rękach jej rodziny. Jednak po śmierci Briana jedyłą potencjalną spadkobierczynią pozostawała Max, która wątpiła, czy Peter dałby się namówić na wyrzucanie gnoju ze stajni. Szczególnie teraz, kiedy fotografował VIP-ów!

W milczeniu przeszli przez całą stajnię. Max zaglądała do pustych boksów, ale wiedziała, że po zakończeniu Jarmarku większość zwierząt przebywa na wybiegach. Kiedyś jej ojciec trzymał tu krowy, obecnie na boksach widniały tabliczki z nazwami tak egzotycznych gatunków, jak zebu, koza karłowata czy świnka wietnamska.

Nie wiedziała nic o tych gatunkach, ale przypuszczała, że stanowiły jedną z głównych atrakcji dziecięcego ZOO, organizowanego przez Ewę, porównywalnych z malowaniem twarzy, przejażdżkami na wozie z sianem czy Dniami Syropu Klonowego!

Zbliżyli się do drzwi w północnej ścianie stajni i Sam pierwszy wyszedł na zewnątrz. Pamiętał, że kiedy Max była dorastającą panienką, jej rodzice w tej części budynku utrzymywali owce, ale teraz na wybie-

gu stały trzy strusie, które patrzyły na nich jak na intruzów.

-To jest Laverne - Sam wskazał na wyższego ptaka -a ta druga to Shirley.

-Czy to znaczy, że mama nazwie samca Squiggy?

-Mam nadzieję, że nie, dla jego dobra.

Strusie przyglądały się odwiedzającym je ludziom jeszcze przez chwilę, a potem Laverne przestała się nimi interesować. Odeszła od płotu i rozpostarła skrzydła. Rozpiętość ich sięgała niespełna dwóch metrów, a błyszczące pióra mieniły się czernią i bielą. Max na ten widok przypomniała sobie o kapeluszach i spłonęła rumieńcem.

W tym momencie strusica wyprostowała się, otrząsnęła skrzydła i trzepocząc nimi zaczęła się przechadzać tam i z powrotem wzdłuż ogrodzenia wybiegu. Wyglądała jak dziewczynka z chóru kościelnego.

- Ale ta Laverne się popisuje! - stwierdził Sam.

Kiedy samiec odszedł na bok, Laverne rzuciła się za nim w pogoń. Zaszła go od przodu, co zmusiło go do zatrzymania, a wtedy od nowa rozpoczęła popisy. Potrząsała głową i trzepotała skrzydłami, jakby tańczyła shimmy.

- Ona się nie popisuje, tylko się puszy - sprostowała Max, podnosząc wzrok na Sama. - Wyraźnie podrywa Squiggy'ego... Nie, co ja mówię, ona go atakuje!

Samiec w pierwszej chwili tylko przyglądał się Laverne, podniósł głowę, a potem ją opuścił i przeszedł do skrzyni z paszą po przeciwnej stronie zagrody.

Laverne jednak łatwo się nie zniechęcała. Pobiegła za samcem i pochyliła się przy nim ku ziemi.

- To już jest żenujące! - orzekła Max, przysuwając się bliżej do ogrodzenia. - No wiesz, Laverne? Nie rób tego!

Samica nie zwracała uwagi na jej przemowy, tylko czekała, aż jej partner podniesie głowę znad jedzenia. Wtedy znów rozpostarła przed nim skrzydła, wykonując kuszące, faliste ruchy szyją.

- Co to ma być? Taniec siedmiu piór? - jęknęła Max.

- Cokolwiek by to było, nie odnosi skutku - zachichotał Sam, gdyż samiec, obojętny na wdzięki samicy, najspokojniej w świecie znów zanurzył głowę w karmniku i odszedł z pełnym dziobem.

- Co się z nim dzieje? - mruknęła pod nosem Max, trzymając się mocniej ogrodzenia, gdyż Laverne podskoczyła w górę i pobiegła za obiektem swoich uczuć. Max stanęła na palcach, żeby lepiej się jej przyjrzeć. - I co z nią? Laverne, naprawdę nie musisz tego robić. Jesteś młoda, ładna...

- I bardzo wysoka! - dodał Sam.

Max spiorunowała go wzrokiem.

- Nie wtrącaj się! - zgromiła go, kiedy ptak po raz kolejny rozpoczął swój taniec. - Laverne, mogłabyś mieć więcej godności!

Jednak Laverne za wszelką cenę starała się uwieść Squiggy'ego i dać mu do zrozumienia, jak jej na nim zależy. Wstyd się przyznać, ale serce Max zadrżało, kiedy samiec uczynił w końcu mały kroczek w kierunku samicy.

Wydawało się już, że wszystko zmierza ku dobremu, kiedy uwagę samca odwróciło coś błyszczącego na wierzchu ogrodzenia. Było to zwykle załamanie światła, ale wystarczyło, żeby struś zmienił kierunek marszu, a Laverne znów została na lodzie.

Max ze złości zatrzęsła płotem.

- Typowy mężczyzna! Zobaczył byle błyskotkę i już za nią poleciał, nawet się nie odezwał... Nie wytrzymam tego, muszę stąd wyjść!

Odwróciła się w samą porę, aby zauważyć, że Shirley wyciągnęła szyję i wyrwała piórko z grzbietu Squiggyego.

Struś podskoczył, a Max z aprobatą skinęła głową.

- Tak trzymać, Shirl! - poradziła samicy. Zauważyła przy tym, że Laverne stała teraz samotnie przy płocie, przypatrując się z daleka tamtej parze.

Max poczuła taki ucisk w gardle, że musiała przełknąć ślinę, choć nie pamiętała momentu, kiedy uczucie to się pojawiło. Spojrzała spod łba na Sama, który akurat do niej się zbliżał.

-Dlaczego faceci tak ciężko myślą? - rzuciła w przestrzeń.

-No, nie wszyscy - sprostował, przytrzymując przed nią drzwi.

-Jak to nie? Ja od razu złapałam tę aluzję.

-Jaką aluzję? - Sam rozłożył ręce i zmarszczył brwi. Z zakłopotaną miną wyglądał w tej pozycji jak struś, tylko bez charakterystycznych piór.

Max roześmiała się i zaczęła wchodzić po schodach wiodących na stryszek stajni.

- No, z tym pantofelkiem Kopciuszka!

5

Ewa wykorzystywała poddasze stajni podobnie jak strych w domu mieszkalnym. Przechowywała tam pudła i stare meble, takie jak łóżeczko i wysokie krzeselko dziecięce, zagłówki łóżek, kanapę - świadectwa rozwoju rodziny. Pod ścianą piętrzył się stos plastikowych pudełek i futerałów, z wyglądu prawie nowych, ale pokrytych grubą warstwą kurzu.

W szczytowej ścianie poddasza wybito drzwi wychodzące na podjazd. Max otworzyła je, aby wpuścić na strych świeże powietrze i tyle światła, że mogła bez trudu odczytać naklejki na pudełkach: „Świąteczne drobiazgi” i „Przepisy 1983”. Widząc ten bałagan podjęła mocne postanowienie, że pomoże matce uporządkować rupiecie na strychu, a przy okazji zyska pretekst, żeby nie pokazywać się ludziom i przecze-kać do przyjazdu Petera.

Wychyliła się przez otwarte drzwi, czując znane z dzieciństwa zawroty głowy, kiedy spoglądała z góry na wybieg, szopę, rzekę wijącą się za domem, płot ze sztachet i ogród, który był dumą jej matki.

Od czasu jej ostatniej bytności w domu drzewa hi-korowe urosły wyższe, a krzewy dereni rozgałęziły się bujniej. Poza tym jednak nic się nie zmieniło, więc Max przyłapała się na tym, że mimowolnie wyszukuje zapamiętane z dzieciństwa punkty orientacyjne.

W tym miejscu kiedyś uczyła się odbijać piłkę; ten kamień służył do zaklepywania w grze w chowanego. Na tym drzewie zbudowała sobie domek, nie dbając o Briana i jego kolegów. Kiedy wyjeżdżała z rodzinnego miasteczka - ten domek jeszcze tam był, ale od tamtej pory już zniknął. Max nie wiedziała, kiedy matka kazała go rozebrać i kto się tego podjął.

Na swoich plecach poczuła oddech Sama, który tymczasem wdrapał się za nią na schody.

-Dlaczego schowałaś jej wtedy tego buta? - chciał wiedzieć.

-Bo nie mogłam na nią patrzeć, tak komicznie wyglądała w tej niebieskiej sukience. - Max cofnęła się w głąb stryszku, gdzie czuła pod nogami pewniejszy grunt. -Zapomniałeś już o tym?

Zadała sobie trud, żeby przejść się wzdłuż sterty pudełek i przeczytać nalepki. Napisy na nich brzmiały: „Przepisy 1984”, „Świadectwa szkolne”, „Zdjęcia/Max” i „Zdjęcia/Brian”.

Zawahała się przez chwilę, potem wyjęła ze stosu pudełko zawierające zdjęcia Briana i podeszła z nim do szczytowych drzwi. Zdmuchnęła kurz z wierzchu, przypatrując się, jak drobinki pyłu tańczą w świetle słonecznym, zanim uniósł je wiatr. Wtedy usiadła we framudze drzwi ze zwieszonymi luźno nogami, jak zawsze lubiła siadać. Sam podszedł i usiadł obok niej w takiej samej pozycji, patrząc jak zdejmuje wieczko z pudełka.

-Czy jesteś pewna, że chcesz to zobaczyć? - zagadnął.

-Myślę, że niedługo sama się o tym przekonam - odpowiedziała ledwie słyszalnym szeptem. Jednak przed podniesieniem pokrywki odczekała chwilę, aby uspokoić rozdygotane serce.

Ze zdjęć patrzyła na nią twarz Briana, z łobuzerskim uśmiechem,

dużymi, niebieskimi oczyma i mocno zarysowaną szczęką, znamionującą silną wolę. Max wzięła głęboki oddech, wyjęła z pudełka plik zdjęć i zaczęła je przerzucać. Na jednym uwieczniony był Brian na boisku do baseballu, na innym pod choinką, a tu może w jej domku na drzewie? Na zmianę śmiała się i przecierała oczy, lecz w sumie cieszyła się, że zdecydowała się zajrzeć do tych pamiątek. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że mogłaby nawet niektóre z nich zabrać do domu.

W tym momencie znalazła fotografię, której szukała. Zdjęcie przedstawiało Sama i Judith przed ich wyjazdem na tańce do Kleinburga. Upływ czasu nie dodał szyku jej niebieskiej sukience.

- Widzisz, o co mi chodziło? - Podała zdjęcie Samowi.

- Teraz już widzę. - Skrzywił się. - Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego zabrałaś jej but.

- Bo byłam o ciebie zazdrosna! - wyjaśniła, odbierając z powrotem obrazek, aby mu się lepiej przyjrzeć. - Chciałam, żebyś wprowadził na salę balową tylko jedną z nas.

Przerwała, kontemplując z uśmiechem młode twarze obojga.

- Schowałam jej tylko jeden but, nie dwa, bo wtedy od razu bym się zdradziła. Zrzuciłam winę na psa, ale mama przejrzała mnie na wyłot. - Z westchnieniem odłożyła fotografię na kupkę innych. - Niestety, Ewa miała takie same nogi jak Judith, więc z twojego punktu widzenia nie zmarnowałeś nocy. - Ze śmiechem schowała wszystkie zdjęcia z powrotem do pudełka. - Wiem, że to głupio brzmi, ale wtedy podkochiwałam się w tobie.

Poczuła na swoim nadgarstku dotknięcie jego chłodnej ręki, a na uchu ciepło jego oddechu.

-I co się z tym potem stało? - zapytał.

- Wyrosłam z tego.

Nie podnosiła na niego oczu w obawie, że dojrzał już rumieniec na jej policzkach albo wyczuł przyspieszone tętno, co oboje mogli niewłaściwie zinterpretować.

Zacisnęła palce na pudełku, aby nie ulec pokusie ściśnięcia jego ręki.

- No, muszę iść i uwolnić Ewę od towarzystwa tej nudziary - oświadczyła. Z ulgą stwierdziła, że natychmiast odsunął się od niej, nie żądając szczegółów ani dodatkowych wyjaśnień, do których jeszcze nie dojrzała.

Podwinęła nogi, szykując się do wstania i wtedy na samym dnie pudełka zauważyła wystający róg książki. Na chwilę zamarła, nogi same wróciły do poprzedniej pozycji. Sięgnęła do środka i wyciągnęła książkę.

-Co to jest? - zainteresował się Sam.

-Prezent ślubny - odpowiedziała, wodząc palcami po okładce znaleziska, jakby nie dowierzała własnym oczom. - Dla Gwen.

-Jesteś tego pewna?

Przytaknęła, jakby coś sobie przypominając.

- Brian przy mnie to kupował. - Złote litery tytułu błyszcząły jeszcze dziś równie intensywnie, jak w dniu, kiedy pomagała bratu wybrać prezent. – Przeważnie wiersze miłosne, okraszone krótkimi opowiadaniem o seksie. Naprawdę tego nie widziałeś?

Dłonie jej dziwnie zwilgotniały, więc wytarła je o spódnicę przed odwróceniem okładki.

- Przeczytam ci dedykację, dobrze?

Grzbiet książki cicho zaskrzypiał, zdradzając, że ten, kto odłożył książkę do lamusa, nie otwierał jej ani nie zaglądał do środka, a więc nikt nie przeczytał, co napisał jej brat.

Może to i lepiej? Brian nie dobierał specjalnie wyszukanych słów ani nie silił się na oryginalną myśl, tylko po prostu, niewyraźnym, ręcznym pismem na pożółkłej stronie tytułowej wyznał, co mu serce dyktowało. Dlatego Max zdała sobie sprawę, że popełniła gafę, kiedy odczytała na głos: „Tobie, Gwen, ofiaruję moją miłość, moje życie, moje serce i duszę na zawsze”.

Potrząsnęła głową i zamknęła książkę z trzaskiem.

- Biedny chłopak wpadł na całego - stwierdziła.

- On ją naprawdę kochał - dodał Sam, sięgając ręką, by wyjąć zdjęcie wsunięte między kartki.

Max nie mogła powstrzymać uśmiechu, bo ukazywała Braiana w towarzystwie Gwen. Oboje siedzieli na huśtawce, twarze mieli roześmiane, a w oczy rzucała się smukła figura i niezaprzeczalna uroda Gwen. „Całkiem jak królewna” pomyślała Max ze smutkiem, bo w tamtych latach, kiedy robiła to zdjęcie, też tak wyglądała.

- Ja też ją kochałam - wyznała. - Marzyłam, żeby znaleźć się na jej miejscu. Wydawali mi się zakochani jak Romeo i Julia, tacy młodzi i piękni, aż szkoda, że nie mogli połączyć się na zawsze.

Wyjęła zdjęcie z rąk Sama, aby jeszcze raz mu się przyjrzeć i sprawdzić, czy tamtego dnia nie przeoczyła jakiegoś szczegółu. Może w spojrzeniu lub uśmiechu Gwen kryło się coś podejrzanego, co powinno było wzbudzić czujność? Niestety, była w stanie dostrzec jedynie promienną, młodą kobietę, a i Brian tamtego lata wyglądał na szczęśliwszego niż kiedykolwiek w życiu.

Sam obserwował jej twarz zdradzającą wzruszenie - gniew ustępował miejsca zmieszaniu, ale przede wszystkim dała się zauważyć tęsknota tak przemożna, że tylko siłą woli powstrzymał się, aby nie porwać jej w ramiona.

- Nie mogłam się doczekać, żeby zakochać się w kimś tak jak oni - opowiadała dalej. - Pragnąć kogoś tak bardzo, żeby nic innego się nie liczyło, oprócz tego, żeby z nim być, dotykać go i czuć przy sobie...

- Ale potem z tego też wyrosłaś, prawda? - wymamrotał Sam.

- Tak. - Wytrzymała jego spojrzenie, trzymając książkę na kolanach. - Jeśli będziesz miał szczęście, to i ty z tego wyrośniesz.

-Niemożliwe. - Potrząsnął głową.

-Akurat, raz już byłeś taki pewny i co? Tobie też to się zdarzyło. - Wstała, aby odłożyć książkę na kupkę innych pod ścianą. - Powiedz mi szczerze, czy kochałeś tę kobietę, z którą byłeś zaręczony? Tę, która od ciebie odeszła?

-Tak. - Przemknął mu przez myśl obraz klasycznie pięknej blondynki, chłodnej i zmysłowej. - W swoim czasie.

Na dowód tego wciąż przechowywał pierścionek w aksamitnym pudełeczku, schowany w górnej szufladzie komody, pod warstwą skarpetek. Traktował to jak umartwianie się, jak coś w rodzaju włosiennicy dla serca.

-Ale nie doprowadziło cię to do ołtarza, prawda? Miłość, z której nic nie wynikło. - Skrzyżowała ręce na piersiach, ale widać było, że coś jej ciąży. Jakże chętnie uwolniłby ją od tego brzemienia! - Mimo wszystko wierzysz, że tego potrzebujesz?

-Wiem, że tego potrzebuję - odparł krótko. - I ty też.

Nie tracił ani chwili czasu na dalsze przemyślenia tylko nachylił się ku niej, wziął ją pod brodę i przymknął oczy. W tej pozycji pocałował ją delikatnie i czule, tak, jak powinien był postąpić już dawno.

Poczuł, że usztywniła mięśnie, więc był pewien, że zaraz odskoczy od niego. Tymczasem Max odwzajemniła ten pocałunek, ostrożnie muskając palcami jego policzki.

Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się, że w takiej sytuacji niepewnie się cofnął. Z większej odległości przekonał się, że Max ma oczy nadal zamknięte, natomiast wargi rozchylone, jakby na coś czekała.

Zatrzepotała rzęsami i cofnęła ręce, muskając w przelocie jego wargi. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, z zapartym tchem, wrażliwa na każdy jego ruch i słowo. Nie był jeszcze przygotowany na tak gwałtowny przyływ pożądania ani płynącą z niego przyjemność zmysłową. Otoczył więc Max ramionami w talii, przyciągnął ją do siebie i z drzeniem znów się nad nią pochylił.

O takim pocałunku zawsze marzyła - równocześnie zdecydowanym i delikatnym, szorstkim, lecz czułym, z językiem rozdzielającym wargi i splatającym się z jej własnym.

Nie powinni byli w ogóle się w to wdawać ani tym bardziej kontynuować. Nie mogła przecież zapominać o Peterze ani o pierścionku zaręczynowym. Otrzymała też talizman, który miał zagwarantować, że wszystko odbędzie się zgodnie z przeznaczeniem. Jednak w tym momencie liczył się tylko Sam i jego pocałunek, który dla niej mógł trwać wiecznie.

Nie myślała już o jego piwiarni ani o żadnych upiorach przeszłości. Nic nie było w stanie jej powstrzymać od wczepienia się palcami w jego włosy, a kiedy już to zrobiła - pociągnęła go do siebie, odchyliła głowę do tyłu i przyłgnęła piersiami do jego torsu. Nie broniła się także, kiedy jego ręce ześlizgnęły się w dół po jej biodrach.

Na dźwięk klaksonu samochodowego oboje wzdrygnęli się i odsko-
czyli od siebie. Spoglądając sobie w oczy wstali próbując ochłonać.
Stopniowo znikło też pożądanie, jak drobinki kurzu odlatujące z wia-
trem.

-Między nami nic nie było - oświadczyła z naciskiem Max.

-Czyżby? Wyglądało mi to na coś konkretnego.

-A ja już nic nie pamiętam! - zapewniła, chociaż doskonale wiedzia-
ła, że kłamie. Cofnęła się do drzwi szczytowych i trzymając się futry-
ny, w bezpiecznej odległości od krawędzi, wyjrzała na zewnątrz.

Samochód Judith już odjechał, ale jego miejsce zajęta taksówka,
której kierowca wynosił właśnie torby z bagażnika. Pasażerka - brunet-
ka o długich włosach, w obcisłych, niebieskich dżinsach i sandałkach
na wysokich obcasach - szukała w torebce pieniędzy, aby zapłacić za
kurs.

Sam podszedł do Max od tyłu i spytał:

-Czy wiesz, kto to jest?

-Tak - skinęła głową Max. - To asystentka Petera i moja najlepsza
przyjaciółka. Delia, tu jestem! - zamachała do niej ręką.

Delia Rosini obróciła się na pięcie, wcisnęła kierowcy pieniądze w
dłoń i odchrząknęła:

- Gdzieś ty się podziewała? Wiesz, ile razy wydzwaniałam do cie-
bie na komórkę, odkąd wylądowałam?

Przerzuciła torebkę przez ramię i ruszyła na przełaj przez trawnik.
Max wzdrygnęła się, bo na takich obcasach mogło to się skończyć
zwichniętą kostką.

-Czemu ona włożyła takie idiotyczne buty? - zaciekawiał się Sam.

-Mieszka na State Island, a tam się takie nosi - wyjaśniła Max z
uśmiechem.

- Przecież wiem, że ty zawsze odbierasz telefony! - dowodziła tymczasem Delia, wytrząsając kamyk z lewego buta. - Wiem, że się wkurzyłaś, a Peter jest idiotą, ale to nie powód, żeby dekwawać się w stajni i wyłączać komórkę. Poza tym nie masz powodów do zmartwienia, bo mam już gotowy plan, co robić, żeby wszystko grało.

Oślaniając ręką oczy przed słońcem dotarła wreszcie do stajni i krzyknęła do Max:

- No jak, złazisz czy nie?

- Poczekaj tu na mnie - przykazała Max Samowi, Trudno jednak było jej zgadnąć, co oznacza w tej chwili wyraz jego oczu.

- Jaki ona może mieć plan? - chciał wiedzieć Sam, Max wzruszyła ramionami.

- Na pewno zaczniesz od tego, że poczęstuje mnie czekoladą, a potem Bóg raczy wiedzieć. W każdym razie, cokolwiek by wymyśliła, wiem, że jestem w dobrych rękach. Delia zna sposoby na wszystko.

Szczególnie w sprawach sercowych Delia uchodziła za eksperta. W ciągu roku miała więcej randek niż Max przez całe życie. Ze swą egzotyczną urodą i bezpośrednim sposobem bycia potrafiła zawrócić w głowie praktycznie każdemu. Sama siebie określała jako „błogosławioną między facetami”, ale Max nie miała wątpliwości, że któregoś dnia trafi na tego, który jest jej przeznaczony. Tak samo, jak była pewna, że Peter wróci do niej.

Czym prędzej skierowała się ku schodom, a piwiarnia Sama, upiory z przeszłości i Peter od razu sprowadzone zostały do właściwych wymiarów.

- No więc, razem z tym planem i twoim amuletem miłosnym, można zakładać, że przyjazd Petera jest kwestią dni - snuł rozważania Sam.

-Może nawet godzin... - Max, już z ręką na poręczy, zatrzymała się na chwilę.

-W takim razie życzę ci powodzenia! - rzucił Sam, przechodząc obok niej.

-Dziękuję.

Zatrzymał się w odległości mniej więcej trzydziestu centymetrów od niej, ciągle z tym samym, dziwnym wyrazem twarzy.

-Może niedługo się zobaczymy - dodał.

-Pewnie, że się zobaczymy! - rzuciła w biegu, zdążając szybko ku schodom. Obawiała się, że Sam może jeszcze chcieć ją dotknąć, a wtedy już wcale nie zeszła-by ze strychu.

-Max... - odezwał się jeszcze, a kiedy się obejrzała, w końcu się uśmiechnął. - Przysięgam na wszystko, co najświętsze, że ja się w tobie też podkochiwałem!

-Jak możesz tak straszyć ludzi! - oburzyła się Delia, wylewnie ścisnąc Max. Potem odstepowała do tyłu i zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. - Jak na kobietę załamana, wyglądasz całkiem dobrze. Powiedziałabym nawet, że kwitnąco.

-Widocznie wiejskie powietrze mi służy. - Max odholowała Delię do domu, nie zastanawiając się nad głębszym znaczeniem jej słów. - A ty właściwie co tu robisz?

-Wczoraj zwolniłam się z pracy, więc póki co korzystam z wolnego czasu.

Max stanęła w miejscu jak wryta. Delia była prawą ręką Petera, pilnowała jego umówionych spotkań i spraw finansowych. Bez niej nie dałby sobie rady, ale i ona mogłaby mieć kłopoty ze znalezieniem nowej posady.

- Jak mogłaś rzucić taką robotę?

- Musiałam.

- Dlaczego sądzisz, że musiałaś? Delia ruszyła z miejsca.

- Ponieważ jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a on postąpił podle wobec ciebie. Jak mogłabym przychodzić normalnie do studia i udawać, że nic się nie stało, kiedy naprawdę chciałabym mu dać po pysku?

- Schyliła się, aby wytrząsnąć z buta kolejny kamyk. - To było nie do wytrzymania!

- Dobrze, ale gdzie teraz dostaniesz pracę?

Delia z uśmiechem rzuciła kamykiem w drzwi stajni.

- Jeśli zgodnie z moim planem zejdziecie się z powrotem, to chyba żona szefa załatwi, żeby mnie znowu przyjął?

Max roześmiała się, bo w tym szaleństwie tkwiła, jak zawsze u Delii, rozbijająca logika.

- A w ogóle to skąd dowiedziałaś się, co się stało?

Delia postawiła but na ziemi i wsunęła weń nogę.

- Ten dureń zostawił mi wiadomość na sekretarce:

„Nie zapomnij wysłać faktury Claytonom. A przy okazji, nie biorę ślubu z Max”.

Max próbowała przełknąć ślinę. W tej chwili nie wyglądała już ani trochę kwitnąco!

- Tak zwyczajnie powiedział, że nie bierze ze mną ślubu?

Delia z niesmakiem potrząsnęła głową.

- Tłumaczył się, że niby chce to wszystko jeszcze raz przemyśleć. Faceci zwykle wstawiają taką gadkę, kiedy chcą się ulotnić, ale przecież tak dobrze pasowaliście do siebie! Stanowiliście naprawdę zgrany zespół, więc myślę, że gdy Peter ochłonie i zrozumie, jak bardzo cię potrzebuje, przyleci tu zanim się obejrzysz!

- I oczywiście zaplanowałaś już, jak go do tego skłonić?

- No pewnie. Operacja „Peter”, może jeszcze nie doszlifowana do końca, ale już w przygotowaniu.

Max roześmiała się, dyskretnie dotykając palcem małego, czerwonego amuletu. Nawet gdyby czary Ilony nie były w stanie sprowadzić jej odpowiedniego mężczyzny - przynajmniej postawiły na jej drodze właściwą kobietę.

-Dziękuję ci, że do mnie przyjechałaś - zapewniła.

-Nie ma sprawy, ale wpadłam tak nagle, bez uprzedzenia, więc może nie macie tu wolnych pokoi?

-Ewa nie spodziewa się żadnych gości przez najbliższe dwa tygodnie, więc mamy masę miejsca, a na ile znam moją matkę, będzie zachwycona, że może cię poznać.

-No, jeśli jesteś tego pewna... - Delia obróciła się w kółko, ogarniając wzrokiem farmę. - Ładnie tu, całkiem jak na obrazach Laury Ingalls. I te lamy świetnie pasują do krajobrazu, taki element trochę egzotyczny, a trochę swojski...

-Jeśli lubisz takie rzeczy, to pewnie spodobają ci się też kangury... - zaczęła Max, ale uwagę Delii przykuło tymczasem co innego.

- Cześć, przystojniaczku! - zagadała, spoglądając znad okularów przeciwsłonecznych na wychodzącego ze stajni Sama. - No, nareszcie wiem, jak zatrzymać takich na farmie! - westchnęła z przesadną emfazą.

Sam przywitał Delię skinieniem głowy i szerokim uśmiechem. Potem przeniósł wzrok na Max i spojrzał jej prosto w oczy, a jego uśmiech powoli tajał, aż niepostrzeżenie przeszedł w nieznaczną, lecz bardzo seksowny grymas. Takie samo skrzywienie ust poprzedzało jego wypowiedziane poprzednio słowa o podkochiwaniu się w niej.

- Kto to jest? - chciała wiedzieć Delia.

- Sam - odmruknęła Max, czując falę gorąca, która podchodziła jej pod gardło i utrudniała oddychanie. Delia przyjrzała jej się badawczo.

- Czy on dla ciebie coś znaczy?

- Nie. - Max opanowała się, przypominając sobie, kim jest ona, kim on, a nade wszystko - gdzie się znajdują. Teraz on tu był u siebie, nie ona, a jeden pocałunek niczego nie zmieniał. - To tylko stary kumpel.

- Przydaliby mi się tacy kumple! - podsumowała Delia.

- Może podwieźć was do domu? - zaproponował tymczasem Sam. Delia już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale ubiegła ją Max.

- Dziękujemy, przejdziemy się! - zawołała, rada, że nie zaschło jej w gardle. Oby tylko nie zmiękły jej nogi,...

- Mów w swoim imieniu! - ofuknęła ją Delia, wydymając usta, kiedy Sam żwawym krokiem zmierzał do półciężarówki Bena. - Jeszcze nigdy nie jechałam samochodem z kowbojem!

- On nie jest kowbojem, tylko właścicielem piwiarni w miasteczku.

- No to szkoda, że nie mam pantofelków do tańca! - Delia opuściła okulary na nos.

Max parsknęła śmiechem i energicznie pomaszerowała w kierunku domu. Mijały właśnie wybieg, kiedy Sam dojeżdżał już do tylnych drzwi domu. Zdjął z paki rzeczy Delii i wniósł je do środka, a po chwili pojawił się znowu, lecz już w towarzystwie Bena. Obaj wylewnie żegnali się z Ewą.

Max zamarła, a potem złapała Delię za ramię i szybko odciągnęła za płot. Delia spojrzała na nią równie zdziwionym wzrokiem jak lamy.

- Co się z tobą dzieje? - spytała.

-Tam jest moja matka - wyszeptała Max, przykucając za płotem. - Słuchaj, nie powiedziałam jej, jak to jest naprawdę z Peterem. Wiem, że to brzydko, ale...

-Daruj sobie. - Delia unosząc rękę powstrzymała ten potok wymowy. - Ja też nie powiedziałabym czegoś takiego mojej matce, dopóki nie byłabym pewna, że naprawdę jest po wszystkim. Jeżeli twoja mama jest choć trochę podobna do mojej, zatruwałaby ci życie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przysiadła na ziemi obok Max i podsunęła jej pokryte złocistą folią pudełko wyjęte z torebki. Po podniesieniu wieczka w środku ukazały się ulubione przez Max trufle, w polewie z ciemnej, jedwabistej czekolady.

- Tylko niepotrzebnie byś ją zmartwiła – rozwijała dalej temat. - Kiedy zaczniemy realizować „Operację Peter”, to tak, jakby on już tu był.

„Tak jakby on już tu był...” Te słowa uspokoiły Max, więc odgryzła kawałek czekolady i doszła do wniosku, że jest to równie dobry moment jak każdy inny, żeby opowiedzieć Delii o talizmanie miłosnym.

-Mówisz, że księżyc ma się uśmiechnąć? - dopytywała się Delia, zlizując z palców resztki czekolady, kiedy obie z Max miały wejść do domu tylnymi drzwiami. - To znaczy kiedy to ma być?

-Sama dobrze nie wiem - przyznała Max. - Ona powiedziała, że sama to poznam, kiedy zobaczę.

-No więc musimy uważać, bo zeszłej nocy była pełnia księżyca. Max chciała już otworzyć drzwi, ale przystanęła na chwilę.

-Powiedz mi szczerze, czy nie uważasz, że jestem głupia?

-Jeśli chodzi o ten amulet, absolutnie nie. Natomiast jeśli każesz mi stać pod drzwiami w tych pantoflach, to owszem, tak. Otwieraj nareszcie!

-Tylko pamiętaj, nikomu ani słowa o amulecie! -wyszeptała Max, kiedy wchodziły do środka.

-Aha, kapuję. - Delia z ulgą strząsnęła z nóg czółenka i wciągnęła w nozdrza powietrze. - Co tu tak ślicznie pachnie?

-Pstrąg! - odskrzyknęła z kuchni Ewa. - Świeżo złowiony, dziś rano!

Wyszła zza zakrętu korytarza i uśmiechnęła się do Delii. Nie była to rutynowa, zawodowa uprzejmość właścicielki zajazdu, ale szczerą życzliwość. Max, przedstawiając jej swego gościa, zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie zauważyła tej różnicy.

-Pani złowiła rybę? - nie dowierzała Delia, zmierzając prosto do kuchennego pieca.

-Owszem, w rzece. - Ewa wskazała ręką kierunek za oknem.

-Raz w życiu byłam na rybach... - wspomniała Delia.

Zaczęły rozmowę o przynętach i sposobach łowienia. Max w tym czasie usiadła przy ladzie kuchennej i dokładnie rozejrzała się wokoło. Stwierdziła z zadowoleniem, że przynajmniej tu jej matka potrafiła uwolnić się od przeszłości. Stare kredensy z ciemnego drzewa ustąpiły bowiem miejsca przeszklonym szafkom, a sprzęt gospodarstwa domowego w kolorze awokado został zastąpiony przez wyroby z nierdzewnej stali. Ściany zostały świeżo pobielone, a zamiast linoleum parkiet z twardego drewna prowadził aż do jadalni, gdzie sosnowy stół, ustawiony na kozłach, był nakryty na dwie osoby. Przy każdym nakryciu

leżały serwetki w niebieskie paski, a gospodyni pamiętała również o świeżych kwiatach i kryształach, uwzględniając stałe miejsca Max i swoje. Wystrój jadalni był może zbyt formalny jak na zwykły lunch, ale Peterowi podobałby się taki styl.

-Max mówiła mi, że pani świetnie gotuje. - Delia zdążyła już pochylić nos nad patelnią.

-A jakże! - Ewa przewracała skwierczące filety. -Ona zawsze musi mnie zawstydząć! Sama zawsze wygrywała pierwsze nagrody na jarmarkach za swoje ciasta, domowy chleb, cokolwiek. Nigdy nie próbowała pani jej wyrobów?

Max ostentacyjnie przewróciła oczami.

-Ile razy mam ci mówić, że...

-Wiem, wiem - przerwała jej Ewa. - Nikt nie chce jeść tego, co ugotujesz? Niech mi pani wierzy, - zwróciła się do Delii - że to nieprawda. Jej placek na maślanec nie ma sobie równych. Ojciec i Brian nigdy nie mieli go dosyć.

-Brian? - Delia pytająco podniosła głowę.

-Jego brat. - Ewa rzuciła okiem na Max i wróciła do obracania filetów na patelni. - To ona nigdy pani o nim nie opowiadała?

-Jakoś tak się nie złożyło. - Max wstała i skierowała się do jadalni. - Pójdę położyć trzecie nakrycie.

Wyciągnęła z szuflady dwa płytkie talerze, większy i mniejszy, oraz filiżankę z niebieskiej porcelany, z czerwoną różą namalowaną na dnie - ukazywała się dopiero po wypiciu herbaty, stanowiąc miłą niespodziankę dla pijącego. Mniejszy talerzyk był jasnozielony jak młode liście, podczas gdy większy - utrzymany w tonacji białej i różowej. Cała zastawa stołowa składała się z porcelany różnego pochodzenia, mie-

szaniny starzyzny i antyków, kupowanej na wyprzedazach. Niby jedno do drugiego nie pasowało, ale jakoś harmonizowało ze sobą, nadając stołowi Ewy swoisty wdzięk i styl, któremu nie dorównałby pełen oczekiwanego ładu komplet. Oczywiście do mieszkania Max taki stół nie pasowałby tak samo jak Peter do stajni.

Odwróciła się od zimnego bufetu i zaczęła rozmyślać nad usadowieniem gościa przy stole. Ona z matką miały swoje stałe miejsca, ale czy Delia miała zająć krzesło Briana, czy ojca Max?

- Słuchaj, mam pomysł! - wysyczała Delia scenicznym szeptem. - Wpadłam na to, kiedy Ewa poszła nazbierać ziół. Spytałam ją, jak jej idzie interes i w jaki sposób się reklamuje. Wtedy ona pokazała mi to. - Delia wyciągnęła do niej egzemplarz pisma „Zycie w Górach”, - Tam jest reklama takiego zajazdu, który nazywa się „Pod Słodkim Drzewem”.

- Aha, Judith Anderson - mruknęła Max, odstawiając naczynia i biorąc do ręki periodyk.

Barwny inserat zajazdu „Pod Słodkim Drzewem” zajmował ćwierć strony i nosił wyraźne piętno ręki fachowca. Hotel robił wrażenie raczej monumentalnego niż przestronnego, a ogrody stanowiły podróbkę stylu angielskiego. Najbardziej zapuszczony zakątek zajazdu „Pod Pawiem” miał w sobie więcej uroku niż bryła budynku „Pod Słodkim Drzewem” na pięciuset metrach kwadratowych powierzchni, ale na zdjęciu nie było tego widać.

- A gdzie się Ewa ogłasza? - zapytała Max, przerzucając strony z reklamami innych hoteli i pokojów gościnnych. Nie wiedziała nawet, że jej matce urosła pod bokiem taka konkurencja. Zmartwiła się tym, choć nie zdawała sobie sprawy, dlaczego.

- Dowcip polega na tym, że ona się nie ogłasza - uświadomiła ją Delia. - I tu jest miejsce na mój plan. Zajrzyj na stronę 181.

Max kartkowała magazyn, natrafiając na przepisy, porady i opisy lokalnych atrakcji. Po drodze wpadło jej w oko zdjęcie Bena przy piwowarskim kotle, ale zatrzymała się przy fotografii Sama stojącego na tle szafy grającej.

Przysunęła pismo bliżej do oczu i rozłożyła szerzej strony, bo nie była pewna, czy to ta sama szafa. Ale czy w tych stronach mogli mieć dużo modeli Wurlitzer 2300S? Musiała to być ta sama szafa, która kiedyś stała w salonie O'Nealów tuż obok telewizora. Max z nostalgią przypominała sobie colę o smaku wiśniowym, jaką serwował ojciec Sama, puszczając przy tym nagrania z lat pięćdziesiątych, a Brian i Gwen tańczyli w takt ówczesnych przebojów.

-Co tam oglądasz? - Delia zajrzała jej przez ramię.

-A, nic takiego. - Max szybko otworzyła pismo na stronie 181. Znajdował się tam skorowidz miejsc noclegowych w regionie. Powierzchnia reklamowa była wprawdzie ograniczona i droga, ale wciąż dostępna.

-Ewa powinna zamieścić tu swoją reklamę - orzekła Max, odkładając pismo.

-Twierdzi, że myśli o czymś takim, ale na mniejszą skalę. Gdyby mnie zapytała, poradziłabym jej raczej coś z większym rozmachem. - Delia zniżyła głos, słysząc dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. - A kiedy dłużej nad tym pomyślałam, doszłam do wniosku, że Peter mógłby zaprojektować jej taką reklamę za darmo.

-Równie dobrze mógłby jeździć na lamie! - parsknęła śmiechem Max, zamykając magazyn. - Jedno i drugie jest tak samo prawdopodobne.

-Ja bym na twoim miejscu nie była tego taka pewna.- Delia złapała

Max za rękę i wyciągnęła ją do salonu. - Musimy tylko naszkicować projekt w stylu dawnego Południa, a ręcę ci, że Peter przyleci tu, żeby zrobić zdjęcia. Max otworzyła szufladę ze sztućcami.

-Lepiej dobrze się najedz, bo pleciesz od rzeczy -skrytykowała.

-Max, zobaczysz, że to chwyci bez pudła. Peter zawsze miał hopla na punkcie Starego Południa.

-Pierwsze słyszę! - zdziwiła się Max.

-Wierz mi, że on przepada za krynolinami, szablami i podobnymi rekwizytami. Kto wie, może w głębi duszy marzył, aby być Rettem Butlerem?

Max spróbowała sobie wyobrazić, jak Peter tańczy z nią walca czy całuje w rękę. Wyciągając z szuflady rodzinne srebra, stłumiła chichot.

-A skąd tyle wiesz o jego marzeniach?

-Pracowałam z nim dostatecznie długo - wzruszyła ramionami Delia. - W czasie całonocnych sesji zdjęciowych człowiek dowiaduje się nawet tego, czego nie chce wiedzieć.

Słowa Delii brzmiały przekonująco, ale Max od razu przypomniała sobie noce, które spędzała w jego pracowni. Razem przygotowywali projekty, a w przerwach kochali się, ale nigdy Peter nie wspomniał o krynolinach ani niczym podobnym. Co prawda, nigdy go o to nie pytała.

-Dobrze więc, załóżmy, że opracujemy taki projekt. Skąd wiesz, że zechce to fotografować?

-Zechce, bo damy mu do zrozumienia, że nie potrzebujemy jego usług. - Delia przysunęła się bliżej, a twarz jej zdobił tak przebiegły uśmiech, że Max już nie wątpiła w powodzenie planu. - Dopilnujemy, żeby do jego rąk trafiła odbitka projektu, ale opatrzona nazwiskiem innego fotografika. Kogoś, kogo zna i serdecznie nie cierpi.

-Wilhelma? - domyśliła się Max.

-Bingo!

Max wiedziała, że Willy Steiner od lat rywalizował z Peterem. Samo jego nazwisko na fakturze wyprowadzało Petera z równowagi, a możliwość otrzymania przez konkurenta zlecenia, jakie sam chciałby dostać, przyprawiłaby go o atak furii.

-No, to na pewno zadzwoni. - Max już zapaliła się do pomysłu. - A w razie gdyby Peter nie dał się złapać, sama zapłaciłabym Willy'emu. Nie pozwolę, żeby mama najpierw nastawiła się na coś, a potem przeżyła rozczarowanie. - Wyjęła z pudła pojedyncze nakrycie i zamknęła. - Tylko skąd możemy wiedzieć, że go tak w ostatniej chwili zastaniemy?

-Jutro do niego zadzwonię - obiecała Delia. - On ma wobec mnie zobowiązania.

-Rzeczywiście, to może chwycić... - rozważała Max, postukując widelcem w stół.

-To na pewno chwyci - skorygowała Delia.

-Opowiadasz Max o przewodniku turystycznym? -spytała Ewa, wchodząc z tacą zastawioną półmiskami.

-Właśnie przed chwilą o tym rozmawialiśmy - wyjaśniła Delia. - Zgodziłyśmy się co do tego, że potrzebuje pani większej, bardziej krzykliwej reklamy. - Zanim Ewa zdążyła zaprotestować, uciszyła ją ruchem głowy i ciągnęła dalej: - To nie będzie kosztować więcej niż ogłoszenie drobne, bo my z Max zrobimy makietę, a Peter to sfotografuje.

-Peter? - Ewa ze zdziwieniem spojrzała na Max.

-On to zrobi z prawdziwą przyjemnością - zapewniła Max, powstrzymując uśmiech.

-Jeśli tak mówicie... - Ewa zaprosiła je gestem, aby usiadły. - No więc, jaka to miałyby być reklama?

-Coś wymownego, co rzuca się w oczy i zachęca ludzi, aby właśnie tu przyjeżdżali. - Delia odsunęła krzesło od stołu i usiadła na nim z podwiniętą jedną nogą. - Czego ludzie szukają w zajazdach? Przede wszystkim przytulnej, domowej atmosfery, prawda?

-I dobrej kuchni - dodała Ewa.

-No więc zadbajmy o jedno i drugie. - Max również zajęła miejsce. Najpierw musimy wymyślić hasło. Z czym ci się kojarzy „*Virginia*”?

Ewie przyszyły na myśl przede wszystkim konie, góry i bohaterowie Konfederacji. Max wyobraziła już sobie ustawiony w ogrodzie stół nakryty do romantycznego śniadania, a w tle pozowała do zdjęcia żołnierzy armii Południa z piękną dziewczyną w stroju z tamtej epoki. Zastawa stołowa składałaby się z wykwintnej porcelany i kryształów, a Peter siedziałby pod drzewem i pstrykał to wszystko.

Delia trajkotała z szybkością karabinu maszynowego, a Max, obserwując ją, zorientowała się, że koleżanka siedzi na jej dawnym miejscu, nie Briana ani ojca. Nawet jej to odpowiadało, bo sama siedziała na krześle ojca i miała stamtąd lepszy widok.

Sięgnęła po dzbanuszek z wodą, a przy okazji zauważyła, że magazyn „*Zycie w Górach*” spadł na podłogę, otwierając się na zdjęciu Sama i szafy grającej, Niech sobie leży! Talizman Ilony w połączeniu z planem Delii na pewno spowodują, że Peter zawróci ze złej drogi i zechce iść z nią razem przez życie. A czy nie tego właśnie chciała?

Przynajmniej była pewna, że tak właśnie jest, ale nie wiedziała, jak tłumaczyć, że serce jej szybciej zabiło, kiedy rzuciła pismo pod krzesło.

6

O wpół do trzeciej po południu ustał już ruch panujący zwykle w porze lunchu. W środy piwiarnia nie cieszyła się zazwyczaj dużą frekwencją, ale dało się już odczuć wzmożone zainteresowanie wywołane artykułem w najnowszym numerze „Życia w Górach”. Przejedni turyści, stali wakacyjni bywalcy, a nawet nieliczni sceptycy z sąsiedniego miasteczka celowo zatrzymywali się w Schomberg, aby zobaczyć nową atrakcję. Konieczne stało się więc dostawienie dodatkowych stolików, a pracownicy lokalu musieli się nieźle nabiegać. Potem jednak zapanował zastój, który przypuszczalnie miał trwać aż do godzin popołudniowych. Spokojnie więc sprzątnięto ze stołów, opróżniono popielniczki, a wszystkie odbiorniki telewizyjne nastawione były na ulubioną telenowelę Michaela. Sam nie pamiętał już, kiedy narodziła się ta tradycja.

Michael i kelnerka Keri, jak zwykle, kłócili się z Benem, ale Sam nie zwracał na nich uwagi. Usiadł przy stoliku bliżej zaplecza i przeglądał zbiory starych płyt gramofonowych swego ojca.

Rok temu, podczas porządków w piwnicy domu rodziców, znalazł całe pudło 45-obrotowych płyt, ale aż do wczorajszego wieczoru nie zaglądał do środka. Dopiero teraz zaczął je segregować w nadziei, że uratuje choć kilka, które nadawałyby się do szafy grającej.

Każdy tytuł miał własne znaczenie, bo wiązał się z odrębnymi wspomnieniami. Piosenki zespołu Mo-town uwielbiała jego matka, podczas gdy ojciec wolał raczej repertuar „The Beach Boys”. Jednak Sam przerzucił już ponad połowę zawartości pudła i znalazł dopiero dwie płyty, które nadawały się do użytku. Były to single z nagraniami „Lollipop” i „Blue Moon”. Sam był ciekaw, czy Maxine jeszcze pamiętała ich słowa.

Kątem oka zauważył, że Keri w ciągu dziesięciu minut już drugi raz uderzyła pięścią w ladę barową.

- Ależ Michaelu, przecież to śmieszne! - dowodziła. - Każde dziecko wie, że jeśli Ashley porzuci Strauna dla Bakera, będzie tego żałować do końca życia.

Ben, potrząsając głową i pociągając łyk piwa, mrucał pod nosem:

- A ja nadal uważam, że powinna wrócić do Lewisa.

Michael lekceważąco machnął ręką.

- Pogódź się z tym, że Lewis to już przeszłość. A jeśli Ashley nie pójdzie z Bakerem, to nigdy nie przestanie sobie wyrzucać, co straciła.

Sam z westchnieniem odrzucił do pudełka kolejną płytę. Podobne rozmowy toczyły się u Cy przy porannej kawie, tylko tu było głośniejsze i weselej.

- Najsmutniejsze, że ty rzeczywiście w to wierzysz - zakończyła dyskusję Keri. Odeszła od zaperzonych oponentów i przysiadła się do stolika Sama. - Pomóc ci w czymś?

Keri miała dwadzieścia jeden lat, była samotną matką i najstarszą córką Tracy - właścicielki salonu piękności. Wprawdzie chesała się w rodzinnym zakładzie, ale nie zamierzała w przyszłości go przejąć. Zawzięcie obnosiła koszulkę z logo „Piwiarni w Schomberg” i marzyła, że kiedyś otworzy własny pub - filię piwiarni Sama, o ile ten wyrazi na to zgodę.

Aby przekonać go o swoich poważnych zamiarach przychodziła do pracy pierwsza, zostawała do późna i chętnie podejmowała się dodatkowych obowiązków. Sam miał nadzieję, że wywieszka w oknie „Potrzebna pomoc” przyciągnie więcej podobnie pracowitych dziewcząt.

-To bardzo ładnie z twojej strony, ale i tak siedzisz tu wystarczająco długo - zaprotestował. - Mogłabyś tymczasem odebrać synka ze żłobka i zabrać do domu. My tu sobie damy radę, dopóki nie przyjdzie nocna zmiana.

-No, jeśli jesteś tego pewien... - Skierowała się ku drzwiom, ale jeszcze się odwróciła. - A propos, czy któryś z was będzie grał w piątek w baseball?

Michael założył ręce na piersiach.

-Tylko jeśli pozwolą mi rzucać piłkę.

-To oznacza, że cię nie zobaczymy - podsumował Ben i zrobił zgrabny unik, bo Michael rzucił w niego podstawką pod kufel.

-A co z tobą? - Keri zatrzymała się jeszcze na górnym schodku i zagadnęła Sama. - Przydałby się nam dobry zawodnik na pierwszej bazie.

Sam bił się z myślami, bo miał ochotę zagrać. W takiej małomiasteczkowej lidze skład drużyny nie był sztywno ustalony, a zmieniano go zależnie od dyspozycyjności poszczególnych zawodników. Tempo gry było szybkie i wszyscy świetnie się bawili, a kiedy robiło się zbyt ciemno, żeby móc dokładnie widzieć piłkę, zawodnicy przenosili się do baru.

Zważywszy, że już w porze lunchu frekwencja dopisywała, w piątkowy wieczór nocna zmiana mogłaby nie dać sobie rady z obsługą dodatkowych gości. No, a w takim momencie Sam nie mógł sobie pozwolić na rozczarowanie nowych klientów.

Zabrał więc wybrane przez siebie płyty i wstał od stołu.

- Byłoby mi bardzo miło, Keri, ale dopóki nie zatrudnimy więcej pracowników, muszę sam pilnować interesu.

- Dobrze, że ja nie muszę - Michael minął Keri, schodząc ze schodów. - Chętnie raz czy drugi rzucę piłką. Możecie mnie obsadzić przy kolejnej zmianie miotacza.

- Musicie wyznaczyć jeszcze kogoś - szepnęła Keri do Bena, który zmierzał już do tylnych drzwi, mrucząc coś na temat reklamy meczu.

- Czy Michael aż tak źle rzuca? - zainteresował się Sam, przechodząc na drugą stronę sali do Keri. Płyty położył na stoliku obok szafy grającej.

- Może nadałby się do czegoś, gdybyście grali w krykieta. A jeśli już mowa o miotaczach, to słyszałam, że widziałeś się z Maxine.

Sam wzruszył ramionami i schylił się, by włączyć szafę.

- Owszem, raz czy drugi.

- Pamiętam, że była dobra w baseballu. Może chciałaby zagrać z nami?

- Musiałabyś sama ją o to zapytać.

- Pewnie mogłabym, ale trochę się krępuję, bo kiedy tu mieszkała, byłam jednym z tych dzieci, których pilnowała. Nie przyjaźniłam się z nią tak jak ty.

- Dobra, zapomnijmy o tym. - Sam przysunął szafę grającą do ściany mocniej niż zamierzał. Widząc uniesione ze zdziwienia brwi Keri, poczuł się zobowiązany do wyjaśnienia: - Słuchaj, w najbliższym czasie nie będę miał okazji z nią rozmawiać, więc jeśli chcesz, żeby z wami zagrała, zadzwoń do niej.

- Ja tylko tak sobie pomyślałam... - Keri odwróciła się i zaczęła

schodzić po schodach. - W razie, gdybyś się z nią widział, pozdrów ją ode mnie.

- Marne szanse - mruknął Sam, nalał sobie piwa i wyszedł ze szklanką na dwór.

Usiadł z nią na schodkach i pociągnął długi łyk, myśląc o stolikach, które zamówił do patio. Zastanawiał się, gdzie je postawi i jak bardzo chciałby widzieć Max rzucającą piłkę przynajmniej w jednym meczu, zanim stąd odjedzie. Nie chciał jednak być tym, kto jej to zaproponuje.

Nie widział się z nią od tamtego poranka spędzonego wspólnie w stajni. Nie miał wcale ochoty na zmianę tego stanu rzeczy, tym bardziej, że zdawała się go nie potrzebować. Jego obecność kolidowałaby z planem Delii i przeszkadzałaby w działaniu osławionego talizmanu miłosnego.

Widać jednak było, że w grę nie wchodzi tu miłość, tylko „wspólne cele i zainteresowania”, czego wynikiem miał być ślub, po którym spodziewała się zabezpieczonej przyszłości, wmawiając sobie, że tego właśnie chciała. Tymczasem dowodem na to, że prawda wygląda zupełnie inaczej, był ich pocałunek, który rzekomo się nie zdarzył. Wspomnienie tego pocałunku wciąż utrzymywało się na jego wargach i w jego pamięci. Był gorący, słodki i przepelniony tęsknotą, a świadczył niezbitnie o istnieniu czegoś przed czym się ukrywa.

Podniósł szklankę i wychylił następny, długi łyk. Cóż z tego, że wiedział o tym, ale jak miał postąpić? Przekonywać, krzyczeć czy trzymać ją tak długo, aż zrozumie, że nie może się wiązać z Peterem tylko dlatego, że boi się pokochać głębiej, tak mocno, jak Brian kochał Gwen.

Z westchnieniem oparł się o framugę drzwi. Wiedział, że nie będzie

mógł zrobić niczego podobnego, bo dał jej słowo, że będzie stać przy niej jak przyjaciel. Starał się więc zachowywać pozory, w odpowiednim momencie posłał jej prezent ślubny i trzymał się na dystans od zajazdu „Pod Pawiem”. Bał się bowiem, że gdy będzie próbował się z nią zobaczyć - sprawi jej przykrość.

Coś zmusiło go, żeby się obejrzał, choć stamtąd gdzie spojrzał nie dochodził żaden hałas ani nie zauważył niczego podejrzanego. Tylko głos wewnętrzny podpowiedział mu, żeby odwrócił głowę akurat w momencie, kiedy biały sedan wynurzył się zza zakrętu i minął sklep żelazny. Nie była to żadna luksusowa limuzyna, tylko zwyczajny, standardowy samochód nie różniący się od innych podobnych, jakich wiele przejeżdżało przez miasteczko. Kiedy jednak ten skręcił w prawo i oddalał się wzdłuż Center Street - Sam przysięgłby, że widział go już przedtem, na podjeździe do hotelu Ewy, wieczorem w dniu przyjazdu Max.

Centrum Schomberg leżało na wzgórzu, na samym szczycie którego mieściła się piwiarnia. Sam miał więc stamtąd widok na drogę prowadzącą do rzeki i kończącą się starym, żelaznym mostem. Ruch w tamtych stronach panował niewielki, tylko kilku starszych panów moczyło kije w rzece. Dzięki temu Sam mógł bez przeszkód śledzić trasę białego sedana.

Z tej odległości nie widział wyraźnie kierowcy, którym mogła być zarówno Delia jak Ewa. Dopiero kiedy w połowie drogi ze wzgórza wóz zaczął zwalniać - Sam nie miał już wątpliwości, że za kierownicą siedzi Max, która z jakichś powodów nie mogła się zdobyć, żeby przejechać przez most.

Jadący za nią busik ostro przyhamował, a jego kierowca głośno za-trąbił. Mimo to sedan zwolnił jeszcze bardziej, po prostu się włókł,

choć zdenerwowany kierowca busika znów nacisnął klakson, a w jadącym za nim sportowym samochodzie zapaliły się światła stopu.

Wędkarze znad rzeki z zainteresowaniem śledzili manewry sedana, gestami zachęcając jego kierowcę, aby jechał naprzód. Grupa dzieci podbiegła bliżej, zaciekawiona, co się dzieje. Sam odstawił szklankę i postąpił kilka kroków w kierunku ulicy, gdy nagle samochód zawrócił w miejscu i ruszył z powrotem.

Obserwując sedana pnącego się pod górę Sam zachodził w głowę, czy Max w ogóle miała zamiar jechać tam, gdzie jechała, czy w ostatniej chwili stwierdziła, że pomyliła drogę. W swoim rodzinnym miasteczku zachowywała się przecież jak turystka.

Kiedy jednak ujrzał, jak zwalnia na pierwszym zakręcie, nabrał pewności, że nie mogła zabłądzić. Pamiętała chyba, że za mostem znajdował się już tylko zakład hydrauliczny Boyda, kościół Świętego Łukasza i miejscowy cmentarz. Jeśli jednak nie miała śmiałości przejechać przez most, to po co w ogóle wybierała się w tamtą stronę, i to jeszcze sama?

Podszedł bliżej jezdni i czekał, kiedy włączy kierunkowskaz, co świadczyłoby, że zmieniła zdanie. Lepiej byłoby dla niego, gdyby trzymał się z daleka, ale widząc, jak Max wchodzi w zakręt, odruchowo namacał w kieszeni kluczyki.

Spojrzał przez ramię w stronę pustej o tej porze piwiarni, a potem znowu w kierunku sedana. „O kurczę!” zaklął pod nosem, postanawiając zamknąć lokal i przebiegł na drugą stronę ulicy, gdzie parkował swoją ciężarówkę. Ben powinien wkrótce wrócić i otworzyć bar, w końcu nic się nie stanie, jeśli nawet kilku klientów pocałuje klamkę. Z tą myślą wskoczył do szoferki.

Max drżącymi i wilgotnymi z emocji dłońmi szarpnęła bramę z kutego żelaza. Okazała się zamknięta, o czym zresztą zawiadamiła tabliczka na prawym skrzydle: „Cmentarz parafialny w Schomberg - w środy nieczynny”.

Niespodziewanie przyprawiło ją to o wybuch śmiechu, wysoce nie stosowny w tym miejscu. Spuściła głowę i zacisnęła wargi, bo co by ludzie pomyśleli, gdyby zobaczyli, że Maxine Henley śmieje się pod cmentarną bramą?

I tak zdążyła już zrobić z siebie niezłe widowisko na szosie! Była w końcu dorosłą kobietą, wybrała się na jakieś banalne zakupy - chciała kupić truskawki lub maliny, nie pamiętała nawet dokładnie, co to miało być - a w pół drogi stanęła jak przymurowana, mimo gromady gapiów i klaksonów trąbiących jej nad głową. Nie mogła się przemóc, aby przejechać przez most, na którym zginął jej brat!

Z dwojga złego wolała więc rozładować napięcie śmiechem, nawet zbyt głośnym i, co tu ukrywać, brzmiącym histerycznie, niż płaczem. Od razu poczuła się lepiej, zadowolona, że jednak pokonała opór i przebyła tę drogę.

Teraz jednak okazało się, że cały wysiłek poszedł na marne, bo cmentarz w środy był zamknięty. Kto mógł to przewidzieć?

Rzuciła torebkę na siedzenie obok i rozejrzała się na wszystkie strony. Mały, bielony kościółek w środowe popołudnie na pewno świecił pustkami, postanowiła więc sprawdzić, czy nie znajdzie kogoś w zakładzie instalatorskim Boyda. Przebiegła przez szosę i zajrzała w okna, ale nie dojrzała tam nikogo, tylko odbite w szybach drzewa i druty

wysokiego napięcia. Na wszelki wypadek uśmiechnęła się i pomachała ręką, żeby nikt nie przypuścił, że jest źle wychowana. Pomyślała najwyżej, że coś jej odbiło.

Mało tego, że nie była w stanie przejechać przez most, to jeszcze nie mogła przekroczyć cmentarnej bramy? Już słyszała komentarze bywalców lokalu „U Cy”: „Pamiętacie, że zupełnie tak samo zachowywała się po śmierci Briana? Też codziennie przesiadywała pod cmentarzem, ale nigdy nie weszła do środka”!

Na widok zamkniętej bramy od razu straciła humor. Przypomniała sobie, że w gruncie rzeczy ten cmentarz zawsze był zamknięty w środy i w głębi duszy musiała o tym wiedzieć.

- Ale tym razem weszłabym tam! - szepnęła do siebie.

„Dowiedź tego!” prowokował ją głos wewnętrzny.

Całkiem jakby słyszała głos Briana, który też nieraz ją tak podpuszczał. To dlatego początkowo tak zbłądziła się na tym moście! Próbowała dowieść sama sobie, że nie będzie musiała korzystać z objazdów, tylko zwyczajnie, główną szosą, dojedzie do celu. I niby wszystko się zgadzało, dopóki nie znalazła się w połowie drogi, gdzie nagle zabrakło jej oddechu...

Między prętami bramy widać było starannie pielęgnowane kwiaty na grobach, wydeptane ścieżki między nimi i wiekowe dęby, starsze niż większość mieszkańców miasteczka. Stare, zapadające się nagrobki sąsiadowały z nowymi, stawianymi bez projektu, jak to zwykle bywało na wiejskich cmentarzykach. Wyryte na nich nazwiska pojawiały się tutaj nieraz od czterech pokoleń lub jeszcze dawniej, a rodzina Henleyów miała tu własną kwaterę, o sześć rzędów na prawo i w głąb. Max nie mogła się tam teraz dostać, bo oddzielała ją od nich zamknięta

brama i ogrodzenie z metalowych prętów. A gdyby tak spróbowała przedostać się przez nie górą?

Cofnęła się o kilka kroków, pobieżnie oceniając wysokość ogrodzenia. No nie, przecież to absurd! A gdyby spadła i złamała nogę albo coś gorszego? Unieruchomiłoby ją to na długie tygodnie i wyłączyło z pracy. I ciekawe, jak wytłumaczyłaby Peterowi, dlaczego ma nogę w gipsie? „Widzisz, kochanie, zachciało mi się przełazić przez płot...”

Skrzywiła się, bo wiedziała, że Peter nigdy by tego nie zrozumiał. Wprawdzie wciąż nie dawał znaku życia, ale była przekonana, że prędzej czy później zechce przełamać lody i zjawi się tutaj. Szczególnie, jeśli Delia miała rację co do jego sentymentów dla dawnego Południa...

Napracowały się solidnie nad projektem reklamy nawiązującym do czasów Konfederacji. Wprawdzie Scarlett wyglądała na nim jak janke-ska, ale reszta zachowała wyraźnie przedwojenny charakter. Pasowało to świetnie do zajazdu „Pod Pawiem”, i ten fakt dawał Max do myślenia, co jeszcze Peter zdołał przed nią ukryć. Może fascynowały go także stare ruiny albo zachowane z dzieciństwa komiksy fantastycznonaukowe? Może zawsze interesował się fantastyką naukową, tylko ona o tym nie wiedziała?

Z rezygnacją machnęła na to ręką. W końcu jakie to miało znaczenie? Przyjdzie jeszcze czas na nadrabianie zaległości, nawet dużo czasu - właściwie całe życie. Sądząc jednak na podstawie tego, co dotąd o nim wiedziała, Max była zupełnie pewna, że Peter nie potrafiłby zrozumieć, po co u licha łąziła po płotach. W jego oczach byłoby to postępowanie ryzykowne, niebezpieczne, a więc świadczące o nieodpowiedzialności.

Mimo wszystko jednak nie mogła oderwać oczu od ogrodzenia. Nie było zabezpieczone drutem kolczastym ani przewodem pod napięciem, a wysokości chyba nie miało więcej niż metr osiemdziesiąt. Jednym słowem, wręcz zachęcało do wspinaczki, co nie znaczyło, że lubowała się w takich wyczynach. Przynajmniej nie teraz.

W gruncie rzeczy byłoby to wdarcie się na ogrodzony teren, a zatem coś w rodzaju włamania. Uśmiech przemknął jej przez twarz, bo wiedziała, że Brian uwielbiał takie eskapady. Włamanie na cmentarz, to było coś!

Nie myśląc dłużej złapała torebkę i zatrzasnęła drzwiczki wozu. Powzięła bowiem mocne postanowienie, że tym razem pokona barierę strachu i wejdzie na cmentarz. Peter nie musi się o tym dowiedzieć.

Namierzyła odcinek płotu o jakieś dwa metry od bramy i potrząsnęła siatką, stwierdzając, że trzyma się dosyć słabo. Mimo to wsadziła czubek stopy w jej romboidalne oczko, zakładając, że gdyby płot się zawalił -każdy przypadkowy przechodzień wezwie pomoc. Chwyciła za górny brzeg siatki i podciągnęła się, ale w ostatniej chwili dotarło do niej, że ma na sobie krótką, jasnoniebieską sukienkę w drobne paseczki. Nawet bardzo krótką...

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę zakładu Boyda. Może powinna była raczej wrócić do domu i się przebrać, żeby nie dostarczać plotkaczom ze sklepu Cy tematu do komentarzy co do wyglądu jej bielizny?

W domu jednak musiałyby się tłumaczyć, dokąd jedzie i po co. Może nawet ktoś uparłby się, aby jej towarzyszyć, albo Ewa w ogóle wyperswadowałaby jej wyjazd, bo przecież wiedziała, że cmentarz w środy jest nieczynny? Poradziłaby Max, żeby poczekała do jutra i miałyby rację!

Popatrzyła jeszcze raz na nagrobki i kwiaty. Doszła do wniosku, że nie ma zamiaru czekać ani dnia, ba nawet godziny dłużej! U Cy i tak będą już gadać o jej perypetiach na moście i przy bramie, więc niech strzepią języki jeszcze o forsowaniu przez nią płotu...

Zdjęła z ramienia torebkę i przerzuciła ją przez ogrodzenie. Wdrapywała się na siatkę dość długo, bo jej sandałki były przystosowane raczej do chodzenia po ziemi niż po płotach. Jednak kiedy przerzuciła jedną nogę przez górny drut - stwierdziła z dumą, że ręce ma suche, a serce bije jej nieco szybciej tylko na skutek wysiłku fizycznego. Trzeba trafu, że w tym momencie jej wzrok napotkał spojrzenie Sama, zmierzającego prosto do niej, z rękami w kieszeniach i z uśmiechem na twarzy.

„Że też musiał akurat teraz tu się napatoczyć!” pomyślała, trzymając się mocniej drutów siatki i próbując ignorować fakt, że nagle zrobiło się jej gorąco.

Sam zatrzymał się pod samym płotem, przekrzywił na bok głowę i przez cały czas uśmiechał się bezczelnie,

-Dama włożyłaby spodnie! - zauważył.

-A dżentelmen nie powinien podglądać! - odcięła się.

Roześmiał się i kurtuazyjnie odwrócił w drugą stronę, kiedy przerzuciła także drugą nogę, która dołączyła do poprzedniej.

-A w ogóle co ty tu robisz? - spytała, kiedy znalazła dobry punkt zaczepienia dla palców nóg.

-Pewnie to samo, co ty. Może wyszedłem sobie na spacer i pomyślałem, że w taką fajną pogodę dobrze byłoby wstąpić na cmentarz? - Spojrzał przez ramię, jak jej idzie schodzenie na drugą stronę siatki, po czym wyciągnął z kieszeni klucz i podszedł do bramy. - No więc jestem - dokończył, wkładając klucz w zamek. Skrzydła bramy od razu otworzyły się na oścież.

Max otworzyła szeroko oczy.

-Skąd go wzięłeś?

-Co, klucz? - Podniósł go ostentacyjnie do góry, a potem wsadził do kieszeni i schylił się, aby podnieść jej torebkę. - Barry od Boyda przypuszczał, że mogę go potrzebować.

-Gadanie! - mruknęła, zabierając się do schodzenia. Kiedy jednak Sam znalazł się tuż pod nią, siląc się na maksymalnie wyniosły ton, poprosiła: - Może byś mi pomógł?

-Ależ oczywiście! - zgodził się skwapliwie. Objął ją dłońmi w pasie i zdjął z siatki. Zanim postawił ją na ziemi, skorzystał z okazji, aby szepnąć jej do ucha: -Często tu przychodzisz?

- Daj spokój, O'Neal - rzuciła z wymuszonym uśmiechem, ale wszystkie jej mocne postanowienia diabli wzięli, kiedy spojrzała w jego ciemne, roześmiane oczy. Daremnie przez ostatnie cztery dni próbowała nie myśleć o nim i wmawiać sobie, że może się bez niego obejść. Nie minęła minuta, a już zdała sobie sprawę, jak bardzo jej brakowało jego uśmiechu, żartów, a zwłaszcza - niech Bóg ma ją w swojej opiece - jego pocałunku!

Mimowolnie spuściła oczy, kierując wzrok na jego kształtne usta. Najgorsze w tym wszystkim było to, że na jej własne życzenie ten pocałunek miał zostać uznany za niebyły. Tyle razy powtarzała sobie, że to się nigdy nie zdarzyło, więc w końcu zmusiła się do oderwania oczu od jego ust.

- Jak dawno ten Barry dzwonił, że tu jestem? - dociekała, na wszelki wypadek wykonując przyjazne gesty na użytek niewidocznych twarzy i wścibskich oczu ewentualnych obserwatorów.

Tymczasem Sam złapał ją za rękę, a uśmiech powoli zniknął z jego twarzy, kiedy wyznał:

- Nikt nie musiał do mnie dzwonić, Max. To ja widziałem cię na moście.

W zakłopotaniu odsunęła się od niego.

- Zrobiłam z siebie niezłe widowisko, prawda? Pewnie Cy i spółka też to widzieli? - Zrzuciła torebkę na ramię i hardo zadarła podbródek.

- Wiesz co, zrób coś dla mnie. Następnym razem, kiedy będziesz w Delikatesach, powiedz tym wszystkim dupkom, że u Maxine wszystko w porządku, że dziękuję im za troskę i niech się ugryzą!

Chciała obrócić się na pięcie, ale przytrzymał ją za ramię i ustawił twarzą do siebie.

- Nikt nie wątpi, że wszystko z tobą jest w najzupełniejszym porządku. Po prostu martwili się o ciebie, tak zresztą jak i ja.

Przysunął się bliżej, więc położyła mu rękę na piersi, udając przed sobą, że nie czuje ciepła jego skóry ani bicia jego serca. Nawet kiedy go odpychała, pragnęła nade wszystko przyciągnąć go z powrotem.

- Nie musisz martwić się o mnie! - prychnęła.

- Cóż ja na to poradzę? - Odgarnął włosy z jej twarzy. - Tak zwykle zachowują się przyjaciele.

Wolała unikać jego czułego spojrzenia, w obawie, aby nie zobaczyć w nim czegoś więcej niż przyjaźni, choć przez cały czas myślała o swojej dawnej sympatii i jego pocałunkach, które pojawiły się w tak niefortunnych okolicznościach. A co by było, gdyby zwróciła na niego uwagę jeszcze wiele lat temu, kiedy w Nowym Jorku robił zamieszanie na Wall Street?

Na wszelki wypadek wolała nie wnikać w przeszłość, a za to skupić się na sprawach bieżących, takich jak nagrobki i kwiaty, dla których podejmowała trud przedostawania się przez płot. Zastanawiała się tylko, w którym momencie straciła odwagę.

-Max... - zaczął, więc powstrzymała go ruchem ręki.

-Wiem, co chcesz mi powiedzieć, ale mam tu coś ważnego do zrobienia.

-W porządku, ale gdzie jest napisane, że masz to robić sama? - Podał jej ramię. - Co to ma być? Przejdziemy się tylko raz w kółko, czy zabawimy tu dłużej?

Max wahała się, czy pójść za głosem serca, czy rozsądku. Z jednej strony niczego więcej nie pragnęła, jak tylko przytulić się do jego ramienia i pozwolić mu przejąć inicjatywę, ale obawiała się, że gdy minie uniesienie, trudniej jej będzie powrócić do szarej codzienności.

- Najlepiej zostaw klucz gdzieś przy bramie, a kiedy będę wychodzić, to ją zamknę - oddaliła się o kilka kroków. On nawet nie próbował jej zatrzymać i wtedy ogarnęła ją panika. Nie spodziewała się, że strach zaatakuje jej serce i spowolni ruchy, ale przemogła się i ruszyła naprzód, żeby raz na zawsze wypiąć się na wszystkich plotkarzy z Schomberg.

Przeszła pod dębami, ocieniającymi wydeptane w trawie ścieżki. Minęła grób rodziny McDermottów, do których należała farma o kilka mil na zachód od zajazdu „Pod Pawiem”, a potem Schmidtów, którzy prawie sto lat temu rozpoczęli budowę tartaku. Rzuciła okiem na grobowiec rodzinny O’Nealów, znajdujący się w samym rogu, lecz zaraz skręciła na lewo, gdzie szarozielona figura Archanioła Gabriela oznaczała miejsce wiecznego spoczynku jedyne miliona rodem z Schomberg - Jonasa B. Warrena. Max pamiętała, że ponad pięćdziesiąt lat temu jego rodzina w niesławie opuściła miasteczko. Nie mogła przypomnieć sobie, o co tam dokładnie chodziło, ale gdyby tylko chciała -na pewno znalazłby się ktoś, kto udzieliłby jej szczegółowej informacji.

Zatrzymała się przy grobie rodziny Williamsów, obrośniętym jaszkrawo pomarańczowymi różami. Widząc je zorientowała się, że o jeden rząd dalej rosną już białe i żółte stokrotki, które trzynaście lat temu Ewa zasadziła na mogile Briana.

Podniosła głowę, aby lepiej widzieć skromne, białe płyty nagrobne swoich pradziadków, których nie znała. Do dziś natomiast opłakiwała dziadka i babcię, którzy spoczywali pod kolumną. Najbardziej rzucał się w oczy nagrobek z czerwonego marmuru, na którym wyryto sentencję: „Nastaw kawę, zaraz wracam”. Max pamiętała, że takimi słowami zwracał się jej ojciec do matki, kiedy co rano wychodził do ogrodu. Dopiero na końcu w kompletnej ciszy stanęła przed tablicą z czarnego granitu, nowszą od wszystkich pozostałych. Tam spoczywał Brian.

Sam tymczasem stojąc przy bramie, obserwował ją z daleka. Przypominał sobie, jak wyglądała jeszcze przed dziesięcioma minutami, kiedy triumfalnie usiadła na szczycie płotu, ukazując tak zgrabne uda, że z wrażenia aż zaschło mu w gardle.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Z jednej strony robiła wrażenie drobnej i wątlej, z drugiej zaś porażała go jej odwaga. Nie rozumiał wprawdzie, dlaczego uważała, że musi sama stawić czoła temu, co nieuniknione, ale uzbroił się w cierpliwość. Gdy przekraczała niski murek dzielący kwaterę Williamsów od kwatery Henleyów, po raz kolejny odczytując inskrypcje na granitowych płytach, a potem przyklękała, aby pozbierać zwiędłe kwiatki stokrotek - czekał cierpliwie. Nie reagował, kiedy wstała i odwróciła się do niego tyłem. Porzucił bierną postawę dopiero wtedy, kiedy ukryła twarz w dłoniach i zanosła się płaczem.

Słyszając jego kroki przez chwilę spojrzała w górę, ale zaraz ponownie opuściła głowę, jedną ręką wycierając oczy, drugą szukając chusteczki w torebce.

-Nie masz czasem czegoś ważnego do załatwienia? -spytała.

-Nic takiego nie przychodzi mi na myśl - odpowiedział bez zająknięcia. Skupił wzrok na kamieniach nagrobnych, udając, że nie widzi, jak chlipie i pociąga nosem.

-Kłamiesz! - oceniła, jednak bez wyrzutu w głosie. Potem z westchnieniem odeszła nieco dalej. - Teraz to już tylko twoje strony. Ja nawet nie wiem, co mam tu robić.

-Nie rozumiem. A co robiłaś wcześniej?

Na chwilę umilkła i oczami wskazała na groby.

-Kiedy byłam mała, lubiłam z nimi rozmawiać. Przychodziliśmy na cmentarz w każdy piątek wieczorem, całą rodziną. Ewa pielęgnowała kwiaty, Brian wspinał się na drzewa, a ja siadywałam tutaj i trajkotałam jak karabin maszynowy.

-I co takiego mówiłaś? - spytał z uśmiechem Sam, próbując sobie to wyobrazić.

-Och, mnóstwo rzeczy - zaśmiała się zawstydzona. -Dziadkowi, na przykład, opowiadałam kawały, bo zawsze je lubił. Babci zdawałam sprawozdanie, co działo się ostatnio w szkole, a tatusiowi skarżyłam, że Brian był niegrzeczny.

-Jestem pewien, że słuchał tego z przyjemnością.

-Ja miałam większą przyjemność, kiedy to opowiadałam. - Na jej wargach pojawił się lekki uśmiech, a w oczach pojawiło się coś co nadało jej młodzieńczy wdzięk i Sam przez chwilę dojrzał dziewczynę z dawnych lat. - Najdziwniejsze, że wtedy święcie wierzyłam, że oni mnie słyszą i rozumieją każde słowo.

- A teraz? - spytał Sam.

- Teraz? - wzruszyła ramionami i westchnęła. Wyzbyła się już złudzeń, bo uważała się za osobę dorosłą. - Teraz już wiem lepiej.

Sam pokiwał głową i spojrzał pod nogi, gdzie rosły stokrotki.

- Kiedyś miałem klienta, starego Japończyka. Dobrze nam się współpracowało, więc po służbowych spotkaniach często chodziliśmy razem na drinka, albo nawet na kolację. Któregoś dnia zaprosił mnie na herbatkę ze swoją żoną. - Zrobił przerwę dla efektu i spojrzał na Max. - Nie wspominał tylko o drobiazgu - że jego żona nie żyje. Domyśliłem się dopiero wtedy, kiedy zawiózł mnie na cmentarz.

- Och, jakie to niegrzeczne z jego strony!

- Myślę, że to było raczej przeoczenie - sprostował Sam, z udanym zainteresowaniem przyglądając się stokrotkom. - Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, mój klient nie odezwał się ani słowem, tylko wyjął koszyk z bagażnika i zaniósł go na pagórek, gdzie pod drzewem ujrzałem nagrobek. Było mi głupio jak jasna cholera, więc tylko stałem patrząc jak rozkłada serwetę na trawie, na niej stawia trzy filiżanki i talerz ciasteczek. Zaprosił mnie, żebym usiadł i obwieścił, że będziemy pili herbatę z duchami. Nalał herbaty do filiżanek, przedstawił mnie swojej zmarłej żonie i zaczął jej opowiadać, jak minął dzień.

- Nie wierzę! - zaprotestowała Max. Ręce trzymała założone przed sobą, a spojrzenie wyrażało nieufność, bo nie wiedziała, do czego on zmierza.

Sam parsknął śmiechem i nachylił się, aby zerwać stokrotkę.

- Z tych, którzy to widzieli, też nikt nie chciał wierzyć. Kierowcy,

którzy przejeżdżali obok, zwalniali, a grabarz zataczał kółka, starając się podejść coraz bliżej... - Potrząsnął głową i podszedł do miejsca, gdzie stała Max. - Jakby na to nie patrzeć, przesiedzieliśmy tam całe popołudnie, pijąc herbatę i zagryzając ciasteczkami. A kiedy odjeżdżaliśmy, wydawało mi się, że zdążyłem już poznać jego żonę osobiście.

-Brzmi to bardzo ładnie, ale wiesz, jak mówią: wschód to wschód, a zachód to zachód.

-Przykre, ale prawdziwe - westchnął Sam. - Dlatego myślę, że dla Briana zrobimy coś podobnego, ale trochę inaczej. Urządzimy sobie „Szczęśliwe godziny z duchami”.

Max patrzyła na niego z niedowierzaniem.

-A zamiast herbaty weźmiemy karton piwa i torbę orzeszków?

-Osobiście myślałem o chipsach, ale orzeszki też mogą być. - Wyciągnął rękę, aby zatknąć jej stokrotkę we włosy. - No więc, co ty na to?

-Sama nie wiem - wyznała, przebierając palcami w płatkach stokrotki. Nagle wpadła na pomysł, żeby zwrócić się w kierunku granitowego nagrobka. - A co ty na to, Brianie? Co powiesz na „Szczęśliwą godzinę”? - Zwróciła z powrotem spojrzenie na Sama i ze zdziwionym uśmiechem odpowiedziała: - On mówi, że jest za.

-W takim razie załatwione. - Sam przekroczył murek, aby wrócić na ścieżkę. - Skoczmy po zakupy do Kwik Way i zaraz będziemy z powrotem na „Szczęśliwą godzinę”.

-Może raczej poczekam tu na ciebie?

-O, nie! - żartobliwie zaprotestował. - Musimy połączyć nasze siły. Ja zajmę się piwem, a ty orzeszkami.

- Kiedy nie mogę! - cofnęła się, kręcąc przecząco głową. - Przy-
najmniej nie dzisiaj.

Widział, jak jej uśmiech znikł, a oczy zaszły mgłą. Zrozumiał, o co
chodzi, dopiero wtedy, kiedy zauważył, że spogląda w kierunku zakła-
du Boyda za szosą. Znaczyło to, że wciąż nęka ją wspomnienie mostu,
klucza do bramy i sklepu Cy.

-Jedź ze mną, Max - poprosił. - To nie będzie takie straszne, jak so-
bie wyobrażasz. Jasne, że ludzie bywają ciekawscy, ale głównie dlate-
go, że nie widzieli cię przez tyle lat. Zresztą, co się może stać najgor-
szego? Ze kilka osób obejrzy się za tobą, a kilka innych weźmie cię na
języki?

-No, jeszcze sobowtór Judith Anderson mógłby wziąć mnie jako
zakładnika.

-To rzeczywiście byłoby fatalne, ale przecież nie będziesz tam sa-
ma. - Zbliżył się jeszcze o krok i wyciągnął do niej rękę. - No więc jak?
Jedziemy do Kwik Way? Ty i ja?

-Dobrze, niech będzie ty i ja - mruknęła Max pod nosem, ściskając
mocno jego rękę.

Max wręczyła ekspedientowi w Kwik Way banknot dziesięciodolarowy i zamówiła puszkę mieszanych orzeszków. Puszka miała być duża, orzechy smażone w miodzie, a jedną czwartą objętości miały stanowić nerkowce, które Brian lubił najbardziej. Starła się nie patrzeć na sprzedawcę, kiedy dzwonił, aby mu je przyniesiono. Na szczęście pracownik był młody i nie doszukał się podtekstu.

Domyślała się także, że chłopak nie wie, kim ona jest. To znaczy, mógł o niej słyszeć, kiedy wspomniano dawne czasy, ale nie skojarzył twarzy z nazwiskiem. Chwilowo więc Max mogła korzystać z dobrodziejstw anonimowości, ale modliła się, by jak najszybciej ją obsłużył.

Bębniła palcami po ladzie, podczas gdy młody człowiek przerzucał cennik, raz po razie zaczynając od początku. Max tymczasem śledziła wzrokiem ruchy Sama, który wybierał najnowsze kasety wideo. Mieli szczęście, że aktualnie byli jedynymi klientami sklepu, ale następny samochód mógł w każdej chwili zajechać na parking.

- Hej, Gisella! - zawołał ekspedient, wymachując nad głową puszką.
- Ile kosztują takie orzechy?

Max śledziła wahadłowy ruch puszek w przód i w tył, zastanawia-

jąc się, czy nie jest to jakimś znakiem. Może los dawał jej szansę, aby powiedziała teraz „Zapomnijmy o tym” i uciekła, byle jak najdalej od Center Street i oczywiście Sama O’Neal.

Ten zaś przechadzał się wzdłuż regałów z kasetami, trzymając w ręku sześciopak piwa, za które już zapłacił. Coraz to zatrzymywał się, wyciągał jakąś kasetę, odczytywał jej tytuł i wsadzał ją na miejsce. Widać było, że czuje się w tym sklepie i w ogóle w Schomberg jak w domu, podczas gdy ona nigdy w życiu nie czuła się bardziej niezręcznie. A wszystko przez to, że posłuchała Sama!

Gdyby lepiej przemyślała sprawę i nie dała się wrobić w idiotyczny pomysł picia piwa z nieboszczykiem -saczyłaby teraz mrożoną herbatę na werandzie zajazdu „Pod Pawiem”. Tu natomiast co chwilę musiała walczyć z pokusą wyglądania na parking i sprawdzania, czy nie nadjeżdża jakiś samochód. W sumie cały problem polegał na tym, że nie pomyślała trzeźwo, tylko poszła za głosem instynktu i dała się omotać uwodzicielskiemu spojrzeniu Sama.

- Sześć pięćdziesiąt! - odkrzyknęła tymczasem niewidoczna Gisella z zaplecza. Zamiast uciekać, Max przeszła do kasy i zapłaciła, stając się posiadaczką puszki orzeszków. Najlepszy dowód, jaki zły wpływ wywierał na nią ten człowiek! Oby Peter przyjechał tu jak najszybciej.

Nagle usłyszała za sobą dźwięk otwieranych drzwi, więc od razu się usztywniła i pożałowała, że nie skorzystała z okazji opuszczenia tego miejsca. Do sklepu wpadła grupka rozgadanych nastolatków, ale jakoś dziwnie nikt z nich nie zauważył: „O, patrzcie, tu jest Maxine Henley, może dowiemy się od niej czegoś więcej na temat jej ślubu?”

Młodzież zainteresowała się raczej barwnymi czasopismami, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. To raczej Max im się przypatrywała, czując, że padła ofiarą własnej wyobraźni, a także, co musiała przyznać, własnej próżności. Szybko przeniosła więc wzrok na okno od frontu, myśląc w duchu, że chyba Sam miał rację.

- Mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze - szepnął, kiedy się znalazł obok niej.

Max spojrzała na niego ze zdziwieniem. Co według niego było takie dobre? To, że stał tak blisko niej, że czuła zapach jego nagrzaną słońcem skóry? Czy to, że tak bezczelnie na nią patrzył i znalazł ją lepiej niż ona sama? To miało być dobrze? Bardziej pomylić się nie mógł, nawet gdyby chciał!

Odwróciła się i podniosła rękę do piersi, jakby chcąc strząsnąć jakieś paprochy, ale naprawdę chciała namacać swój talizman i przypuszczała, że Sam także tego się domyślił.

- Proszę pani!

Max zamrugała oczami i zauważyła, że kasjer przygląda się jej, nieco zaciekawiony, ale nie za bardzo.

-Proszę, to reszta dla pani. - Podał jej do ręki parę banknotów i drobnych monet, a po ladzie popchnął w jej kierunku puszkę orzechów.

- Życzę miłego dnia!

-Przydałaby mi się jakaś reklamówka... - myślała głośno Max.

-Taka może być? - Sam sięgnął zza jej pleców i wziął puszkę.

-Dziękujemy, że państwo dokonali u nas zakupów -wyrecytował kasjer, a od siebie dodał: - Jaki śliczny kwiatek!

-Jaki kwiatek? - zdziwiła się Max, ale zaraz spojrzała spode łba na Sama i wyszarpnęła z włosów stokrotkę, którą jej wetknął. Po drodze

do wyjścia wrzuciła ją do kosza. - Dlaczego mi nie przypomniałeś?

- Bo mi się to podobało. - Otwierając jej drzwi, spojrzął na zegarek.

- Jedźmy już, bo robi się późno.

- Późno? Dopiero dochodzi czwarta! - zaprotestowała, ale przypomniała sobie wywieszkę na drzwiach piwiarni Sama: „Tu można dobrze zjeść i wypić”. Przecież o tej porze powinien być znajdować się w pracy, a nie spędzać z nią długie godziny. Kto tymczasem pilnował interesu?

- Może urządzimy to kiedy indziej? - zaproponowała, idąc za nim przez parking do samochodów. - Pewnie powinieneś już wracać do firmy.

- Firma nie zajac. - Postawił karton piwa na pace ciężarówki i otworzył drzwi kabiny. - Wsiadaj, pojedziemy razem. Chyba że chciałabyś najpierw obejrzeć mój bar?

Max jeszcze się wahała, choć jedną nogę postawiła już na stopniu szoferki. Bała się właśnie tego wpływu, jaki na nią wywierał. Stopniowo wkradał się w jej łaski i wytrącał ją z równowagi. Nawet i teraz, choć wiedziała, że nie powinna się z tym spieszyć, już namierzyła po drugiej stronie ulicy okna piwiarni.

- Teraz? - spytała.

- Jeśli w ogóle, to tylko teraz, póki tu jesteśmy. - Wzruszył ramionami.

W tym momencie osiągnął nad nią przewagę, choć przecież dała sobie słowo, że bez Petera nie odwiedzi najnowszej atrakcji Schomberg. Z drugiej jednak strony Peter pewnie wolałby lokal wyższej kategorii, a ona mogłaby drugi raz nie mieć sposobności odwiedzenia firmy Sama. Jak na razie, wychodziło na to, że choć specjalnie przyjechała w rodzinne strony, dotychczas nie natknęła się na nikogo znajomego. Wydeła wargi i na wszelki wypadek przyjrzała się najbliższym oknom

wystawowym. Oczywiście z tej odległości trudno było ocenić, kto zerka zza firanki, a kto nie.

Zdjęła nogę ze stopnia i dostawiła do drugiej, stojącej jeszcze na ziemi. Jednak nawet to nie ułatwiło jej podjęcia decyzji.

-Możesz mieć teraz duży ruch w porze obiadowej -próbowała przekonywać.

-Chciałbym! - roześmiał się.

Komuś obcemu ten śmiech mógłby wydać się szczery. Człowiek z zewnątrz nie zauważyłby także ledwo dosłyszalnej ostrości tonu ani dyskretnej zmiany postawy. Natomiast Max łowiła nawet i takie szczegóły, więc z satysfakcją stwierdziła, że Sam nie jest w stanie niczego przed nią ukryć.

Jeszcze mnóstwo pytań cisnęło jej się na usta, ale już nie miała kiedy ich zadać, bo Sam złapał ją za ramię i wyciągnął z kabiny.

- Chodź, spróbujesz prawdziwego piwa, to będziesz mogła opowiedzieć Brianowi, czy ono jest lepsze od tych bełtów z butelki.

Wciąż próbowała.

- Chyba powinnam już wracać do domu, bo może Peter...

W którymś momencie jednak Sam znalazł się tuż przed nią. Położył obie ręce na jej ramionach i popchnął ją w stronę kabiny. Nie miała czasu odpowiednio zareagować, bo już pochylił się nad nią, aż nosy obojga znalazły się na równym poziomie. Zrobiła tylko wielkie oczy, bo poczuła w piersiach przyjemne ciepło. Zacisnęła palce, pewna, że Sam znów zamierza ją pocałować, choćby tu, na parkingu. On jednak tylko się uśmiechnął.

- Wyluzuj się, Max - szepnął. - Napijemy się tylko piwa.

- Dobrze, ale ty stawiasz! - Odepchnęła go i ruszyła naprzód, słysząc za sobą jego śmiech. Sama też się uśmiechała.

Ten człowiek stanowczo był nieprzewidywalny, ale może właśnie to decydowało o jego niebezpiecznym wdzięku? Najwyraźniej jeszcze po tylu latach czuła coś do niego, bo cóż innego powodowałoby przyspieszone bicie jej serca? Teraz jednak nie o to jej chodziło, co raz za razem powtarzała sobie, idąc ulicą pod górę.

Tu i ówdzie spotykało się przechodniów. Przed pocztą stała jakaś kobieta, mężczyzna wychodził z zakładu fryzjerskiego, a mama z dwojgiem dzieci kupowała im lody, ale pod piwiarnią nikt specjalnie się nie kręcił. Max szła szybkim krokiem ze spuszczoną głową. Rzuciła wprawdzie okiem na wystawę sklepu „Drugastrona lustra”, ale przed delikatesami „U Cy” starała się patrzeć gdzie indziej, bo nawet w towarzystwie Sama czuła się zbyt narażona na spojrzenia ciekawskich.

Drzwi piwiarni stały otworem. Sam poszedł pierwszy, ale u szczytu schodów Max nie darowała sobie szybkiego spojrzenia w stronę kawiarni „U Cy”. Dobrze trafiła, bo dojrzała za firankami trzy twarze ciekawskich. Nie rozpoznała nikogo z nich, ale sądząc po szybkości, z jaką znikły, wywnioskowała, że ci ludzie musieli dobrze wiedzieć, kim ona jest.

Jak przystało na tak znaną postać, wzniosła więc obie ręce wysoko nad głowę, licząc na to, że przynajmniej jeden z gapiów to zauważy, zanim znikła we wnętrzu piwiarni.

- Ben robi to lepiej - orzekł Sam.

- Nie miałam kiedy nabrać wprawy - odcięła się.

Obrzuciła spojrzeniem pusty lokal i z widoczną ulgą położyła torebkę na najbliższym stoliku. Sama przeszła się dookoła, w jednej chwili ogarniając wzrokiem wszystko - bar, ekrany telewizyjne, na których leciał teraz turniej zapaśniczy, wreszcie miedziane kotły mini browaru oddzielonego szklaną ścianą.

-Usiądź, proszę - zaproponował. Sam skierował się do kuchni, aby sprawdzić, kto tym razem otworzył lokal. - Zaraz wracam.

-Nie spiesz się, tu jest bardzo przyjemnie - zapewniła. Obejrzał się akurat w dobrym momencie, kiedy wspinała się na palce, aby lepiej przyjrzeć się kotłom. -No, no, rzeczywiście pokazałeś klasę!

-No, bo jestem chłopak z klasą! - Starał się utrzymywać lekki ton rozmowy, gdyż postanowił na razie nie próbować zmieniać charakteru ich związku. Zdawał sobie sprawę, że tu, w Schomberg, za cholerę nie może liczyć na nic więcej.

-Pewnie, szczególnie ten mecz o tym świadczy. -Posłała mu uśmiech, przyglądając się drewnianemu przepierzeniu w końcu sali. Chętnie wsadziłaby głowę, aby sprawdzić, co się za nim znajduje, ale tylko zapytała: - Co tam jest?

-Planuję w tym miejscu salę restauracyjną, ale na razie jeszcze nic tu się nie dzieje.

-Wystarczy tylko trochę wyobraźni...

„I kilkaset tysięcy dolarów!” dopowiedział w myśli Sam, ale nie wypowiedział tego na głos. Tymczasem Max podeszła z uśmiechem do szafy grającej.

- Wiesz, że widziałam ją w piśmie „Zycie w Górach”?
Zaskoczyło mnie to, bo myślałam, że dawno już jej nie masz. - Powiodła ręką po szklanej, kopulastej pokrywie.

- Czy ona jeszcze działa?

- Lepiej niż przedtem. - Dopiero teraz zauważył, że lampki się nie świecą. Strawił przecież pół roku na remont i modernizację tego gruchota. Zamówił nowe, chromowane okucia, szklane części i lampy. Miał nadzieję, że nic się nie uszkodziło, kiedy wczoraj wieczorem ściągał ją po schodach. - Włącz, a sama zobaczysz.

Max pamiętała dokładnie, jak działało to urządzenie, ponieważ włączała je tyleż razy, co i on. Niby dlaczego miałyby zapomnieć?

Usłyszał znajome pstryknięcie wyłącznika, którym Max uruchomiła maszynę. Prawie równocześnie włączył się wzmacniacz, a lampy fluorescencyjne zaczęły migotać, wypełniając szklane sklepienie białym światłem. Sam cieszył się, że wszystko gra, zwłaszcza gdy przednia ścianka szafy zaśniła tęczą barw.

Max spojrzała na niego z zachwytem.

- Masz do tego jakieś płyty? - spytała.

- Tak, leżą tu na stole. - Wskazał stolik tuż za nią i znów skierował się do kuchni. - Znalazłem tylko dwie, ale przynajmniej można je odtwarzać.

Zwolnił kroku, kiedy przy tylnych drzwiach zauważył Bena, przyglądającego się z wyraźnym obrzydzeniem kartce papieru przypiętej do tablicy ogłoszeń.

- Czekaj, zaraz ci wszystko wyjaśnię... - zaczął, ale Ben przerwał mu, zrywając kartkę z tablicy.

- A proszę bardzo, wyjaśnij mi, odkąd podajemy: „przypalony sos pomarańczowy chipotle i osmolone bok choy”? - Z rozmachem rzucił ten dziwny jadłospis na ladę przed Samem. - A do tego na deser „zwęglone ciasto czekoladowe”? Ciekaw jestem, co ten facet sobie myśli? - Ben wycofywał się kręcąc głową z dezaprobatą.

- To mi wygląda na *tapas*.

Obaj mężczyźni zwrócili głowy w tamtą stronę. Do kuchni weszła Max, ale Ben nie dał jej dojść do głosu.

-Co to za lichy te jakieś tapas? I dlaczego one muszą być przypalone?

-Tapas to takie przystawki podawane w małych porcjach, które się opala przed podaniem - tłumaczyła Max, posyłając Benowi przepraszący uśmiech. - Jada się je przeważnie na Zachodnim Wybrzeżu.

-Czy my mieszkamy na wybrzeżu? - warknął Ben. Nawet gdy wrócił za bufet, nadal patrzył wilkiem.

-Chyba jeszcze nigdy nie widziałam, żeby tak się wściekał - zauważyła Max, odprowadzając Bena wzrokiem.

-Poczekaj, a zobaczysz, jak on zareaguje na placuszki z koziego sera, jakie wymyślił Michael - poradził Sam, przypinając „menu” z powrotem na miejsce.

-Michael to twój kucharz, prawda?

-Tak, najlepszy w całym hrabstwie. Nie uważasz, że ma olśniewające pomysły? - Z założonymi na piersi rękami oparł się o ladę barową. - Ale i ty nadal znasz się na kuchni.

Max wzruszyła ramionami.

- Muszę być na bieżąco, bo z Peterem projektujemy dużo książek kucharskich. - Podeszła do płyty kuchennej, na której podgrzewały się rondelki z zupami i sosami. Zdjęła pokrywkę z jednego. - Mogę spróbować?

-Oczywiście, czuj się jak u siebie w domu. Max zajrzała do garnka.

-Zupa z marchwi? To ciekawy pomysł.

-Michael zawsze ma ciekawe pomysły, tylko szkoda, że jego artystyczna wizja potraw nie odpowiada wyobrażeniom Bena.

-W tej branży to normalne - pokiwała głową Max, schylając się nad

rondlem. - Twórcze pomysły kucharzy nieraz zaskakują właścicieli.

Sam nieczęsto słyszał o takich przypadkach, ale zafascynował go wyraz jej twarzy, kiedy z przymkniętymi oczyma zbliżała nos do garnka i delectowała się zapachem, jakby to nie była zupa, tylko markowe perfumy.

- Dlatego dałam sobie słowo, że gdybym kiedykolwiek miała pracować w restauracji, to tylko we własnej - ciągnęła dalej Max, otwierając oczy. - Mogę spróbować tego?

Sam podał jej łyżkę, którą wziął z tacy.

- Rzeczywiście, pamiętam, że zawsze chciałaś otworzyć knajpę nad rzeką. Wymyśliłaś nawet dla niej nazwę.

- Aha, „Blue Ridge Cafe” - przypomniała ze śmiechem. - Wydawało mi się, że to brzmi bardzo elegancko. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, ile pracy wymaga prowadzenie restauracji.

Nabrała na łyżkę zupy, ponownie przymknęła oczy i spróbowała. Po raz pierwszy w życiu Sam żałował, że nie jest łyżką.

- O, ta jest pyszna! - Max nałożyła z powrotem pokrywkę na garnek, a łyżkę wrzuciła do zlewu. - Pikantna, aromatyczna, ale nie taka znów domowa.

Trzymając się pod boki, oceniła wzrokiem pozostałe garnki na płycie.

- Jeśli mam być szczerą, to zgadzam się raczej z Benem. Goście, którzy przyjeżdżają w góry, nie szukają kalifornijskich smaków.

- A jak sądzisz, czego przeważnie szukają?

- Kuchni tradycyjnej, ale w nowym wydaniu. Mogą na przykład żyć sobie klopsa, ale bez tłuszczu. Jednym słowem, tak, jak u mamy, tylko lepiej. - Obróciła się z powrotem ku niemu i dodała: - Jeśli chcesz, mogę podrzucić wam kilka pism reklamowych. Niech Michael

sam zobaczy, że trzeba klientom podawać łatwe potrawy, to jeszcze do nas wróć.

-A jakie potrawy podawałabyś we własnej restauracji? Też proste?

-Gdybym dorobiła się restauracji, to jedzenie byłoby nie tylko proste i znajome, ale wręcz przytulne! A wtedy w ciągu tygodnia położyłabym konkurencję na łopatki.

-Miło słyszeć, że nie wyzbyłaś się pierwotnego instynktu terytorialnego!

-Ciesz się, że nie otworzę ci konkurencji pod bokiem! - roześmiała się, kiedy wracali do baru.

-A gdzie otworzysz?

-Nigdzie. A bo co? - spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem, sadowiąc się na wysokim stołku.

-Nic. Tak sobie pytam. - Zdjął z półki dwie szklanki i nalał mocnego piwa wyrobu Bena. - Chciałbym tylko wiedzieć, co Peter sądzi o twoich pomysłach z restauracją.

Max tylko wzruszyła ramionami i wzięła sobie precla z misy.

-Nie przypuszczam, aby o tym wiedział. Nigdy nie rozmawialiśmy na takie tematy. Już dawno temu zdecydowałam, że to zbyt ryzykowny interes. - Odgryzła kawałek precelka i oddała Samowi resztę. - Natomiast stylizacja potraw to dobrze płatne zajęcie i nie muszę się troszczyć o ich smak, tylko o wygląd. Ja gotuję, Peter fotografuje, a potem można to wyrzucić. Nic prostszego pod słońcem.

-Rzeczywiście, proste jak budowa cepa, ale za to nudne jak flaki z olejem. - Sam pociągnął duży łyk nie zważając na to, że wszelka dyskusja na ten temat byłaby bezprzedmiotowa. - Jak wszystko inne w twoim życiu.

- Znowu zaczynasz? - Max odstawiła szklanekę i usiadła.

Sam nie chciał skierować rozmowy na poważne tory, ale gdy zobaczył, jak Max zachowuje się w jego kuchni, nie mógł się powstrzymać. Kiedy z przymkniętymi oczami delektowała się smakiem i aromatem potrawy - była w swoim żywiole. Zawsze lubiła gotować, a marzenie o założeniu własnej restauracji było w jej umyśle równie żywe jak kiedyś, tylko się do tego nie przyznawała.

W efekcie stopniowo przestawała być sobą. Rezygnowała z własnych cech osobowości, aby stać się kimś zupełnie innym. Kimś takim, kto zawsze porusza się po linii najmniejszego oporu, wolny od wzlotów i upadków. Sam zastanawiał się, czy Peter zdaje sobie sprawę, że Max wcale go nie kocha. No i czy on ją kocha, a jeśli nie, to czy wie, co traci, a także, czego nigdy nie miał?

-Nic nie zaczynam, tylko to i owo zaobserwowałem -przesunął do niej po blacie szklanekę piwa. Wyjął spod bufetu dwie podstawki i podłożył jedną pod jej szklanekę. -A propos, w piątek po południu odbędzie się u nas mecz baseballowy. Nie żadne oficjalne rozgrywki, tylko spotkanie towarzyskie, same miejscowe drużyny. Przydałby się dobry miotacz. Może zagrałabyś? - zaproponował, stawiając obok swoją szklanekę.

-Chciałabym, ale... - bąkała ze spuszczonej powiekami.

-Ale nie możesz, prawda? - Zrobił przerwę dla efektu i dodał: - Też tak myślałem. - Odsunął swoją szklanekę i oparł się łokciami na ladzie barowej, śledząc każdy ruch Max, która popijała piwo. - Ciekawy jestem, czy Peter wie, jak świetnie rzucałaś piłkę?

-Nigdy tym nie rozmawialiśmy.

-A czy w ogóle wiedział, że grywałaś w baseball? Że zdobywałaś

nagrody na wiejskich jarmarkach? Albo że próbowałaś ratować życie brata? Czy w ogóle miał o tym zielone pojęcie?

- Nie. Zadowolony? - Odstawiła swoje piwo i odsunęła stół od bufetu. - Chyba już pójdę...

Jednak Sam przykrył jej dłoń swoją, nie po to, aby ją zatrzymać, ale żeby skłonić do obdarzenia go przynajmniej jednym spojrzeniem.

-Kiedyś mi powiedziałaś, że dopóki byłaś z Peterem, Schomberg mogło dla ciebie nie istnieć, ani baseball, ani restauracja, ani nawet twój brat. No więc wytłumacz mi, jak to możliwe. Jak możesz pracować z facetem, sypiać z nim, nawet chcieć za niego wyjść, a przy tym nigdy nie zamienić z nim ani słowa o twojej przeszłości, zainteresowaniach i bliskich tobie osobach. Wytłumacz mi to, bo jak Boga kocham, nic z tego nie rozumiem!

-Bo ja tak chciałam, jasne? - Wyszarpnęła swoją rękę i całkiem odsunęła stół. - Wystarczająco długo zastanawiałam się, jak nadać jakiś sens temu, co tu się działo. Próbowałam dojść, dlaczego działo się źle i dlaczego mój brat dał z siebie zrobić durnia. - Podeszła do okna i pozostała tam, stojąc odwrócona do Sama tyłem. - Jeszcze długo po moim wyjeździe nie mogłam przestać o tym myśleć, o mało co nie dostałam kota, dopóki nie poznałam Petera. Jego nie obchodziło, gdzie mieszkałam przedtem ani co robiłam, tylko co chcę robić dalej. Od razu mi ulżyło, mogłam zacząć myśleć o przyszłości, a nie zadrećcać się przeszłością. Na szczęście mogłam odciąć się od tego wszystkiego i żyć tak, jakbym urodziła się dopiero po przyjeździe do Nowego Jorku.

-Ale to też nic ci nie pomogło, prawda?

-Owszem, pomagało, dopóki nie przyjechałam tutaj. Dlatego widzę,

że nie mam po co zwlekać z wyjazdem. - Odwróciła się i podeszła do stolika, na którym zostawiła torebkę. - Oczywiście nie przypuszczam, abyś to zrozumiał.

Sam obszedł bar dookoła, aby zagrozić jej drogę do drzwi. Bał się bowiem, że jeżeli teraz pozwoli jej odejść, utraci ją na zawsze.

- Dlaczego tak myślisz? - próbował grać na zwłokę.

- No, bo przecież ty jesteś teraz u siebie. Wróciłeś w glorii bohatera, chociaż do dziś trudno mi pojąć, po co właściwie wróciłeś.

- Wcale mnie to nie dziwi. Mnie samego własna decyzja zaskoczyła jak jasna cholera, więc co dopiero ciebie? Mogę to sobie wyobrazić.

- Naprawdę możesz? - W jej oczach zobaczył to samo poczucie opuszczenia i zdrady, jakie widział tej pierwszej nocy. - No więc powiedz mi, Samie, co cię skłoniło do powrotu. Jaka syrena zaśpiewała tak kusząco, że nie mogłeś się temu oprzeć?

- Nie było żadnej syreny - oświadczył stanowczo. Podeszedł do szafy grającej, bo w tym momencie był dziwnie pewien, że Max mu nie ucieknie. - Tylko pusty dom, który musiałem doprowadzić do porządku po śmierci ojca.

Zauważył, że jej napięte ramiona od razu zwiotczały.

- Och, Samie, tak mi przykro...

- Nic nie szkodzi. To się stało już rok temu, nie mogłaś przecież wiedzieć.

- No a dziś, na cmentarzu?

- Pomachałem im, kiedy przechodziłem obok - uśmiechnął się. - Rodzice zawsze cię lubili.

- To twoja mama też już nie żyje?

- Od siedmiu lat. Ojciec po jej śmierci nigdy nie doszedł do siebie.

Zapisał kompletnie dom, zamknął szafę grającą w piwnicy i tyle. Próbowałem go przekonać, aby przeniósł się ze mną do Nowego Jorku, ale nie chciał nawet o tym słyszeć. - Otworzył szklane wieko i utrzymywał w pozycji pionowej, dopóki nie zaskoczyło we właściwej pozycji. - Znałaś mego tatusia, prawda?

-Aż za dobrze - przytaknęła.

-Kiedy zmarł, wróciłem tu, początkowo tylko po to, aby sprzedać dom. Jednak wielkie sprzątanie i wyprzedawanie tego, co się dało, potrwało dłużej, niż myślałem. -Wziął ze stołu jedną z płyt i wyjął ją z koperty. - Miałem kupca na szafę grającą, ale kiedy przyszedł po nią, coś takiego we mnie wstąpiło, że nie mogłem przyjąć tych pieniędzy. Zachowałem więc ją, a za to próbowałem za wszelką cenę sprzedać dom. Obniżałem cenę dotąd, aż w końcu go sprzedałem, a wtedy teoretycznie nic mnie tu nie powinno trzymać. Mimo to wciąż tu krążyłem, spóźniałem się na samoloty, przesiadywałem w knajpie. Narzeczona i koledzy z pracy ciągle wydzwaniali, pytali, kiedy wracam. Już chciałem zarezerwować lot, kiedy w którymś momencie uświadomiłem sobie, że przez tych kilka tygodni w Schomberg byłem szczęśliwszy niż przez wszystkie lata spędzone w Nowym Jorku. No i nie mógłbym znieść, gdyby moją gospodę przerobiono na co innego, na przykład na magazyn, tak jak kiedyś.

Max stała teraz tuż przy nim i patrzyła mu na ręce, gdy wsunął płytę do otworu w urządzeniu.

-Ciekawa jestem, jak poinformowałaś o tym swoją narzeczoną - zainteresowała się.

-Delikatnie - odpowiedział z uśmiechem. - Powiedzmy, że nawet bardzo oględnie. Wystarczyło jednak, że Caroline zobaczyła miasteczko i gospodę, a od razu wiedziała, że to nie dla niej.

Pamiętał, jakby to było dziś, kiedy przywiózł ją do centrum Schomberg. Caroline Skinner, wzięta prawniczka z Nowego Jorku, chyba po raz pierwszy w życiu najpierw zaniemówiła, a potem wyszła z siebie. Nawet specjalnie się nie zdziwił, kiedy po spacerze na Center Street od razu kazała się zawieźć na pierwszy samolot odlatujący w przeciwną stronę. Nie próbował jej zatrzymać ani przekonywać, wyczuwając instynktownie, że tak będzie najlepiej.

- Myślała przecież, że wychodzi za maklera giełdowego, a nie za knajpiarza - próbował ją usprawiedliwić. - Była renomowaną prawniczką, członkinią rady adwokackiej, więc nie wyobrażała sobie, że mogłaby resztę życia spędzić nalewając piwo na jakimś zadupiu w Wirginii.

- Nawet jeśli cię kochała? - zapytała prowokująco, ale Sam wiedział dobrze, do czego zmierza.

- Miłość to jeszcze nie wszystko - przyznał. - Potrzeba jeszcze wspólnych zainteresowań i celu w życiu.

Jednak to wyznanie wcale nie dało Max satysfakcji, Raczej ją zasmutowało, chociaż nie wiedziała, dlaczego. Sam zamknął wieko szafy grającej.

- I tak Caroline wróciła do domu, a ja tu zostałem -zakończył swoją opowieść. - Reszta jest historią, jak to mówią.

- I jesteś szczęśliwy? - Chciała to usłyszeć, śledząc ruch obrotowy talerza.

- Tak, jestem.

- A nie prześladowuje cię wspomnienie Briana? Albo Gwen?

- Przez cały czas.

- Naprawdę? - zapytała dla formy, ale wiedział, że mu nie wierzy.

- A co, myślisz, że tylko ty jedna go opłakujesz?

Brian był moim najlepszym przyjacielem, ale odkąd go znałem, nie widziałem go nigdy tak szczęśliwym, jak wtedy, kiedy był z Gwen. Chyba ta miłość była czymś najlepszym, co mu się w życiu przydarzyło. Po jego śmierci znienawidziłem to miasto równie mocno, jak ty. Kiedy zaklinaliśmy się, że wyjedziemy stąd i nigdy nie wrócimy, szczerze chciałem tak właśnie postąpić. Liczyłem, że uda mi się zapomnieć o tamtych przeżyciach i byłem pewien, że nie dam się nikomu tak skrzywdzić, jak Gwen skrzywdziła Briana.

Max spuściła oczy w stronę przycisków do wybierania melodii.

- To dlatego nigdy do mnie nie napisałeś?

Sam zacisnął powieki i wciągnął w płuca dużo powietrza.

- Żebyś wiedziała, jak mi cholernie przykro z tego powodu!

- A niby dlaczego? - Max ze zdziwieniem podniosła głowę. - W analogicznej sytuacji ja pewnie też bym do ciebie nie pisała.

Miał co do tego wątpliwości, ale nie chciał słuchać wymówek.

- Ciekawa jestem - zmieniła temat Max - na czym polegał twój plan, żeby nie dać się skrzywdzić.

- Zwyczajnie - wzruszył ramionami. - Trzymałem serce na wodzy i lawirowałem.

- Dopóki nie poznałeś Caroline?

W zakłopotaniu potarł szczękę.

- Obawiam się, że nawet wtedy. Mówiąc szczerze, trudno mi było wykrzesać z siebie uczucie do kogokolwiek lub czegokolwiek. Przy najmniej dopóki tu nie wróciłem.

Wytrzymała jego spojrzenie, nawet nie mrugnawszy okiem.

- Czyli że niczego nie żałujesz?

- Mało czego - przyznał. - Owszem, brakuje mi klubów jazzowych i prawdziwych obwarzanków. No, może jeszcze mojego nowego, dwunastocylindrowego aston martina. Uwielbiałem ten wóz, ale nie mogłem go sobie wyobrazić z łańcuchami na kołach podczas ostrej zimy.

Uśmiech powoli rozjaśnił jej twarz.

- Rzeczywiście, to psuje nastrój.

- A jak sprawy się mają u ciebie? Nie żałujesz życia w Wielkim Jabłku?

- Nie - odpowiedziała zbyt skwapliwie, toteż zaraz się poprawiła. - No, może trochę. Od czasu do czasu.

- Nic takiego, czym chciałabyś się podzielić?

- W żadnym wypadku. - Sięgnęła po torebkę. - Muszę już iść.

- Twój wybór. - Wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę i wsunął ją w otwór do wrzucania monet. Śledził dokładnie, czy wpadła, gdzie trzeba. - Przypuszczałem, że zechcesz stąd wyjechać.

Torebka wylądowała z powrotem na stole.

- No, mam jeszcze trochę czasu - zmieniła zdanie, przypatrując się z zainteresowaniem, jak zapaliło się światełko nad przyciskami do wybierania melodii. Sam nacisnął klawisz A1.

Nie przypuszczał, że ustawianie płyty w odpowiednim położeniu zajmie aż tyle czasu. Nigdy też nie wstrzymywał oddechu, kiedy płyta zgrzytała i trzeszczała, zanim rozległy się pierwsze tony muzyki.

- „Blue Moon” - zapowiedział, kiedy Max podeszła bliżej. - To twoja ulubiona piosenka, prawda?

Otworzyła szeroko oczy.

- Skąd o tym wiedziałeś?

- Ponieważ tylko wtedy, kiedy ją grali, potrafiłaś siedzieć zupełnie cicho. - Zrobił unik, dzięki czemu szturchaniec trafił w próżnię. - Zawsze przysuwałaś się wtedy bliżej do gramofonu i udawałaś, że jesteś zajęta czym innym. Ale ja wiedziałem, że wsłuchujesz się uważnie w każde słowo, w każdą nutę. Nie wiedziałem tylko, dlaczego.

Przeniosła wzrok na szafę grającą.

- Ponieważ chciałam, żeby to o mnie była ta piosenka - powiedziała cicho. - Chciałam być tą, co znalazła miłość w świetle księżyca. - Z wymuszonym uśmiechem odwróciła się do niego. - I tak strasznie pragnęłam, żeby ktoś poprosił mnie do tańca!

Sam ujął ją za rękę i przyciągnął blisko do siebie.

- No więc zatańcz ze mną! Teraz, ale porządnie, za wszystkie czasy!

RS

8

Rzuciła mu się w ramiona, a on ją mocno przytulił. Trzymając ją w objęciach czuł miękkość piersi i kuszącą wypukłość brzucha, który ściśle przylegał do jego ciała wypełniając przestrzeń między nimi. To sprawiło, że zapragnął jej jeszcze bardziej, pragnął jej całej.

Położyła głowę na jego ramieniu i poruszając się w tańcu skierowali się wzdłuż drewnianego przepierzenia do tej części domu, która miała pewnego dnia stać się jadalnią. Było tu nieco ciemniej, bo okna były małe i zakryte okiennicami. Smugi światła słonecznego kładły się na podłodze, a oni wirowali pojawiając się i znikając w cieniu rzucanym przez okiennice. Tutaj łatwiej było zapomnieć o Brianie, o moście, o tych właśnie rzeczach, które powinny ich trzymać z dala od siebie. Ale oni poruszali się, jakby tworzyli jedność, zgodnie z muzyką, która teraz wydawała się nierealna bo dochodziła z oddali i rodziła się gdzieś w sercu, jak tęsknota za czymś co się znało i czego znów się pragnie.

Sam zatrzymał się na chwilę zanim przebrzmiały ostatnie dźwięki utworu. Max uniosła ku niemu głowę z pytaniem w oczach, jakby do końca nie rozumiała co się z nimi dzieje. Wyszeptał jej imię, przyciągając do siebie jeszcze bliżej, a blask bijący z jej oczu był wystarczającą odpowiedzią na wszystkie nie zadane pytania. Wtedy pochylił się nad

nią, dotykając jej warg swoimi, początkowo leciutko, potem mocniej, głębiej; tak, jakby miał wszelkie prawa, by ją trzymać, całować i w zamian być przez nią całowanym.

Cofnęła się, by zaczerpnąć oddechu i uniosła rękę, obwodząc palcami kształt jego twarzy. Głaskała policzki, potem szczękę, aż jej ręka dotarła do ust; dotknięcia były tak delikatne, a jej skupienie na tym, co robiła, tak całkowite, że wydawało się, iż „odkrywała go” po raz pierwszy. I że znalazła w nim właśnie to, czego od dawna szukała.

Potarła kciukiem jego wargi. Ten prosty gest przesycony był szczególną intymnością, bo usta miała rozchylone, tak, jakby ponownie przeżywała jego pocałunek. Muzyka umilkła i zewsząd otuliła ich cisza, przerywana tylko cichym jękiem któregoś z nich, kiedy ponownie nad nią się pochylił.

Ustami przykrył jej wargi; całował ją z zaciekłością, która zaskoczyła i poruszyła ich oboje. Otoczyła ramionami jego szyję, mocno trzymając, a on uniosł jej biodra; czuła go całą sobą, czuła, jaki był twardy, gotowy. Ręce Sama osunęły się w dół. Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, zdając sobie równocześnie sprawę, jakie to z jego strony niemądre - pragnąć jej w taki sposób, pragnąć jej w ogóle. Ciągle jeszcze czekała przecież na Petera. Gdyby zadzwonił teraz telefon, z pewnością natychmiast uciekłaby od pocałunków z nim... Ale owładnięty uczuciem, jej zapachem i smakiem ust, nie mógł zdobyć się na krok wstecz, nie mógł przestać jej pragnąć.

Max zdawała sobie sprawę, że jest w tym coś złego, coś co nie miało prawa się wydarzyć. Wiedziała, że powinna teraz odejść, pójść do domu, zadzwonić do mężczyzny, którego pierścionek nosiła na palcu. Jak jednak mogłaby odejść, kiedy ledwie trzymała się na nogach, a całe

jej ciało słabło w ogniu pragnień Sama.

Trzymał ją jedną ręką, podczas gdy druga błędziła w poszukiwaniu piersi, ich wrażliwych koniuszków. Jęknęła pod tym pierwszym władcym dotknięciem, a potem przysunęła się do niego, pragnąc jeszcze więcej, zadowolona, kiedy zsunął jedno ramiączko jej sukienki.

Całował jej szyję, ramiona, ciemny pieprzyk u podstawy szyi, gdzie mocno i szybko pulsowała krew. Pozwoliła, by odchylił jej głowę do tyłu, rozkoszując się ciepłem jego ust; dreszcz przebiegł jej po skórze, kiedy w jego dotknięciach coś się zmieniło. Były teraz gwałtowne, niemal drapieżne, kiedy ściągał drugie ramiączko i obnażył ją do pasa.

Staniczek miała koronkowy, przejrzysty - odsłaniał wyraźnie talizman na piersi.

- Dosyć tego - powiedział cicho, chrapliwie. Zadrapał ją, kiedy zdierał z niej talizman i rzucił go na podłogę. I zanim Max zdołała cokolwiek powiedzieć, wpił się ustami w jej piersi, a wtedy nie pozostało jej już nic - tylko czuć go całą sobą.

To narastało całymi dniami - ta fala, ta nawałnica. I chociaż nigdy nie sądziła, że mogłaby być agresywna, nigdy nie doznała uczucia władzy nad kimś, teraz chwyciła jego silne ręce i, wygięta w tył, żądała raczej niż ofiarowywała mu siebie. Uśmiechnęła się, kiedy z jego ust wydobył się słodki, cichy jęk - wiedziała, że jej pragnie i że zawsze o tej chwili marzyła.

Pytał ją kiedyś - dawniej - co najgorszego mogłoby się wydarzyć; kiedy zaczął całować jej drugą pierś, Max zorientowała się, że to było właśnie to. Nie pocałunki, Nawet nie dotknięcia. Ale to, że mogłaby zakochać się na zabój w Samie O'Neal. Miłością, która nie miała przed

sobą przyszłości, ani nie mogła być stała, a wszystko to dlatego, że mężczyzna, na którego czekała, zbyt późno ją odnalazł.

Ich wzajemne pożądanie rosło i płonęło, kiedy zaczął podnosić jej spódnice. Dopiero odgłosy kroków w barze powstrzymały ich. Jak wyrwana ze snu, z zamglonym spojrzeniem wracała do rzeczywistości.

- Sam? - zawołał męski głos z drugiej strony przepierzenia.

- Nocna zmiana - wymruczał Sam, odwracając się tak, by ustawić się plecami do przepierzenia, zasłaniając ją własnym ciałem, podczas gdy pośpiesznie narzucała ubranie.

- Sam...? - ponownie odezwał się męski głos.

Rzuciła szybkie nerwowe spojrzenie za zasłonę, ale

Sam potrząsnął tylko głową, z oczyma cały czas wpatrzonymi w jej wargi, szyję, piersi; sprawiał, że nogi uginały się pod nią nawet teraz, kiedy się już ubrała.

- Ben...? - głos mężczyzny był uparty. - Jest tam ktoś?

Max zacisnęła mocno powieki, czuła gorąco na twarzy, kiedy kroki oddalały się, a głos stawał się cichszy. Usłyszała szcęk garnków i wiedziała już, że facet poszedł do kuchni, dając jej w ten sposób drogę odwrotu.

Ale zamiast pozwolić jej przejść, Sam przytrzymał jej rękę.

-Max...

-Muszę iść - powiedziała, próbując przecisnąć się obok niego. Ale zatrzymał ją.

-Nie odważysz się powiedzieć, że nic się nie stało - wyszeptał. - I nie próbuj mi wmawiać, że jest w tym coś złego.

-Nic złego? - niemal się roześmiała. - Sam, ja jestem zaręczona.

- Z mężczyzną, którego nie kochasz. Wyswobodziła rękę szarpnięciem.

- To nic nie zmienia.

- Czyżby? - Postąpił krok w jej kierunku, wzrok miał mroczny i przenikliwy. - Spójrz na mnie, Max i spraw, żebym uwierzył, że drżysz, kiedy on cię kocha i uśmiechasz się, kiedy widzisz, jak on drży pod twoim dotknięciem. - Stał na wprost niej. - Przekonaj mnie o tym, a wtedy może uwierzę, że wcale nie czekasz na miłość w świetle księżyca.

- Wyciągnął do niej rękę. Objął ją w talii i trzymając mocno ruszył w głąb pomieszczenia. Poczowała, że zbyt łatwo, zbyt chętnie poszłaby za nim.

- A co, jeżeli tak? - spytała aby przerwać ten zakłęty krąg, odsunęła się od niego chcąc odzyskać jasność widzenia. - Przypuśćmy, że jakaś niewielka część mnie pragnie wierzyć miłosnym piosenkom i poezji? I że gdzieś tam, głęboko, chciałabym, by mnie to spotkało? Co wtedy, Sam?

- Wtedy ja cię odnajdę, - powiedział tak trzeźwym tonem, że przez moment zaparło jej dech, nie mogła się poruszyć, tak, jakby marzenie przybrało nagle realne kształty.

- Uczucie to jednak ulotniło się gdy za przepierzeniem rozległy się kroki a jakiś damski głos zaczął wołać Sama. Nagle powróciły inne dźwięki, równocześnie słychać było brzęk szkła, stukanie sreber i nastawiony głośno telewizor.

Bar „Tap Room” w Schombergu zaczynał swoje oficjalne codzienne życie. A Max nie była na tyle naiwna, by wierzyć, iż Sam mógłby kiedykolwiek mieć dla niej czas po jej powrocie do Nowego Jorku. Ich wspólny czas już minął, a czas jej i Petera pędził naprzód.

-Naprawdę potrzeba ci trochę nowego stylu, O'Neal -powiedziała, ale wybuch śmiechu, jaki miał potem nastąpić, jakoś jej nie wyszedł. Wobec tego postanowiła zmierzać wprost do celu. - Dziękuję za piwo. - Pochyliła się, by podnieść talizman i ruszyła w stronę wyjścia. - Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli nie zobaczymy się już więcej.

-Max, zaczekaj! - zawołał za nią Sam, starając się ją zatrzymać, udowodnić jej, że mogliby jednak być razem. Zastanawiał się potem, o czym myślał, kiedy wybiegł za nią do baru i zobaczył, że wszystkie oczy są już na nią zwrócone. Kelnerka, nocny kucharz, nawet Michael, który wpadł tu niewątpliwie po to, żeby się upewnić, czy Ben nie wykreślił z jadłospisu najsmaczniejszych dań. Brwi wszystkich widzów uniosły się, kiedy tuż za Max ukazał się Sam.

-Max? - spytał Michael. - Ta Max, której narzeczony robi zdjęcia do książki kucharskiej?

-To ja - odparła, rumieniąc się, wyprostowana, z rękami wzdłuż boków.

-Jestem Michael - przedstawił się, po czym zerknął na Sama. - Myślałem, że jest wyższa.

- A ja myślałam, że masz więcej włosów - odcięła się. Michael przyglądał jej się przez chwilę, następnie znowu spojrzał na Sama.

-Podoba mi się.

-Mnie też. - Sam podniósł torebkę Max. - Max, proszę.

-Czy ktoś wie, czyje to jest? - spytała kelnerka, podnosząc w górę puszkę prażonych orzechów w miodzie.

-Daj to Samowi - rzekła Max, zerkając na niego przez ramię. - Tylko powiedz mu ode mnie „cześć”.

Już miał zaprotestować, kiedy weszła do baru para w średnim wieku ze zwiniętym w rulonik magazynem „Życie w Górach”. Stanęli przy stoliku recepcyjnym, przenosząc wzrok z Michaela na Max, z Max na

Sama wreszcie na kelnerkę. - Przyszliśmy tu na szklaneczki Bena Weissena - powiedział mężczyzna, podnosząc do góry pismo. - To na 150 stronie?

Kelnerka podbiegła do nich, gotowa usłużyć.

- Oczywiście, proszę bardzo. Stolik dla dwojga?

- Muszę już iść. - Max skierowała się do kuchni i tylnego wyjścia.

- Odprowadzę cię - powiedział Sam, ale w tym momencie frontowe drzwi ponownie się otworzyły i do środka wparowała reszta nocnej zmiany. Pomocnik kelnera, barman, druga kelnerka, wszyscy witający się hałaśliwie i proszący o „coś specjalnie dla nich” - każdy o co innego.

- Miło było cię spotkać - zawołał Michael do Max. - Pogadamy innym razem.

Sam skierował się do kuchni, mając nadzieję dogonić Max, ale frontowe drzwi znowu się otworzyły. Kolejni klienci, stolik dla sześciu osób, tym razem miejscowych i stale bywających w Cy's.

- Zajmę się tym - powiedział Michael i machnął ręką w stronę grupy przy narożnym stole. - Nigdy byście się nie domyślili, kogo przed chwilą spotkałem - powiedział, kiedy się zbliżyli.

Sam tylko potrząsał głową, wracając myślami do swojego baru, swojego świata i otwierających się ponownie frontowych drzwi. - Witamy w Barze „Tap Room” w Schomberg - powiedział i zamarł z ręką na karcie dań.

- Witaj, Sam. - W drzwiach stała kobieta. Młodzieńcza, piegowata, włosy jak dawniej długie, jak zawsze ogniście rude.

Uśmiechnęła się i wskazała frontowe okno.

- Zauważyłam, że ktoś tu wzywa pomocy. - Przerwała, bo rozmo

wy ucichły, a wszystkie głowy zwróciły się ku niej. Zrobiła krok do tyłu. - To pewnie pomyłka.

- Sam zauważył, że za jej plecami Max wymyka się na zewnątrz, biegnąc pospiesznie do samochodu... do swojej przyszłości.

Kobieta pomachała ręką, schodząc ze schodków. -To była pomyłka. Zapomnijcie, że tu weszłam.

-Nie, - powiedział Sam - wejdź. Uśmiechnął się i podał jej rękę. - Jak się masz, Gwen?

-Czy przyniosłaś maliny? - wołała z kuchni Delia, kiedy Max zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

Popatrzyła na kartonowe pudełko z truskawkami, trzymane przez Max. A więc jednak źle wybrała. Ale ten dzień był w ogóle dniem złych wyborów. Dlaczego akurat tutaj miała mieć szczęście?

-Śmieszne, że o to pytasz - odparła, zrzucając z nóg pantofle. Kiedy szła do kuchni, z przyjemnością wdychała unoszące się w powietrzu zapachy. Dom pełen był bogatych aromatów czosnku i cebuli, czekolady i cynamonu, pomarańczy i cytryn. Tak jak zawsze, kiedy u Ewy coś się piekło albo dusiło, było to inne, bardziej skomplikowane, egzotyczne. Delia całymi dniami potrafiła opowiadać o próbach zastosowania nowych przepisów, a Max mogła tylko przypuszczać, że w końcu pod groźbą kary zrobi to dobrze. I miała nadzieję, że truskawki będą pasować do nowego wielkiego projektu.

-Zdecydowałam, że truskawki będą w tym wypadku lepsze - powiedziała, niosąc je przed sobą, jak świętą ofiarę, kiedy wchodziła do kuchni. - Są bardziej uniwersalne, niż maliny.

Delia zerknęła na nią przelotnie, sypiąc sól do rondelka.

-Zapomniałaś, prawda?

-Dzięki za votum zaufania - odparła Max, ale ociągała się z przekroczeniem progu, obejmując wzrokiem zlew pełen naczyń, blat zawalony pootwieranymi torbami, pudełkami i pojemnikami, i piec, na którym w garnuszkach i na patelniach piekły się lub gotowały „przepisy”, których teksty wisiały przyczepione do kuchennego okapu. To było piekło twórcy potraw, ale oczy Delii rozjaśniał blask, poruszała się żwawo i Max musiała przyznać, że sprawia wrażenie, jakby ją to wszystko bawiło.

-To nie ma nic wspólnego z zaufaniem - stwierdziła Delia, biorąc długopis i dopisując jedną linijkę do przepisu. - Po prostu wiem, jaka byłaś zdenerwowana. -Odłożyła długopis i sięgnęła po pieprz. - A ponieważ Peter woli truskawki, twoja omyłka była czymś zupełnie naturalnym.

-Tak, to pewnie dlatego - rzekła Max, schylając głowę i wciskając karton w jedyny wolny skrawek miejsca na kontuarze, w obawie, że Delia w jakiś sposób zorientuje się w kłamstwie.

Ale jak mogła powiedzieć jej prawdę? Jak mogła wyjaśnić, że wcale nie myślała o Peterze? Że mężczyzna, za którego zamierzała wyjść za mąż, zajmował drugie miejsce po Samie i że... pieśń miłości... i głupia obietnica, której nie można cofnąć:

Znajdę cię.

To było dobre zdanie, równie dobre, jak *Nigdy cię nie opuszczę* czy *Zawsze będę cię kochał* - te dwa były ulubionymi zdaniami Gwen, przypomniała sobie Max.

Ale Sam nigdy nie był dobry w takich powiedzeniach, a ona nie mogła sobie przypomnieć, by kiedyś przyłapała go na kłamstwie. Niestety - bo przez to jeszcze trudniej jej będzie zapomnieć - i to ją jeszcze

bardziej mieszało.

Pół życia spędziła na przekonywaniu samej siebie, że miłość i namiętność nie są najważniejsze dla udanego związku. Znała ostatnie statystyki rozwodów i wiele przeczytała o zaletach aranżowanych małżeństw. Lata całe zajęło jej zbudowanie solidnych podstaw do ignorowania poetów, autorów piosenek i kart z życzeniami. Była tak absolutnie pewna, że nigdy nie stanie się ofiarą fantazji - jak to się przydarzyło Brianowi. A jednak, zaledwie w ciągu kilku dni Sam zniweczył to, co uważała za prawdę i wywrócił wszystko na opak, pozostawiając jej zastanawianie się, wyjaśnianie, poszukiwanie drogi wyjścia.

Skupiła się zatem na garnuszkach i salaterkach, zapachach i bałaganie - rzeczach, które miały sens, które mogła zrozumieć i prawidłowo poustawić.

-Czy moja matka wie, co zrobiłaś z jej kuchnią? - spytała. - Czy to ona jest odpowiedzialna za to wszystko?

-Powiedziałabym, że w połowie. Wyglądało na to, że każdy jej przepis wymaga trzech oddzielnych garnków, dwóch patelni i naczynia do przypraw. - Delia zerknęła na Max. - Pracowałyśmy nad uproszczeniem tego.

-Obyś miała więcej szczęścia, niż ja. - Max pochyliła się, żeby zobaczyć, co Delia przyrządza. - A w ogóle co szykujesz?

-To sos barbecue na kolację, ale wszystko inne - to tylko do fotografii.

-Naleśniki, kiełbaski, jajka, domowe frytki, wszystko jak w klasycznym śniadaniu. I miseczki wszędzie dookoła - muszę powiedzieć, że Ewa jest w tym świetna. Moja mama w kuchni - to tyran, wszystko musi być natychmiast pozmywane i pochowane, a twoja mama po

prostu pozwala im zalegać w stosach dosłownie wszędzie. Max kiwnęła głową i sięgnęła po łyżkę.

-Ją to pociąga. Dawniej miałyśmy takie maratony gotowania: zaczynały się zaraz po śniadaniu. Ona przesiewała i precedzała, ja smażyłam i gotowałam, a pod koniec dnia z trudem mogłabyś dostrzec chociaż jeden wolny milimetr na kontuarze. Ale obiady były na ogół interesujące. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz - A sprząтали zawsze mężczyźni.

-Twój ojciec musiał być postępowy.

-Po prostu lubił dobrze zjeść. - Zagłębiła łyżkę w rondlu i spróbowała. - Trzeba tu dodać odrobinę mocnej musztardy - stwierdziła, po czym wyprostowała się i wrzuciła łyżkę do zlewu. - Przepraszam cię za...

-Nie, w porządku. Wiedziałam, że czegoś tu brak. -Delia pokiwała głową nad rondelkiem na kontuarze, a Max szukała musztardy wśród wielu buteleczek. -Spróbuj tego i powiedz, co myślisz.

Max cofnęła się i ściągnęła fartuszek z kołka przy piecu.

-Myślę, że powinnam zacząć zmywać, bo nie ma tu niestety żadnego mężczyzny.

-O, to się bardzo prędko zmieni! - Delia wyłączyła piec i wyciągnęła przepis z bałaganu na kontuarze. -Projekt ogłoszenia poszedł do Wirginia Beach dziś rano, razem z listem na papierze firmowym Ewy, z podziękowaniem dla Wilhelma za jego wkład i z prośbą o dalszą, jak najszybszą realizację kontraktu. - Rozsmarowała odrobinę musztardy, a następnie podała Max kartkę papieru. - Wysłałam wszystko razem tą samą pocztą, tak, że Peter powinien to już dostać. Tak, że uważaj, żebyś miała naładowaną komórkę, bo lada chwila może zadzwonić.

Max przeczytała i potrząsnęła głową.

-Nie byłabym taka pewna. Ma obowiązek wiedzieć, że trzeba zacząć w chwili, kiedy dostanie list. - Odłożyła przepis na puszkę i wciągnęła fartuszek przez głowę. - Mam na myśli: ile razy Wilhelmowi coś wpadało w ręce ot tak, po prostu?

-Myślałam o tym. Dlatego dołączyłam własną notatkę z informacją dla Petera, że pracuję teraz dorywczo dla Wilhelma i jako gest dobrej woli z powodu wszystkich tych lat, które przepracowałam z nim razem, chcę mu po prostu pokazać, co traci, zachowując się tak idiotycznie. Ciebie - i sesję fotograficzną. Kiedy to przeczyta, pozostanie mu tylko kwestia, jaki pierwszy lot ma złapać.

Max przez chwilę gapiała się na garnki w zlewie, potem przeniosła wzrok na Delię, wreszcie po raz pierwszy udało jej się wyrazić słowami to, co od wielu dni zajmowało jej myśli.

- A co, jeżeli ciągle jeszcze nie ma zamiaru się żenić?
Co, jeśli zależy mu tylko na sesji fotograficznej?

Delia zaśmiała się.

-Kochanie, wierz mi, to nie wchodzi w rachubę. Nie po tym, co dzisiaj słyszałam.

-Rozmawiałaś z nim?

-Nie, ale słyszałam jego pocztę głosową. - Wzruszyła ramionami i wysypała truskawki do durszlaka. - Chciałam mu przypomnieć o rachunkach telefonicznych i za elektryczność, ma je zapłacić dzisiaj a inaczej zapomnialby o tym. Wiesz, jaki on jest z rachunkami. Tak czy siak, najważniejsze, że kiedy usłyszałam jego nagranie, od razu wiedziałam, że facet ma kłopoty. Cały czas przerywał, mylił daty i nawet instrukcje dotyczące faksu.

-Czego to dowodzi?

Delia spojrzała na nią.

- Tego, że jest nieszczęśliwy, a czegoż by? Zawsze powtarzał wielokrotnie tekst, zanim go nagrał i nigdy, ale to nigdy się nie pomylił. Nigdy - przez tyle lat, od kiedy go znam. Mówię ci, ten facet ma kłopoty. Kiedy dostanie przesyłkę, będzie chciał tylko wystarczająco szybko wsiąść do samolotu. - Uśmiechnęła się i przykryła durszlak pokrywką.
- Co oznacza, że na Manhattanie wkrótce zabrzmia dzwony weselne.

Max przyglądała się, jak ulubione owoce Petera turlają się i skaczą pod strumieniem wody.

- Nie jestem pewna.

Delia odwróciła się nagle, kapiąc wodą z durszlaka na podłogę. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- O Boże, Max! Nie strasz mnie.

Max potrząsnęła głową i zakręciła kran.

-Naprawdę chciała byś wrócić do tej pracy?

-Och, oczywiście, że tak.

Coś w jej głosie sprawiło, że Max przyjrzała się jej uważnie. Ale Delia ustawiła durszlak na pojemniku i zajęta była obrywaniem ogonków.

-Słuchaj, wszystko, czego chcę, to żebyście byli z Peterem szczęśliwi.

-Ja też. - Max westchnęła i sięgnęła pod garnki po zatyczkę. - Jak coś, co wydaje się tak proste, może być takie skomplikowane?

-Myślę, że tak z reguły jest. Kiedy przychodzi miłość, nic już nie jest proste.

-Miłość nie ma tu nic do rzeczy - mruknęła Max, kiedy tylnymi drzwiami weszła Ewa z uśmiechem na twarzy i pustym pudłem w rękach.

-Te garnki mogą poczekać - rzekła. - Przede wszystkim musicie wyjść i obejrzeć stół.

Max machinalnie przyjęła pocałunek w policzek, kiedy matka przechodziła obok niej.

- Już nakryłaś?

Ewa odstawiła pudełko i odrzuciła włosy z oczu.

- W ogrodzie, koło peonii. Dostałam ten namiot z siatki u Diany przy szosie - wiecie, ona ma te wszystkie śmieszne rzeczy do imprez - i nie mogłam się doczekać aby zobaczyć, jak to wszystko będzie wyglądać. Wyobraziłam sobie, że poproszę kilka osób, po prostu przypadkowych przechodniów, żeby zjedli z nami kolację...

- Przechyliła głowę na bok i uważnie studiowała twarz Max. - Opaliłaś się trochę. Tak długo byłaś na dworze?

Max wzruszyła ramionami.

-Tylko w czasie sprawunków.

-Ale nie było cię tak długo. - Ewa zamilkła, niewątpliwie czekając na więcej informacji i ozdobiła twarz szybkim, jasnym uśmiechem, zanim cisza stała się kłopotliwa. - No, chodźcie obejrzyć stół, póki co - powiedziała i znikła w korytarzu, dając Max okazję do podziwiania jej dyskrecji.

-Kto wie? - myślała Max, podczas gdy jej matka wchodziła po schodach. Może tym razem mogłyby się rozstać w przyjaźni.

Odwróciła się i ujrzała, że Delia przygląda jej się.

- Zastanawiałam się nad tym samym. Dlaczego dzisiaj tak długo cię nie było?

Max westchnęła, ale w tej samej chwili musiała się uśmiechnąć; ciekawe, że przyjaźń z Delią nie wymaga żadnej powściągliwości.

Wyliczała na palcach:

- No, po kolei: nieomal spowodowałam wypadek na moście; wlałam się na cmentarz i poważnie myślałam o seksie z wysokim, ciemnym mężczyzną w publicznym miejscu.

- Jeżeli nie chcesz mi powiedzieć, dobra - Delia wróciła do obierania truskawek.

Max wlała płyn do mycia naczyń do zlewu, wcale nie zdziwiona, że Delia jej nie wierzy. Ta Max, którą ona знаła, była ostrożnym kierowcą, pracowała dwanaście do czternastu godzin na dobę, nigdy nigdzie się nie włamywała, a już na pewno nie uprawiała seksu w ciągu dnia.

A jednak to ona, Maxine Henley, zawodowa stylistka i kompletnie praktyczna dziewczyna, tańczyła przytulona do policzka Sama O'Neal; Max z trudem rozpoznawała siebie w tej kobiecie, zatraconej w melodii miłosnej i w marzeniach. I na skraju popełnienia największej pomyłki w życiu.

- Jeżeli dalej będziesz tak stać i gapić się w ten zlew - rzekła Delia - zacznę wierzyć, że rzeczywiście jest jakiś wysoki, ciemny nieznajomy.

- Nieznajomy - to byłoby prostsze - powiedziała miękko i była zadowolona, kiedy matka wróciła do kuchni, zanim Delia była w stanie zadać więcej pytań.

Ewa podniosła w górę dwie kryształowe szklanki.

- Prawie zapomniałam, że były w szafce na górze. Będziemy musiały ją przejrzeć, zanim się wyprowadzisz.

Musisz zobaczyć, co chciałabyś sobie wziąć, teraz, kiedy wychodzisz za mąż. - Zatrzymała się w drzwiach i uśmiechnęła do Max. - A przy okazji - miło mi być rekwizytorką.

- Jesteś urodzona do tego - stwierdziła Delia.

Ewa zaśmiała się i otworzyła drzwi, popychając je biodrem.

- Nie chwal dnia przed północą.

- Przyjdziemy za minutkę - zawołała za nią Delia, a następnie zwróciła się do Max. - Jeżeli kiedyś przeniesie się do Nowego Jorku, sama ulokuję ją w tym biznesie.

Max ściągnęła fartuch przez głowę i powiesiła na haczyku.

-Nie szykuj się za bardzo. Ewa nigdy stąd nie wyjedzie. Delia podążyła za nią tylnymi schodami.

-Czy ci to przeszkadza?

-A tobie by nie przeszkadzało, gdyby była twoją matką? - Machnęła ręką, gestem ogarniającym wszystko dookoła. - Rozejrzyj się tylko. Co widzisz?

-Góry, lamy. - Uśmiechnęła się. - Zwariowanego psa.

Max odwróciła się i zdążyła dostrzec Columbo, galopującego po pustym padoku, z rozwianymi uszami i wywieszonym jęzorem, gnającego tak, jakby goniły go wszystkie psy piekła.

- Widzisz, o co mi chodzi? Nawet pies tego nie może wytrzymać. - Potrząsnęła głową, kiedy szły pod ścianą domu w kierunku ogrodu. - Nie ma przyszłości - ani to miasto, ani ta farma. Tylko dużo ciężkiej pracy i dawnych wspomnień.

Kiedy zbliżyły się do namiotu, Ewa cofnęła się o krok.

- No, co o tym myślicie? Tylko uczciwie.

Max potrząsnęła głową, zaskoczona, kiedy znalazła się w niewielkiej niszy, jaką matka stworzyła w ogrodzie. Delia nie przesadzała. O ile Ewa znana była ze znakomitego „nosa” do szczegółów we wszystkim, czego się tknęła, o tyle tym razem, szykując temat do fotosu reklamowego - przeszła po prostu samą siebie.

Dwa krzeselka przybrane udrapowanym białym materiałem otaczały okrągły stolik. Z tyłu na oparciu jednego z nich powiewał czepek, na drugim zaś przytwierdzony był miecz. Kryształowe kielichy napełniono mrożoną herbatą, wszędzie było mnóstwo kwiatów, a jedzenia aż nadto - potwierdzało to, jaką radość Ewa czerpała z oglądania gości przy swoim stole. Od naleśników i herbatników do kiełbasek i jajek - wszystko na tym stole wołało: siadaj, rozluźnij się i ciesz się tym śniadaniem! To było dokładnie takie wrażenie, jakie należało stworzyć.

- To powinno wyjść pięknie - stwierdziła Max, która otrząsnęła się już z myśli o Samie i o farmie i z łatwością zgrabnie wskoczyła w rolę graną w pracy.

Mogła się mylić w każdej innej kwestii życiowej, ale tutaj nie ist-

niały dla niej problemy czy białe plamy. Max była świetna w swoim zawodzie, błyskawicznie oceniała, co trzeba zrobić i dokładnie - jak osiągnąć zamierzony efekt.

Przeszła wzdłuż stołu, robiąc w myślach listę rzeczy, które są potrzebne, by wszystko na tym stole wyglądało tak, aby oglądający zaczęli przetykać ślinę - żeby było to doskonale zdjęcie.

- Mając do dyspozycji pół stronicowe ogłoszenie - rzekła do Ewy - mogłybyśmy zamieścić nie tylko ogólne zdjęcie stołu, ale także zbliżenia przynajmniej dwóch poszczególnych dań. Pytanie tylko, których.

Sięgnęła do talerza ze stertą naleśników i przekreśliła go o pół obrotu.

-To zawsze mi się kojarzy ze śniadaniem. Do zdjęcia będziemy potrzebować około czterdziestu sztuk, ale powinny być bardziej puszyste.

- Zerknęła przez ramię na Delię. - Trzeba by dodać, trochę proszku do pieczenia do składników, albo pianę z kilku białek.

-To zrujnuje ich smak! - zaprotestowała Ewa.

-Ale nie wygląd - odparła Max, przesuając już słój z syropem klonowym bardziej w kierunku brzegu stołu. - Oczywiście, tego nie może tu być - ani masła. Będę potrzebowała trochę ciemnego syropu kukurydzianego; jestem pewna, że mamy go w kuchni w plastikowej butelce. Zamrozimy syrop i trochę margaryny i podgrzejemy palnikiem acetylenowym tuż przed ujęciem. W ten sposób uzyskamy efekt powoli rozpływającego się masła, a syrop będzie się rozlewał i przelewał przez brzeg.

-O czym ty mówisz? - wtrąciła się Ewa. - Syrop kukurydziany i palnik acetylenowy? Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

Max rzuciła na nią okiem.

-Mamo, to jest reklama, a nie rzeczywistość. Wszystko musi wyglądać lepiej, niż prawdziwe.

-Ależ - czy nie można po prostu ustawić świeżutkich potraw i szybko sfotografować?

Max potrząsnęła głową i zajęła się herbatnikami.

- To nie może tak wyglądać. Światło musi być ustawione a próbne zdjęcia wykonane polaroidem, zanim założymy taśmę do kamery. Wierz mi, wiem co robię. - Zwróciła się znowu do Delii. - Herbatniki są w porządku, ale musimy zrobić tak, żeby wyglądały, jakby były bardzo gorące. Przyniosę strzykawkę i wstrzykniemy im trochę wody.

- Nie będziesz nic wstrzykiwać moim herbatnikom!

Max wzruszyła ramionami.

- Albo tak, albo trzeba wetknąć do środka kawałki prażonego metalu. To też da dobry efekt parowania...

Ewa chwyciła koszyczek z herbatnikami, tuląc je do piersi, jak tarczę.

- Może i wiesz, co robisz, ale pozostaje pytanie, jak to robisz. Jak możesz brać znakomite jedzenie i zatruchiwać je, zmieniać je w nic innego jak... - przerwała nagle, niewątpliwie czekając na głosy uznania - w rekwizyty.

Max odsunęła się od stołu.

- Co cię tak dziwi? Tłumaczę ci to od lat. Nikt nie je tego, co ja gotuję, nie dlatego, że nie pozwalam, ale dla tego, że to się nie da zjeść.

Ewa wpatrywała się w córkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

-Chyba nigdy w to nie wierzyłam.

-Mamo, to nie jest takie złe - zaczęła Max, ale okazję do wyjaśnienia matce, udowodnienia czegoś przerwało zjawienie się Bena przy furtce.

Kiwnął głową Max i Delii i zaraz zwrócił się do Ewy.

-Chcesz zobaczyć samochód dla małego ZOO?

-Tak - odparła zrazu po cichu, a potem głośniej. -Tak, chcę. -I po-
biegła, ciągle tuląc do piersi koszyk. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie
cudem uniknął wypadku.

Delia wzięła jeden z kieliszków z mrożoną herbatą, drugi podała
Max.

-Nie знаła numeru z palnikiem, co?

-Na pewno nie. - Max westchnęła i upiła łyk. - Próbowałam jej wy-
jaśnić to, co robię, ale wiesz, że mam trudności w dogadaniu się z Ewą.

-Zorientowałam się. - Delia wpatrywała się w lód, rozpuszczający
się w jej kieliszku. - Powiedziałabym, że masz trudności w dogadaniu
się z każdym.

-Co przez to rozumiesz?

Delia podniosła wzrok znad kieliszka.

- Tylko to, że jesteśmy przyjaciółkami od lat, a ja dopiero tutaj do-
wiedziałam się, że miałeś brata.

Max obruszyła się.

-Nie mam zwyczaju często o nim mówić.

-Ewa twierdzi, że w ogóle o nim nie mówisz. Nawet z nią.

Max z niechęcią potrząsnęła głową.

-Niech zgadnę: oprowadziła cię jak przewodnik po jego pokoju, a
uzupełniła to dokładnymi opisami wszystkich jego trofeów i propor-
czyków.

-Pokazała mi jego zdjęcie - rzekła Delia miękko -i powiedziała, że
był wspaniałym młodym człowiekiem.

- Był - powtórzyła Max, a jej głos wydawał się nawet jej samej pła-
ski i pozbawiony wyrazu. - Jasny, wesoly...

- To dlaczego udajesz, że go nigdy nie było?

Max objęła wzrokiem Delię. W jej głosie nie było wyrzutu, nie było
go nawet w jej oczach. Po prostu czekała, dając Max czas do namysłu i
możliwość wyjaśnienia. I wtedy Max zrozumiała, jak bardzo Delia mu-

si być wstrząśnięta.

Urodzona w bardzo zżytej ze sobą włoskiej rodzinie, gdzie wszystkie cztery córki do dzisiaj spotykają się na niedzielnym obiedzie. Choć Delia toczyła boje z siostrami, wszystkie trzy były tak bardzo częścią jej życia, że Max miała wrażenie, iż zna je doskonale, chociaż spotkała się z nimi zaledwie raz czy dwa.

Jak Max mogła spodziewać się od niej zrozumienia sprawy Briana?

- Jak mogłabym kiedykolwiek udawać, że go nigdy nie było - powiedziała w końcu - kiedy codziennie za nim tęsknię?

- Ewa mówiła, że zginął w wypadku samochodowym, kiedy był bardzo młody.

- Miał osiemnaście lat. - Max odstawiła kieliszek i odwróciła się plecami do stołu. - Uciekał wtedy. Czy o tym też ci mówiła?

- Wspomniała coś o dziewczynie. Gwen jakaś tam.

- Harper. Ruda, piegowata, z uśmiechem, w którym można się było zakochać. - Max zdała sobie sprawę, że jej własny uśmiech jest gorzki i wymuszony i skierowała się z powrotem ku domowi, zbyt zdenerwowana, by dłużej tam wytrzymać. - Gwen była jedną z tych „wakacyjnych” dziewczyn - mówiła dalej do Delii, która wchodziła razem z nią na schody. - To ten rodzaj, który pojawia się w czerwcu, a znika we wrześniu i jest niedostępny dla miejscowych chłopców. Ale to nie powstrzymało mojego brata przed zakochaniem się w niej.

Max szła coraz wolniej w miarę zbliżania się do schodów. Jej wzrok powędrował wyżej, na balkon nad słonecznym pokojem, a pod jej sypialnią.

- Naturalnie ojciec Gwen nie pozwalał Brianowi zbliżyć się do niej.

Studiowała na Harwardzie, miała zostać prawnikiem, tak właśnie, jak jej tatuś; nie życzył sobie wiejskiego chłopaka na jej drodze - to by psuło jego plany. Ale Gwen nie przejmowała się slumsami, przynajmniej do czasu.

-Max, wybacz. Nie powinnam była wsadzać nosa...

-Wszystko to przypominało scenę z filmu - przerwała jej Max sama się sobie dziwiąc; odkrywała, że chce ciągnąć dalej, opowiedzieć Delii wszystko, dokładnie tak, jak było. Nie miała pojęcia, dlaczego. Wiedziała jedynie, że jeszcze teraz nie była gotowa wejść do domu, jeszcze nie.

Oparła się o furtkę.

- To było lato romantycznych spotkań i kradzionych pocałunków. Ale każda kradziona chwila wymagała pośrednika, kogoś, kto pomógłby Gwen wyrwać się z domu - i wtedy właśnie na scenie znaleźliśmy się my - Sam i ja.

Delia odwróciła do niej głowę. .

- Kowboj?

Max przytaknęła i otworzyła furtkę.

- Ja nosiłam ich liściki i załatwiałam telefony, Sam prowadził wóz. Uważaliśmy się za takich sprytnych!

Byliśmy przekonani, że każdego wyprowadzimy w pole, a tymczasem nie udało się nam to z nikim. Całe miasteczko wiedziało i gadało o tym romansie. O, to potrafią najlepiej tu w Schomberg! Zajmować się sprawami innych ludzi. - Zaśmiała się krótko, ochryple, kiedy wchodziły na podjazd. - Wierz mi, Hensleyowie mieli wtedy dobry temat do rozmów. - przerwała na chwilę.

- Niektórzy mówili, że to ojciec Gwen nie miał racji, inni twierdzili, że wszystkim kłopotom winien był Brian. A tak naprawdę sprawy zaczęły się komplikować wtedy, kiedy ktoś zasugerował, że Gwen może być w ciąży. - Spojrzała na Delię. - Nie słyszałaś o tym, prawda?

Delia potrząsnęła przecząco głową.

- A była?

Max wzruszyła ramionami i szła dalej.

- Kto wie? Ale to w gruncie rzeczy nie miało znaczenia. Planowali przecież wspólną ucieczkę i ślub. Miała czekać na niego na stacji benzynowej o północy. Byliśmy tam wszyscy czworo. Z uderzeniem dwunastej na stacji pojawił się jej ojciec. Gwen musiała mu powiedzieć, gdzie będziemy, bo uśmiechał się szeroko, kiedy oznajmiał Brianowi, że Gwen nie przyjdzie. Że wyjechała rano przygotować się na uczelnię. Śmiał się i nazwał Briana głupcem, stwierdził, że musiał być szalony, jeżeli uwierzył, że ona rzuci dla niego wszystko, co ma, żeby żyć z nim na jakimś wirgińskim zadupiu. A potem oddał mu ślubny prezent, który Brian wręczył Gwen poprzedniego dnia. Powiedział, że była wzruszona, ale nie ma już miejsca na półce z pamiątkami po letnich przygodach. Wtedy Brian rzucił się na niego.

Zatrzymała się i powiodła wzrokiem po polach, nie patrzyła na lamy i kozy, ani nawet na strusie. Widziała tylko Briana, wściekłego i niedowierzającego - i ciągle zakochanego w Gwen.

- Dobrze, że Sam tam był - powiedziała miękko - bo myślę, że Brian mógłby zabić tego faceta. Sam odciągał go od niego i wrzeszczał, żeby zapomniał o tym, zapomniał o niej. Że nie jest tego warta. - Przerwała, próbując zwilżyć wyschłe wargi, ale bezskutecznie. - I wtedy Brian odwrócił się do Sama, rzucił się na niego jak szalenciec.

A ja cały czas stałam tam, zastygła z przerażenia. Ciągle jeszcze nie wierzyłam, że Gwen tak postąpiła. Nie Gwen! Każdy inny, ale nie Gwen! - Max gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Nagle znowu miała

piętnaście lat i patrzyła, jak jej świat rozpada się na kawałki. - Wtedy Brian uderzył Sama tak mocno, że ten o mało nie stracił przytomności i wtedy dopiero poczułam, że mogę się poruszyć. Brian pobiegł do samochodu. Zawołał, że jedzie jej szukać, że ona musi mu w twarz powiedzieć, że go nie chce. Pobiegłam za nim, starałam się go zatrzymać. Rzuciłam się nawet przed maskę ciężarówki, wołałam, że może mnie przejechać, a ja się stąd nie ruszę. Delia przymknęła oczy.

- Max, przestań.

Ale Max po prostu nie mogła jej teraz usłyszeć. Ciężarówka była tam, tuż przed nią, Brian zapuszczał motor, Sam krzyczał na nią, żeby usunęła się z drogi.

- Wykręcił tak, że zdołał mnie ominąć i nie przejechać. Cofnął się po prostu, gwałtownie skręcił i objechał mnie. Biegłam za nim, ale jechał bardzo szybko. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, był samochód staczający się po zboczu w dół wzgórza. Usłyszałam tylko potworny trzask.

Delia dotknęła ręką jej ramienia, pociągnęła ją za sobą wstecz. Max popatrzyła na nią jak obudzona ze snu.

- Przeleciał przez barierę. W dole była rzeka. Spadł wprost na skały. Mówiono, że zginął na miejscu. „Na szczęście”, mówili policjanci. Ale ja cały czas nie widziałam tu żadnego szczęścia.

Spuściła głowę i ruszyła dalej.

- Mówiono, że to klasyczny przypadek - młodość, gniew i szybkość. Nawet nie ciągnęli Gwen po komisariatach i nie żądali wyjaśnień, nie kazali jej powiedzieć, dlaczego na litość Boga zostawiła go tam na stacji. I dlaczego kiedyś powiedziała mu, że go kocha! – spojrzała znowu na Delię. - Ciągle się zastanawiam, czy nie przeoczyłam czegoś

wtedy, czy nie zlekceważyłam jakiegoś ostrzeżenia.

- Max, nie możesz siebie obwiniać.

- Ale widywałam się z nią prawie codziennie.

- Byłaś tylko dzieckiem. A co Sam, twoja matka, wreszcie sam Brian? Co widzieli?

- Gwen - odparła łagodnie - po prostu Gwen. Na parkanie, przy stawie. - Westchnęła, rozglądając się dookoła. - Na tej farmie nie ma miejsca, w którym by się jej nie widziało. Dlatego nie mogę sobie wyobrazić, jak matka może tutaj wytrzymać i dlaczego tu siedzi.

- Bo to jej dom. - dla Delii ten argument wydawał się wystarczający.

- Albo po prostu tu utknęła. - Max patrzyła, jak Ben i Ewa idą wzdłuż ściany stodoły, każde z małym kangurkiem w ramionach. - Utknęła razem z duchami i wspomnieniami. To ją trzyma i nie daje odejść.

Delia poszła za jej wzrokiem.

- On ją naprawdę lubi, prawda? - powiedziała. Ben, oczywiście. Lubi twoją mamę.

- On ją kocha - odparła Max. Nie bardzo wiedziała, skąd jej się wzięła ta pewność, ale była pewna, że to prawda.

- Sądząc z jej twarzy, powiedziałabym, że ona też go lubi.

Max spostrzegła uśmiech matki i ruch jej ręki dotykającej ramienia Bena. „Gdzie podziała herbatniki?” - przemknęło jej leniwie przez myśl.

- Lubi go od lat. Za wszystko dobre, które z tego płynie dla obojga.

Delia skinęła głową.

- Jak powiedziałam, sprawy sercowe nigdy nie są proste.

-Może i masz rację, ale problem Bena i Ewy tkwi bardziej w ich głowach, niż w sercach. Moja matka wmówiła sobie, że będzie wierna pamięci ojca i to jest właśnie to. To się nazywa wzdychać nie wiadomo do czego. -Max przerwała, zdając sobie sprawę, że Ewa i Ben dalej idą do stajni, nieświadomi tego, że ona ich obserwuje, a Delia z psem zbliżają się do nich.

-Znam to uczucie.

Westchnienie Delii było ciche, ale wystarczające, by Max się odwróciła.

- Ty? Wzdychasz do czegoś? Dlaczego o tym nie wiedziałam?

Delia zmarszczyła brwi.

-Czy mówiłam, że wzdycham? Miałam na myśli, że wiem, jak to jest, kiedy nie możesz przestać myśleć o dawnej miłości, a nawet o wyimaginowanej miłości. Takiej, której nigdy nie było, ale mogła być, gdyby coś tam stało się inaczej. - Potrzęsnęła głową i zapatrzyła się na łąkę. - Takie są najgorsze.

-Bo musisz bez przerwy pytać samej siebie: „A co, gdyby...?” - rzekła Max. - Co, gdybyś spotkała wcześniej, albo później...

-Albo wcale.

-„Wcale” byłoby najlepiej - zgodziła się Max, zastanawiając się równocześnie, o ile jej życie byłoby łatwiejsze, gdyby nigdy nie spotkała Sama po raz drugi.

Gdyby nigdy nie słyszała jego głosu ani nie śmiała się z jego żartów... nigdy nie czuła gorąca jego ciała ani bicia jego serca. I o ile wszystko byłoby prostsze, gdyby nigdy nie zasmakowała jego pocałunku. Pocałunku, który sprawił, że zapragnęła trzymać go mocno przy sobie, nawet kiedy wiedziała, że powinna kazać mu odejść, bo jej przyszłość jest gdzie indziej, z mężczyzną, którego nie kocha, ale potrzebu-

je go w sposób, którego Sam nigdy nie zrozumie.

- „Nigdy” z pewnością byłoby najlepsze - powiedziała. - A gdybyś spytała o to Bena, prawdopodobnie powiedziałby to samo.

Delia potrząsnęła głową.

- Wątpię. Nikt nie mógłby patrzeć na kobietę tak, jak on w tej chwili patrzy na twoją mamę i równocześnie żałować, że ją spotkał.

Max wiedziała, co Delia miała na myśli. Właśnie to było w jego oczach, uśmiechu i czułości, z jaką ją dotykał. A kiedy wróciła do domu, czuła, jak jej serce ściska się na myśl o tym, czego nigdy nie będzie - o Benie. O Ewie. I o niej samej.

RRS

O ósmej w piątek wieczór bar „Tap Room” był niemal przepelniony, a piwo lało się strumieniami. Zadowolony, że nocna zmiana może przez jakiś czas wszystkim się zająć, Sam wrzucił rękawicę baseballową na tylne siedzenie wozu i pojechał na stadion.

Aż uśmiechnął się, wjeżdżając na parking. W końcu tutaj można było bezkarnie w coś walnąć. Bóg jeden wie, jak bardzo chciało mu się tego w ciągu ostatnich dwóch dni.

Zgasił motor i spojrzał spod przymrużonych powiek na boisko. Nie wyglądało na to, żeby ktoś tu w coś walił, lub był walony. Grupka facetów siedziała na ławce, paląc i gadając. Dzieciaki bawiły się w berka pomiędzy bazami*.

Sam wziął rękawicę z tylnego siedzenia i pobiegł przez boisko, zdecydowany ożywić nieco grę. Ale im był bliżej, tym jaśniej widział przyczynę apatii kolegów. Nigdy nie było ich tutaj tak mało. Tym razem przyszło nie więcej niż dwunastu graczy, w dodatku tylko mężczyźni. Howard z biura sprzedaży nieruchomości, Jeff z hurtowni, Ben, Michael i kilku innych stałych graczy. Nie było ani jednej kobiety,

*Baza: w baseballu oznacza etap gry; dobiec do pierwszej bazy = zakończyć pierwszy etap gry (przyp. tłum.).

nawet Keri czy Tracy, a liczba bawiących się na placu dzieci była o połowę mniejsza, niż zazwyczaj.

Sam zwolnił i pomału podszedł do nich, ciekaw, kiedy zjawi się reszta.

Ben uniósł rękę w powitalnym geście:

- Świetnie, że jesteś. Daj mu kij, Howard i niech nareszcie zaczną się męska przyjaźń.

Howard zaśmiał się i rzucił Samowi kij.

- Obiecaliśmy sobie, że jeżeli chociaż jedna osoba jeszcze dojdzie, zaczynamy grę.

- I chwała Bogu. - Michael wyciągnął piłkę ze swojej rękawicy i skierował się w stronę wzgórza*. - Myślałem, że już nigdy nie uda mi się rzucić. W porządku, Sam, jesteś w drużynie Niebieskich. Niebiescy rzucają, Czerwoni są poza polem.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - mruknął jeden z mężczyzn, kiedy sześciu z nich zeszło z boiska.

- Gdzie reszta? - spytał Sam, przysiadając się do Bena i Jeffa.

- To wszystko, czym rozporządzamy dziś wieczorem. - Ben wyciągnął z kieszeni paczkę gumy i poczęstował Sama. - Gumę?

- Nie, dziękuję. - odparł Sam i skrzywił się na widok pierwszego rzutu Michaela. - Myślicie, że nie będzie już nikogo więcej? A gdzie Keri i jej przyjaciółki? A mężczyźni? Zwykle było ich więcej, niż dzisiaj.

- Kobiety są na przyjęciu ślubnym, a reszta facetów siedzi w domu przy dzieciach.

- Zaraz, zaraz, poczekaj. Co to za przyjęcie?

*Wzgórze (mound) - wzniesienie na mecie miotacza (przyp. tłum.).

-Dla Maxine - odparł Jeff, potrząsając głową z niesmakiem, kiedy odbijający musiał odskoczyć z linii następnego rzutu.

-Przyjęcie dla Max? - Sam ze świstem wciągnął powietrze, bo Michael znowu coś poknocił. - Co za przyjęcie?

-Przedślubne oczywiście. -Ben potarł usta ręką, kiedy Michael przeszedł do następnego rzutu. - Próbowałem do tego nie dopuścić, ale znasz Judith. Kiedy coś sobie wbije do głowy...

Sam spojrział na niego.

-Judith Anderson urządza przyjęcie dla Max? Od kiedy to?

-Od środy rano - wyjaśnił Jeff. - Zadzwoiła do nas i powiedziała mojej żonie, że nie powinny pozwolić Max wyjechać bez porządnego przyjęcia ślubnego. Miała wolny wieczór tylko w piątek, tak że wszystkie zebrały się razem, rozpowiedziały to wszędzie i urządziły całą tę hecę na terenie farmy. Miały nadzieję, że dla Max to będzie wielka niespodzianka.

Sam kiwnął głową.

- Jestem tego pewien.

Jeff podniósł się, bo zbliżała się jego kolejka rzutów.

- Uznały, że to będzie łatwiejsze, niż próbować potem namówić Max do pójścia gdzieś indziej. To jak zaciągnąć górę do Mahometa - jak powiedziała moja żona. - Obejrzał się, wchodząc na boisko. -Judith myślała, że powinny w ogóle porwać Max, ale na szczęście inne wyśmiały ją zaraz.

-Chyba to dobrze - rzekł Sam, starając się wyobrazić sobie Judith porywającą Max i potem całe życie opowiadającą o tym.

-Było wiele chętnych na to przyjęcie - powiedział Ben, rozgniewany, bo Michael przerzucił piłkę wysoko nad głową odbijającego.

- Wygląda na to, że każdy marzył o tym, żeby znowu zobaczyć Max.

-Założę się, że tak było - wymruczał Sam. - A kiedy się dowiedzia-
łeś o tym wszystkim?

-Kiedy wróciłem do domu dziś popołudniu. Keri zostawiła mi wia-
domość na sekretarce, że absolutnie nie będzie mogła dziś grać. Wyda-
je się, że ona też dowiedziała się w ostatniej chwili, po powrocie do
domu.

-A Ewa... wiedziała o tym?

-Nie mogłem jej złapać telefonicznie, tak że wpadłem tam, by ją
ostrzec. Nie słyszała ani słówka o tych planach, ale nie było sposobu
nic odwołać. A może to i dobrze. Będziemy to mieli z głowy. - Nacią-
gnął daszek czapki na oczy tak, by nie musieć już więcej obserwować
gry, ani rzutów Michaela. - Byłem jeszcze na farmie, kiedy zaczęły się
zbierać. Dawno nie widziałem takiego korowodu samochodów - długi
jak lichy. Wyglądało to, jak karawana.

-Albo jak pogrzeb. A jak Max to przyjęła?

-No właśnie, to było ciekawe. Ona i ta jej przyjaciółka ruszyły pro-
sto do samochodu, kiedy Max zorientowała się, co jest grane, ale Ewa
złapała je i pociągnęła z powrotem. - Bob uśmiechnął się na wspo-
mnienie tej sceny. - Z wyrazu twarzy Max mógłbyś sądzić, że pro-
wadzą ją na płonący stos.

Sam przytaknął.

-Perkusję słyszę aż tutaj. Ale nie miała pretensji do Ewy?

-Ani do przyjaciółki. Muszę powiedzieć, że Delia robiła wszystko,
żeby ją stamtąd wydostać, ale nie mogła uciekać z powodu tych swoich
pantofli. W życiu nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego je nosi.

-To jej prawo - odparł Sam i rzucił okiem na boisko, gdzie Michael

tym razem rzucił piłkę tuż przed linią.

Najmądrzejszą rzeczą w tej chwili byłoby zostać tam gdzie był, grzejąc ławkę, aż przyjdzie jego kolej na odbijanie. Max wyraziła się jasno, mówiąc, że nie chce go więcej widzieć. I ciągle sobie powtarzał, że tak będzie lepiej. W gruncie rzeczy - co ich łączyło? Nic poza przeszłością, o której ona chciała zapomnieć i paroma gorącymi pocałunkami, które on pragnął... zapamiętać na całe życie.

Co do jednego nie było wątpliwości: powinien zostać tam, gdzie był. Ale im więcej myślał o Max i o przyjęciu ślubnym, tym gorzej Michael odbijał piłki.

- Wiesz - powiedział Sam do Bena - Myślę, że na prawdę moglibyśmy znaleźć sobie nowego miotacza. - Zabrał rękawicę i wstał. - Wpadnę tam na chwilę i zobaczę, czy Max nie zechciałaby zagrać.

Ben uśmiechnął się.

- Tak, myślę, że mógłbyś tak zrobić.

- „Nie mogę uwierzyć, że robię takie rzeczy”. - Judith podniosła głowę znad kartki, którą czytała i dodała: - „...w łóżku”.

Max westchnęła i zdmuchnęła z twarzy żółte i białe wstążki, zwisające jej z kapelusza, podczas gdy zgromadzone wokół niej panie chichotały i uśmiechały się. Kilka nawet wybuchło głośnym śmiechem; te z pewnością nie wyściubiły nosa z domu od dziesięciu lat, a może nawet więcej.

Właśnie grano w jedną z dwóch ulubionych „przyjęciowych” gier Judith, w „Otwarcia Miodowego Miesiąca” - grę, o której Max nikt nie uprzedził.

Nic jej nie mówiąc, Judith notowała pierwsze słowa, jakich Max użyła po wejściu przez furtkę, kiedy usiadła i otwierała po kolei każdy prezent. Teraz odczytywała je i dopisywała słowa „w łóżku” na końcu każdej linijki - Max podejrzewała, że ta gra musiała być szczególnie lubiana przez owe zamknięte w domu istoty.

- Czy jesteśmy gotowe? - spytała Judith, czekając, aż się uciszy, zanim przeczyta następne zdanie. - „O Boże, weź mnie teraz” - powiedziała, po czym podniosła w górę rękę, jak dyrygent, a cała grupa zawołała wtedy: „W łóżku”.

Podczas gdy kobiety zaśmiewały się i popijały kawę, Max uważnie obserwowała Judith. Ta stała pośrodku kręgu kobiet, zaledwie metr od „honorowego tronu” Max, elegancka i świeża w swojej kwiecistej sukni, z włosami upiętymi w gładki ciasny kok. Jej makijaż był lekki i nieskazitelny. Kiedy pochwyciła spojrzenie Max, uśmiechnęła się i pomachała do niej ręką. Max też się uśmiechnęła i kiwnęła głową, wiedząc, że powinna wyrazić swoją wdzięczność. Ale chociaż doceniała trud, jaki zadała sobie Judith, żeby zorganizować to przyjęcie, Max ciągle nie była przekonana, czy kierowała nią wyłącznie przyjaźń. Zwłaszcza, kiedy zaczęła się gra w „Otwarcia Miodowego Miesiąca”.

Ale chociaż gra skutecznie działała, upokorzenie Max sięgnęło zenitu w chwili, kiedy wśród otwieranych przez nią prezentów pojawił się kapelusz: piękny papierowy różowy talerz, obwieszony kokardkami i wstążeczkami. Tkwił teraz na jej głowie, zawadiacko włożony na bakierek, ciasno przymocowany pod brodą, a z jego runda zwisały na wszystkie strony cienkie karbowane wstążeczki, okrywające twarz barwnym welonem. „Tradycja” - jak powiedziała Judith.

Czuło się w tym zemstę. Może za to, że kiedyś Max zrobiła jej afront na farmie?

I, żeby jeszcze pogorszyć sytuację, przyszła tu połowa kobiet z całego miasteczka. Wiązały kokardki, cięły tasiemki, wreszcie z okrzykami zachwytu nad tym całym bałaganem pstrykały niezliczone ilości zdjęć - uwieczniając dla przyszłych pokoleń upokorzenie Maxine Henley.

Judith pomachała kartką z zapiskami.

- Czy chcemy usłyszeć więcej?

Max podniosła się i szybko prześlizgnęła między krzesłami; uśmiechając się, skłaniając głowę, przepraszając, kiedy było trzeba, znalazła się w końcu na tarasie z frontu domu.

Korzystając z tego, że jest sama, usiadła na najwyższym stopniu schodów i starała się rozwiązać zasupłane wstążki pod brodą. Z goryczą myślała, że takie przyjęcia przypominają kanałowe leczenie zębów - trzeba to wytrzymywać w milczeniu, kurczowo czepiając się nadziei, że wkrótce zabieg się skończy.

Kiedy tak walczyła z wstążkami, przyszło jej na myśl, że większość pań zjawiała się tu w dobrej wierze. Przyjechały samochodami, furgonetkami i ciężarówkami wypełnionymi stołami, krzesłami i jedzeniem. „Przyprowadziły górę do Mahometa”, jak stale powtarzała jedna z nich. I - od pani Mathews, która kiedyś uczyła Max gry w baseball, do Keri Jordan, dziewczynki, którą Max opiekowała się niegdyś jako babysitter, wszystkie wydawały się naprawdę uszczęśliwione jej widokiem.

Żadna nie wspomniała słowem Briana czy Gwen, natomiast ciągle mówiły o Peterze i o słynnej księżce kucharskiej, o planach weselnych i o tym, kiedy on nareszcie przybędzie. Max czuła się trochę niezręcznie, ale ich pytania nie były niczym innym, tylko normalną ciekawo-

ścią, a gratulacje brzmiały zupełnie szczerze.

To nie ich wina, że nie było czego gratulować. Max robiła wobec tego jak najlepszą minę do złej gry, kiedy otwierała prezenty. Czuła się co prawda coraz bardziej winna, gdy jeden po drugim rozwijała pakiety z przyborami do herbaty, pledem, czy parą rękawic kuchennych. Nic wysublimowanego ani modnego, po prostu zwyczajne prezenciki „od serca”, podarowane z myślą o tym, żeby przydały się w domu. I najlepsze, co mogła zrobić, to uśmiechać się i pomagać Delii w zapisywaniu, który prezent był od kogo - w wypadku, gdyby trzeba go było oddać.

Później, kiedy podano kolację, siadły wszystkie przy długich stołach, śmiejąc się i gadając. Talerze miały wypełnione wszystkim, co się dało: od sałatki kartoflanej i pieczonych kurcząt do nadziewanych winogron i tabul*. Była to scena jakby wyjęta z obrazu Rockwella**, tyle że rzeczywista. Nie było tu rekwizytorki, ani człowieka od „efektów specjalnych”. Nikogo, kto wrzeszczy: „Sprowadźcie tu dzieciaki”, albo „Dobra, dawajcie szczeniaka”. To było życie w Schombergu, w zupełnie innym rytmie. Max zaczynała rozumieć, co zatrzymywało tutaj Sama.

Ale ona była teraz osobą z zewnątrz; ani szykowną córeczką z osiedla, ani matką z farmy. Nie przynależała nigdzie, bała się rozluźnić, bawić, nużyło ją ciągle pilnowanie się, a przy tym bała się pozwolić sobie na luz - mogłaby się pomylić, mogłaby powiedzieć nie takie, jak trzeba, kłamstwo o Peterze.

*Tabbula - potrawa libańska ze śruty pszenicznej (przyp. tłum.).

**Rockwell Norman - (1894 - 1978) ilustrator i malarz amerykański, malował sceny z życia i sytuacji codziennych, narracyjne, pełne ciepła i humoru. Świetny obserwator, utalentowany malarz. Popularność zyskał jako wieloletni ilustrator The Saturday Evening Post (przyp. tłum.).

- Myślę, że można by zrobić więcej zdjęć – zawołała Judith. -
Gdzie nasza dziewczyna?

Max westchnęła, kiedy poczuła dotknięcie na karku. Judith utrudniała tylko sytuację.

Delia rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię, idąc w jej kierunku przez ogród.

-Masz moje słowo, że nigdy nie zrobię ci nic takiego. Trochę wina, dobre jedzenie i żadnych kapeluszy.

-Trzymam cię za słowo. - odparła Max, robiąc dla niej miejsce na schodach. - Czy spisałaś wszystkie prezenty, tak na wszelki wypadek?

Delia poklepała się po kieszeni.

- Tutaj mam listę; ale potrzebne ci to będzie tylko do kartek z podziękowaniami.

Max oparła podbródek na rękach.

-Nie jestem taka pewna. Peter dostał już przecież kopertę, a dotychczas nie dzwonił.

-No dobra, księżyc też jeszcze nie uśmiechnął się, prawda?

Max zerknęła na niebo.

- Za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

Delia zaczęła protestować, kiedy dobiegł je głos Judith z drugiej strony domu.

- Gdzie Maxine? Pora na zdjęcia!

Max westchnęła i podniosła się, ale Delia była już w połowie schodów.

- Musisz odpocząć - szepnęła przyjaciółce. - Wejdz na chwilę do środka, a ja cię wytłumaczę.

Max zawahała się.

- Jesteś pewna?

Delia popchnęła ją naprzód.

-Oczywiście. Idź po prostu.

-Dziękuję. - Max obejrzała się tuż przed drzwiami. - A jeśli ci się

uda, zabierz im tę kartkę do gry w „Miodowy Miesiąc”.

Delia podniosła kciuki do góry. - Masz to załatwione. Teraz idź, odpocznij. Max z wdzięcznością wślizgnęła się do środka i pobiegła na górę do swojego pokoju. Schowa się tu na kilka minut, zdejmie kapelusz i wróci na przyjęcie, z nadzieją, że dokładnie zapamiętała, co tam mówiła o Peterze.

Próbowała rozwiązać supeł na szyi, kiedy usłyszała hałas przy drzwiach na balkon. Przez ostatnich kilka dni brała psa Columbo aby spał z nią w pokoju, podeszła więc do drzwi, spodziewając się, że go tam zobaczy i wpuści. Ale nie było go na balkonie, ani na schodach. Doszła do wniosku, że się przesłyszała i wróciła do prób rozwiązania supła, kiedy usłyszała to znowu. Pojedyncze stuknięcie, tym razem niewątpliwie się nie przesłyszała. Podeszła bliżej do drzwi, przysłaniając szybę ręką, by lepiej zobaczyć balkon. Ale po tamtej stronie nadal nic nie było.

- Maxine, czas na fotografię!

To Judith wołała; jej głos dochodził z dołu, z tarasu. Zrezygnowana, Max odwróciła się, nadal mocując się z węzłem, kiedy usłyszała to znowu: ciche uderzenie w szybę - jakby ktoś rzucał kamyczkami.

Podeszła znów do drzwi i spojrzała w dół. Na podłodze balkonu leżały trzy małe, białe kamyczki. Zaciekawiona uchyliła drzwi i przysunęła się do balustrady. Wychyliła się i - musiała się uśmiechnąć. Stał tam Sam, z białymi kamyczkami w rękę i niemądrym uśmiechem na twarzy. Starła się nie zastanawiać, jak się domyślił, że go potrzebowała, ani jak ją znalazł. Ale nie mogła pohamować przyływu zadowolenia, jakie odczuła, widząc go tam.

Nie może tego powstrzymać, o nie! Ale z pewnością będzie mogła to zignorować.

Oparła ręce na balustradzie i starała się wyglądać na znudzoną.

- Czego tu chcesz, O'Neal?

Podrzucał kamyki na dłoni.

- Ktoś mi powiedział, że stadion baseballu jest o rzut kamieniem od twojego podwórka.

Wydeła wargi, walcząc ze śmiechem.

- Ale musiałeś to sam zobaczyć?

-Jak inaczej mógłbym przekonać się na pewno? - Rzucił kamyczki do ogrodu i otrzepał ręce.

- Ładny kapelusz.

Wtedy wybuchła śmiechem: z niego, z siebie samej, z całej tej sytuacji, zbyt głupiej, żeby ją brać poważnie; poczuła się nagle jak Julia czy Roksana*, czy każda inna kobieta, która kiedykolwiek wysłuchiwała z balkonu miłosnych serenad. Byle tylko Sam nie zaczął śpiewać; wtedy z pewnością by uciekła.

W każdym razie nie skarżył się na nic, ale drażnił ją, przeszkadzał jej, odrywał od myśli o Peterze - od tego, o czym powinna była stale pamiętać.

Pociągnęła za wstążki, które wreszcie się rozwiązały.

-Co tu właściwie robisz?

-Przyszedłem zobaczyć, czy może zmieniłaś zdanie i zagrasz w końcu z nami.

*Roksana - bohaterka romantycznej tragikomedii Edmond Rostand'a (1868-1918) „Cyrano de Bergerac” - obydwie stojąc na balkonie słuchały wyznań ukochanego (przyp. tłum.).

Rzuciła kapelusz na podłogę i przegarnęła włosy palcami.

- Już za późno na baseball.

Rzucił okiem przez ramię na zachodzące słońce.

- Kiedy tu przyszedłem, było jeszcze jasno - powiedział i znowu spojrzał na nią. - Może zesłabyś tu do mnie i pogadalibyśmy o tym po drodze na stadion?

- Maxine? - wołała Judith, a potem dał się słyszeć głos Delii, mówiącej:

- Dajcie dziewczynie spokój, jest pewnie w łazience.

Sam skrzyżował ręce na piersi i uśmiechał się – tym uśmiechem, który zbyt dobrze znała.

- Oczywiście, jeżeli wolisz założyć z powrotem ten kapelusz i wrócić na przyjęcie... - Max aż się zachnęła na myśl o kłamstwach, wyjaśnieniach i o tych wszystkich wyczekujących spojrzeniach.

- Nie sądzę, żebym mogła znowu zawiązać te wszystkie wstążki.

- To chodź grać. - Uśmiechnął się i wszedł na schody. - Naprawdę potrzeba nam miotacza.

Max oglądała się ciągle, nawet wtedy, gdy już stanęła u szczytu schodów. - Co ja im powiem?

- Nic. - Kiedy wszedł na najwyższy stopień, wyjął z kieszeni złożony we czworo kawałek papieru. – Połóż to na tym kapeluszu i chodźmy.

Stał teraz z nią oko w oko, rzucając jej wyzwanie, kusząc, sprawiając, że czuła bardziej smak życia, niż kiedykolwiek od dawna.

- Chodź ze mną, Max - wyszeptał.

Max zwilżyła wargi. Teraz albo nigdy. Kapelusz - albo baseball. Sam albo Judith.

Wyrwała mu z ręki papier i zawróciła, by położyć go na kapeluszu. Cały ten wieczór kłamała - sobie samej, sąsiadom, znajomym. Teraz

sytuacja stawała się prawdziwsza, uczciwa; to było właśnie to, czego chciała.

Poczuła się lekka i swobodna, kiedy na palcach zbiegała tanecznym krokiem po schodach. I w chwili kiedy mogła o tym pomyśleć, zastanowić się co to wszystko oznacza, albo do czego doprowadzi - albo co inni by o tym powiedzieli - chwycił ją za rękę i pobiegł, ciągnąc za sobą przez trawnik do tylnej, uchylonej przez cały czas furtki.

-Maxine, jesteś tam? - wołała Judith.

-W łazience! - odkrzyknęła i roześmiała się, kiedy objął ją ramionami.

Trzymała się go mocno całą drogę do ciężarówki, kryjąc twarz w zagłębieniu jego szyi i wdychając ciepły, miły zapach jego skóry.

-Co było w tej notatce? - spytała, kiedy sadził ją na przednim siedzeniu.

-Zerwanie transakcji - odparł i zamknął drzwiczki. -To było pokwitowanie z ATM.

Uruchomił auto i pognali przez pola. Okna były otwarte i wiatr tańczył jej we włosach, kiedy zabierał ją z domu w drogę biegnącą przez las - po której Ewa zimą jeździła zwykle sankami.

Samochód zwolnił, wreszcie stanął. Sam spojrzał na Max.

- Masz rację, już za późno na baseball.

Max oparła się plecami o siedzenie i spojrzała na niego. Zwrócony do niej siedział z jedną ręką na kierownicy, drugą trzymał na oparciu siedzenia. Beztroska tej pozy kłóciła się z napięciem w jego twarzy, zacisniętymi szczękami i przepastną głębią czarnych oczu.

Max poczuła znane jej już gorąco w całym ciele, coś, co zaczynało się gdzieś głęboko wewnątrz i stopniowo, ale stale, ogarniało ją całą. Poruszyła się na siedzeniu, wiedząc, że teraz powinna poprosić, by odwiózł ją z powrotem. Albo może do miasta na całkiem oficjalną fili

żankę kawy. W każdym razie do miejsca, gdzie nie będzie miał możliwości usiąść zbyt blisko niej, czy też jej dotykać, ani całować jej w sposób, o jakim myślała od chwili, gdy wszedł na schody, by ją zabrać ze sobą. W sposób, o jakim myślała również teraz.

Nie miała wątpliwości, co powinna zrobić. Ale kiedy wyciągnął rękę i przesunął palcem po jej policzku, usłyszała swój własny szept:

- Jedźmy - i już nie zastanawiała się, dlaczego zmieniła zdanie.

RS

Wrzucił bieg, a Max przechyliła się, by włączyć radio. Szperała po skali, aż znalazła coś wolnego i bluesowego. Usiadła prosto, z zamkniętymi oczami. Muzyka sprawiała, że nie myślała o tym, dokąd jada, ani co zrobi, kiedy już tam będą, aż do chwili, kiedy Sam skreślił na rozwidleniu dróg w prawo. Wtedy otworzyła oczy i spojrzała na niego. Wiedziała już, gdzie się znajdują.

Woda w stawie lśniła w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Max wychyliła się, aby lepiej widzieć to co kryło w sobie niezmiennie piękno - odejście dnia i powitanie nocy. Dotarli do stawu boczną drogą i choć byli niezbyt daleko od domu, nikt stamtąd nie mógłby dostrzec ciężarówki poprzez gęstwinę drzew.

Sam wyłączył silnik i otworzył drzwiczki.

- Chodźmy na brzeg.

Wiosna była już w pełni, gorąca i sucha. Taka pogoda trwała aż do pierwszych dni lata, co powodowało gwałtowną inwazję komarów. Potrafiły zmienić uroczy wieczór pod gwiazdami w piekło. Kiedy szli przez trawę do nabrzeża, słyszeli tylko świerszcze, kumkanie żab i cichy chlupot wody, uderzającej o brzeg łódki.

Słońce ukryło się już za horyzontem. Jeszcze jakiś czas niebo pokrywały fioletowe i różowe smugi ale i one wtopiły się w granat nieba. Kiedy stanęli nad brzegiem, Max wiedziała, że gdzieś, wysoko, wpa-

truje się w nich księżyc.

Sam zrzucił buty i usiadł na nabrzeżu.

- Jak tam przyjęcie?

- Dziwne. - Usiadła i zanurzyła rękę w wodzie burząc jej gładką powierzchnię. W gęstniejącej ciemności widać było rozplywające się kręgi. - Nie myślałam, że się ucieszę na widok tych wszystkich kobiet, ale jednak tak było. I, o dziwo, byłam zadowolona, że nie ma Petera. Nie czułam się tym skrepowana. Byłam po prostu jedną z uczestniczek kolacji, tak jak dawniej - i wzruszyło mnie to, że zadały sobie dla mnie tyle trudu. Wyobrażałam sobie Petera, który pstryka zdjęcia i już planuje gdzie je sprzeda. Sielskie uroki wsi dla tego, kto najlepiej zapłaci. Nie chciałam mu dać takiej możliwości. - Zerknęła na Sama. - Niezbyt ładnie, jak na narzeczoną, hm?

Sam ułożył się na plecach z rękami pod głową.

- To nie ma nic wspólnego z narzeczeństwem. To rodzi się tu, w sercu i zależne jest od tego skąd pochodzisz i kim jesteś i od tego, że nie uciekasz już od przeszłości.

Przytaknęła, z oczyma wędrującymi od ramion i piersi aż do napiętego, płaskiego brzucha, wzdłuż długich nóg aż do czubków palców. Kiedy spojrzała mu ponownie w twarz, dostrzegła, że on także przygląda się jej z nieukrywanym zainteresowaniem. Speszona, gwałtownie wciągnęła powietrze i znów skierowała wzrok na staw.

- To tak, jak ty i twój bar „Tap Room”.

Uśmiechnął się i usiadł.

- Nie trzeba szukać aż tak daleko. Wystarczyłoby kilka ujęć z ogrodu twojej matki.

- Naprawdę zaryzykowałaś, prawda? Wpatrywał się w wodę.

- Powiedzmy, że gdyby klient poprosił mnie o radę w sprawie wła-

śnie tej inwestycji, poradziłbym mu szukać gdzie indziej.

Uśmiechnęła się.

-Nigdy nie byłeś dobry w udzielaniu rad.

-Zwłaszcza sobie samemu. - Przebiegł czubkami palców wzdłuż jej łydki. - Ale planują zbudować nowy kompleks turystyczny jakieś czterdzieści kilometrów stąd. Kiedy to ruszy, miasto będzie miało dodatkowe inwestycje, a to pomoże reklamie.

-Ależ to będą tylko turyści - odparła, chowając nogi pod sukienkę. - Ty potrzebujesz przede wszystkim stałej klienteli. Takich osób, jak Judith.

Westchnął i przeciągnął się z rękami nad głową. -Judith?

- No, ludzi z podmiejskich osiedli i z miast. Ludzi, którzy wybiorą się do „Tap Room” nawet w zimie.

Sam potrząsnął głową.

-Nigdy nie zaryzykują takiej wędrowki.

-Zrobią to, jeżeli zaproponujesz im coś, czemu nie będą się mogli oprzeć.

Pochylił głowę na bok.

- Na przykład?

Podniosła się i spojrzała za siebie, w kierunku domu.

- „Tournée piwne” ze specjalnymi daniami. Wieczory smakoszków w sali jadalnej z potrawami, których nigdy nie serwujesz w normalny sposób. Dania jedyne w swoim rodzaju, różne od innych, które po prostu trzeba wypróbować. I, naturalnie, wszystko to z towarzyszeniem degustacji ostatnich dzieł Bena, podawanych w maleńkich, elegancko zaprojektowanych kieliszkach. – Skinęła poważnie głową. - Węszę tu nową książkę kucharską.

Uśmiechnął się do niej.

- Przedtem muszę mieć tę salę jadalną.

- A co cię wstrzymuje? - Zrzuciła z nóg pantofle i ponownie usiadła.
- Masz już kuchnię i masz Michaela. Wszystko, czego ci potrzeba, to stworzenie odpowiedniej atmosfery.

- Do tego trzeba mebli i pieniędzy.

- To nie musi być nic kosztownego. Oczyszczisz stare rzeczy, pójdziesz na wyprzedaże, wykończysz to ładnie i upiększysz. Tak jak ta szafa grająca - naprawiłeś ją i jest jak nowa.

- Myślałem o czymś bardziej formalnym.

- Formalne wnętrza są dobre w mieście, ale nie tu. Trzeba, żeby zarówno turyści w szortach i koszulkach jak i faceci w garniturach, jadący prosto z pracy na spotkanie z żoną przy kolacji czuli się u ciebie swobodnie. A to oznacza luz - ale wyrefinowany. Nie dokładnie bar, ale też nie takie miejsce, gdzie nie można by się pośmiać. - Wyciągnęła nogę i zamoczyła palce stóp w wodzie. - Weź za przykład dom Ewy: nic tam do siebie nie pasuje, ale wszystko harmonijnie się ze sobą łączy. Tego ci właśnie potrzeba. Takiego miejsca, w którym ludzie stąd czuliby się jak w domu i które doprowadzi do pasji Judith, kiedy będzie próbowała cię naśladować. - Kiwnęła potakująco głową. - To bardzo podniecające.

To ona była podniecająca. Maxine Henley ze swoją gładką skórą i wrażliwym nosem, wypełniająca przestrzeń pomiędzy nimi energią i pomysłami. Jej wizje były tak realne, tak pełne życia, że widział je równie precyzyjnie, jak ona sama. Tyle, że nie wyobrażał sobie, żeby została tu tak długo, by wprowadzić te pomysły w życie.

- Musiałbym znaleźć jakiegoś konsultanta. - Poczekał, aż na niego spojrzy. - Nie szukasz czasem pracy?

Twarz jej zachmurzyła się: podniecenie powoli opadało, a wraz z nim znikwały marzenia.

-Jeżeli Peter nie zadzwoni, to może i mogłabym. Ale nie tutaj. Nie w Schomberg. - Przełożyła drugą nogę przez brzeg podestu i głębiej zanurzyła nogi w wodzie. -Chyba nie zamierzasz otworzyć filii w Nowym Jorku? Mówią, że w Chelsea jest teraz mnóstwo dobrych knajp.

-Chelsea - powtórzył Sam, oczyma wyobraźni widząc butik i galerie, sławnych ludzi i piękne kobiety. Wyobraził sobie „Tap Room” w takim miejscu, jak wciśnięty pomiędzy bodegi i bistra stara się być restauracją, kiedy w istocie jest tylko skromnym wiejskim barkiem. I jak w rezultacie kończy, zagubiony i nie na swoim miejscu - którym jest to, gdzie stoi teraz.

-Nie, chyba nie - powiedziała Max, tłumacząc sobie jego milczenie dokładnie tym, czym istotnie było spowodowane i uwalniając go od odpowiedzi. Opuściła stopy głębiej w wodę i westchnęła. - Ach, co bym dała za to, żeby być teraz w wodzie.

-To wchodź.

-Nie mam kostiumu kąpielowego.

-Czy to ważne?

Roześmiała się i spojrzała na niego.

-To ty się zwykle kąpiesz na golasa, nie ja.

-Skąd wiesz?

-Widziałam cię. - Uniósł brwi. - Tylko raz - dodała i zaraz spuściła głowę, próbując ukryć uśmiech. - To był sierpień. Było goręcej i bardziej duszno niż teraz. Nie mogłam spać, więc wzięłam kostium kąpielowy i latarkę i zesłam tutaj ochłodzić się. Ale usłyszałam ciebie i Briana, jak śmiejecie się i rozmawiacie nie dalej niż o trzydzieści metrów ode mnie. Wtedy zgasiałam latarkę i poszłam za wami.

- Co chciałaś zrobić?

Uśmiech stał się szerszy.

- Oczywiście, porwać wam ubrania, kiedy będziecie w wodzie. Gdy przyszedłam nad brzeg, Brian już pływał. Ale ty ciągle jeszcze byłeś ubrany i stałeś na pomoście, tak jakbyś zmienił zdanie. Nie mogłam się dostać do ubrań Briana, bo ty tam stałeś, więc zaczęłam się wycofywać. Wtedy ty nagle ściągnąłeś koszulę i rzuciłeś ją na brzeg. - Wzruszyła ramionami. - Wobec tego siadłam i czekałam na dalszy ciąg.

- Ale nie spodziewałaś się, że odwrócę się do ciebie przodem, prawda? - Teraz on z kolei uśmiechnął się na widok jej rozszerzonych ze zdziwienia oczu. - Wiedziałem, że tam byłaś. Zobaczyłem migocące światło latarki w twoim pokoju, kiedy przechodziliśmy z Brianem pod waszym domem. Usłyszałem szelest w zaroślach i pomyślałem, że to musisz być ty. A kiedy nie wyszłaś do nas, zrozumiałem, że chcesz podglądać, więc postanowiłem zrobić ci przedstawienie.

- I rzeczywiście zrobiłeś - rzekła, unikając jego spojrzenia i zanurzając rękę w wodzie.

- Pamiętam, że myślałem, że uciekniesz, kiedy zacząłem odpinać pasek od spodni. Ale nie uciekłaś. Pamiętam też, że uważałem, że robię coś złego. Ze powinienem cię zawołać i powiedzieć, że wiem, że tam jesteś.

Podniosła ku niemu głowę, a jej wzrok napotkał jego oczy.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo było mi przyjemnie, kiedy wiedziałem, że patrzysz na mnie. Dlatego rozbierałem się tak powoli. Było piekielnie gorąco, a Brian ciągle nawoływał, żebym się pospieszył. Ale ja właśnie chciałem to robić powoli, zobaczyć, jak długo wytrzymasz, jak długo będziesz mi się przyglądać. - Przerwał, wspominając tę scenę. - Zaskoczyłaś mnie.

- Zaskoczyłam siebie samą - powiedziała nieomal szeptem.

Wstał i uniósł ją z ziemi.

-Zaskocz mnie znowu. Chodź pływać. Odepchnęła go ze śmiechem.

-Oszalałeś?

Zaczął rozpinać koszulę.

- Być może. Ale woda jest ciepła i wstyd byłoby zmarnować taką piękną noc.

Położyła mu ręce na dłoniach, powstrzymując go, kiedy rozpinął drugi guzik.

-Nie mówisz serio. Wszyscy ci ludzie ciągle jeszcze tam są. Moja matka, Delia...

-A przyjęcie w pełni się rozwija. - Wziął jej dłonie w swoje, ucałował każdą z nich i ponownie zabrał się do guzików. - Bardzo możliwe, że jeszcze nie odczuli twojej nieobecności.

-Dziękuję uprzejmie.

-To nie obraza, po prostu mam cichą nadzieję, że mamy jeszcze trochę czasu, zanim zaczną cię wołać z ganku domu.

Kiwnęła potakująco głową, pewna, że rzeczywiście zaczną ją wołać i patrzyła na rozszerzające się i pogłębiające V w jego koszuli; widziała dobrze rozwinięte mięśnie i gęstwinę ciemnych włosów, prowadzącą jej wzrok w dół, w dół...

Gwałtownie uniosła głowę do góry.

-Muszę iść.

-Zarumieniłaś się, wiesz? - Odwrócił się i wyciągnął koszulę z dzinsów. - Dobrze, tym razem nikt nie patrzy. - Spojrzał przez ramię i zmarszczył brwi. - Czy o to ci chodzi?

Odwróciła się, kryjąc uśmiech. Miał rację; noc była piękna, a woda

rzeczywiście ciepła. Nie zostawią przecież śladu za sobą, wskazówki dla tych, którzy poszliby za nimi... Potrząsnęła głową i założyła ręce na piersi.

- Nie zrobię tego.

Jego oddech był gorący, kiedy niespodzianie poczuła go tuż koło ucha.

- To dlaczego jesteś ciągle tutaj?

Uniosła ramiona do góry, ale nic nie powiedziała; on tymczasem rzucił koszulę na miękki piasek u jej stóp, Usłyszała nie pozostawiającej wątpliwości szcęk klamry odpinanego paska i wiedziała, że za chwilę Sam będzie nagi. Nie był typem chłopaka, zabierającego się do gry lub zaczynającego cokolwiek bez intencji doprowadzenia rzeczy do końca. Planował pływanie, ochłodzenie się w stawie. Mogła dołączyć do niego, albo nie - proste.

Ale co z nią? Co planowała?

- A co z Peterem? - wyszeptała, zbyt późno zdając sobie sprawę, że wymówiła to zdanie na głos.

- Może przyłączyć się do nas, kiedy tu przyjdzie.

Usłyszała śmiech w jego głosie i miała ochotę go uderzyć.

-A co właściwie miałabym mu powiedzieć? „Cześć, kochanie, woda jest świetna. Po prostu wskakuj tu do mnie i do tego nagiego faceta”.

-Kolegi.

-Sam, proszę. Myślę, że przekroczyliśmy pewną granicę. Właśnie dlatego muszę odejść.

-Max... - to było wszystko, co powiedział, ale usłyszała, że przestał się śmiać. - Idź, jeżeli chcesz, ale najpierw powiedz uczciwie. Nigdy nie kapałaś się nago, prawda?

-Oczywiście, że tak - odparła, dając mu do zrozumienia, że jest z całej duszy dotknięta. Ale efekt był stracony: nie patrzył na nią i czuła, jak ugina się pod ciężarem prawdy. - W porządku, więc w moim dzie-

ciństwie tego zabrakło.

-A co masz zamiar zrobić, jeżeli Peter w ogóle się nie odezwie?

-Wrócę do domu - odparła. Odpowiedź przyszła szybko, łatwo, bo pogodziła się już z możliwością, że Delia nie miała racji. Że Peter nie był ani nieszczęśliwy, ani oszołomiony, a po prostu zajęty. I tak mogło być już zawsze.

-Jednym słowem, tak czy siak, wyjedziesz - rzekł Sam. - Wracasz do swojego mieszkania, do studia, do pracy.

Wzruszyła ramionami.

-Zwyczajne życie.

-I dalej nie będziesz kąpała się nago. - Wziął głęboki oddech i powoli wypuszczał powietrze. - No cóż, moim zdaniem to okropne zmarnowanie pięknego letniego wieczoru.

Patrzyła w wodę, śledząc lot jakiegoś owada nad jej powierzchnią. I nagle zamarła: usłyszała odgłos rozpinanego suwaka.

-No, więc - powiedział, kiedy jego dżinsy klapnęły na pomost - mam ci pomóc przy zdejmowaniu sukienki?

-Tylko się odwróć - odparła ze śmiechem, ściągając sukienkę przez głowę i rzucając ją na stosik ubrań pod jej stopami.

-Nie podglądałaś, prawda? - spytał.

-Oczywiście, że nie - odparła, odpinając stanik i czując gorąco na twarzy, kiedy wylądował także na kupce odzieży.

Oficjalnie nic się nie zmieniło. Ona w dalszym ciągu była zaręczona, a podarunki to potwierdzały. I kiedy zadzwoni telefon, pojedzie z Peterem z powrotem do Nowego Jorku i do życia, jakie mają zaplanowane. Ale w tej chwili chciała kąpać się nago w świetle księżyca i

niech diabli wezmą każdego, kto powiedziałby jej, że jest w tym coś złego!

- A ty nigdy nie podglądasz? - spytała, ściągając majteczki.

- Zdarza się.

Zamarła na chwilę, a potem z założonymi na piersi rękami zerknęła na niego przez ramię. Stał częściowo w ciemności, częściowo w bladym świetle wody; zapamięta to na zawsze, jak czarno-białą fotografię; zatrzymany w myślach jego obraz - będzie go zawsze takim pamiętała. Silnym. Twardym. Męskim.

Stał z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała, tak jakby nie było tu nic do ukrycia. Jego oczy napotkały jej wzrok i rozpoczęły powolną, swobodną podróż po jej ciele: od pleców do bioder, potem ud; zatrzymały się chwilę na jej stopach, po czym pomału znowu zaczęły wędrować do góry, tak, że nogi jej osłabły, a krew zaczęła pulsować szybciej, bardziej gwałtownie. Zobaczyła, że usta zaciskają mu się a oczy zwężają - sprawiało jej przyjemność, że robi na nim takie wrażenie.

- Czy w ogóle masz pojęcie, jaka jesteś piękna? -Jego głos był niski, chropawy, a usta okalał dziwny uśmiezek, kiedy podchodził do niej. - A Peter jest bez nadziejnym głupkiem.

Odwróciła się, a wtedy położył usta na jej ustach. Nie był to wstęp do niczego, ani kuszenie; po prostu potrzebowali tego oboje. Siła i moc, które były od niego, sprawiły, że zakreśliło jej się w głowie.

Wtedy podniósł ją w górę, wziął w ramiona i pchnął w wodę.

- To za to podglądanie przed laty - powiedział i uśmiechnął się, kiedy wypłynęła, parskając.

- Dostaniesz za to! - zawołała.

-O Boże, mam nadzieję! - stwierdził i wskoczył do stawu tuż obok niej, ponownie ochlapując ją wodą.

-No i jak ci się to podoba? - spytał, obejmując ją ponownie, tym razem mocniej; przyciągnął ją do siebie, trzymając mocno, kiedy odrzucała włosy z oczu i wycierała ociekającą wodą twarz.

-Nie miałam czasu się zastanawiać - odparła, a on ucałował ją gorąco, potem roześmiał się i odpłynął; płynął na plecach, nagi i piękny w świetle księżyca.

Popłynęła za nim, długimi, mocnymi ruchami rozgarniając wodę i czuła się wspaniale po całych dniach bezczynności. Woda ogrzewała ją, opływała jej ciało pieszczotą, w pierwszej chwili szokującą, by przenieść się w kojący i relaksujący masaż. Przewróciła się i płynęła na plecach, tak jak on, patrząc w gwiazdy, słysząc jedynie bicie swego serca i cichy plusk wody.

Wypłynął tuż obok niej. Walczyła chwilę, starając się zasłonić się jakoś i równocześnie płynąć dalej. Oboje zaczęli się śmiać; praktyczność wzięła górę nad zawstydzeniem. Pomyślała, że teraz mógłby zbliżyć się do niej, on jednak zabawiał się z nią w chowanego i odpłynął dość daleko. Popłynęła w jego stronę i chwilę ścigali się, zanurzając się i wypływając, śmiejąc się i ochlapując wodą jak dzieci. Wtedy Sam nagle zatrzymał się i podpłynął, biorąc ją w ramiona. Całował powoli, głęboko, przypominając tym samym, że co jak co, ale dziećmi nie są.

Odepchnęła go, zanim pragnienie stało się zbyt wyraźne, zanim byłoby zbyt trudno odmówić. Płynęła teraz i obserwowała, jak płynie za nią, już wyraźnie z konkretnym celem, tnąc wodę ładnymi, szybkimi ruchami; wiedziała, że za chwilę będzie znowu przy niej, będzie jej pragnął, szukał.

Seks z Peterem był miły, czasem nawet interesujący, ale zawsze za-

planowany - po prostu żadne z nich nie potrzebowało tego zbyt często. Ale Sam był z natury zmysłowy, czuł się swobodnie i tak traktował jej ciało. I ją całą.

Dopłynęła do pomostu i wydostała się na brzeg, nagle skrepowana, drżąca. Powietrze było gorące, ale wiatr wywołał gęsią skórkę na mokrej skórze, tak, że trzęsa się z zimna, kiedy dotarła do ubrań.

Wyszedł na brzeg tuż za nią.

-Zmarzłaś - powiedział, ujmując jej rękę i podnosząc w górę.

-Nie, czuję się dobrze - odparła i starała się zakryć, jak mogła, rękami.

-Max, spójrz na mnie - rzekł Sam niskim, miękkim głosem. Podniosła ku niemu oczy, czując, że płonie jej twarz, kiedy otulał ją swoją koszulą.

Mokre włosy opadały mu na czoło, podkreślając mocne rysy i długie rzęsy. Objął ją ramionami i mocno przycisnął. Zwróciła się do niego i odchyliła głowę, pewna, że chce ją pocałować.

Wtedy niespodziewanie podrzucił ją do góry, tak, że pisnęła, sądząc, że może ją ponownie wrzucić do stawu. Ale on uciszył ją spojrzeniem i przeniósł z brzegu na trawnik. Zorientowała się, że kieruje się do ciężarówki.

- Tutaj jest bardziej miękko - wyszeptał, umieszczając ją na tylnym siedzeniu i wdrapując się tam za nią.

A Max usłyszała swój chichot, kiedy zamknął drzwiczki i uśmiechnął się dziwnie, zanim rozłożył siedzenie.

Zesztywniała, nagle czując się bardzo głupio, wyciągnięta na tylnym siedzeniu furgonetki. Z Peterem zawsze działo się to przy łagodnych dźwiękach muzyki, była kolacja i wino...

Sam sięgnął przez oparcie przedniego siedzenia i oto w ciężarówce rozległy się dźwięki muzyki. Była to naprawdę poruszająca piosenk

country. I Max musiała się zaśmiać, kiedy usiadł i najokropniej nosowym głosem, jaki kiedykolwiek słyszała, wyśpiewał refren.

Ale śmiech Max urwał się, a krew zawrzała, kiedy przestał śpiewać i patrząc na nią przeciągle, uśmiechnął się leniwie. Komu tu potrzebne wino? zastanawiała się, kiedy rozchyłał koszulę na jej piersiach. I kto by myślał o jedzeniu, kiedy wszystko, czego mogła pragnąć, to dotyk jego cudownych ust na jej ustach?

Uniosła się, jakąś częścią umysłu zdając sobie sprawę, że to do niej niepodobne, ale całą resztą nie słuchając tego głosu; a on okrywał delikatnymi jak puch pocałunkami jej czoło, powieki, policzki, wargi. Westchnęła i pociągnęła go ku dołowi, szukając warg, podczas gdy gorąco kłębiło się i zbierało w dole jej brzucha.

Jego ręka znalazła się teraz na jej piersi, gorąca na chłodnym ciele, a ona wygięła się ku niemu, z zachwytem wsłuchując się w jego oddech, szybki i płytki, kiedy całował jej wgłębienie pod uchem, aż do szyi i dalej do piersi.

Ustami objął ciasno jej sutek, a wtedy wpiła mu palce w czuprynę, przyciągając do siebie. Znowu przemknęło jej przez myśl, co też jest w tym Samie, że budzi w niej takie pragnienie, że potrzebuje go tak bardzo, jak nigdy nie potrzebowała żadnego mężczyzny.

Jej doświadczenie było bardzo ograniczone - poza tym zawsze wszystko poprzedzone było ustaleniami i poważną rozmową. Tymczasem z Samem w ogóle nie było czasu na myślenie, czy dyskusje. Były tylko uczucia - ciał, ocierających się o siebie, gorąca, wilgoci i suchości - i wrażenie, że jest się na skraju czegoś. Że wszystko, co można teraz

zrobić, to jeszcze jeden krok dalej; zatracić się całkiem w tym mężczyźnie, poważnym i kpiącym, czarującym i stanowczym; zmieniał się stale, nie mogła go w ogóle zaszufładować. Nie mogłaby powiedzieć: *taki jest Sam*. Bo zawsze był czymś o wiele więcej.

Czy to miłość? - zastanawiała się, nagle zaskoczona, kiedy przyciągnął jej uda i rozsunał nogi. Jeżeli to miłość, nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Ale kiedy przesunął ręką po wewnętrznej stronie jej ud i przekonał się, że jest gotowa i bezwstydnie spragniona, czy mogła jakoś zatrzymać się i nie spaść z tej „krawędzi”? Jak Alicja w Krainie Czarów*, która nie była w stanie zatrzymać się, spadając w dół w norę królika aż do miejsca, którego nie знаła, bez możliwości powrotu do domu. Wpadła w tę miłość bez przyszłości - taką, jak miłość Briana, czy miłość jej matki.

Co jest z tymi Henleyami? - myślała dalej, kiedy podniósł w górę jej biodra, dając, biorąc... nie była pewna, co jeszcze opłynęło ją pierwszą falą, przepłynęło przez nią i wydobyło ją w końcu ponownie na powierzchnię, spoconą, zdyszana i nadal nie zaspokojoną.

Poruszał się na niej, a ona gotowa była przyjąć go w siebie, czując jego twardy członek na brzuchu.

- Max - wyszeptał, a ona zasłoniła mu usta ręką w obawie, że mógłby powiedzieć coś, co przeniesie ją „na drugą stronę krawędzi”. Daj ponieść się miłości. Jeśli już za-brnęła aż tutaj, jak może szukać teraz drogi powrotnej?

*„Alicja w Krainie Czarów” - XIX-wieczna powieść dla młodzieży Lewisa Carrolla (1832-1898) - opisuje przygody malej Alicji w niezwykłym świecie snów. Piękne polskie tłumaczenie Macieja Słomczyńskiego, (przyp. tłum.)

-Nic nie mów - powiedziała, patrząc mu w oczy, widząc gorąco, pragnienie i jeszcze coś głębszego, bardziej czułego, niemal bezradnego. Jakby patrzyła mu prosto w duszę i widziała w niej strach. Przed nią? Przed nim samym? Kiedy usiłowała to nazwać, jej ciało samo odpowiedziało, podnosząc się, pragnąc wziąć go w siebie jak najgłębiej, tam, gdzie oboje będą bezpieczni.

-Czy jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał, ciągle jeszcze trzymając się na dystans, drżąc z wysiłku, podczas gdy jego oczy żebrały o odpowiedź. Zbliżyła się do niego: milczenie było jej odpowiedzią, stwierdziła tylko, że wszystko jest w porządku. Że może to przeżyć i to niczego nie zmieni. Wiedziała, że to kłamstwo. Zmienił ją już teraz, otwierając jej serce, które tak długo trzymała zamknięte, że aż bała się teraz o tym pomyśleć. O tym upadku. Tak głębokim, tak niewybaczalnym. A na dnie nie było nikogo, kto by ją złapał.

I wtedy to usłyszała. Głos, przenikający przez tylne okno, osłabiony rozlegającą się wokół muzyką. On usłyszał go także; wstał, wyłączył radio i usiadł spokojnie, starając się opanować oddech. Słuchali oboje. To nie był jeden głos, lecz wiele, wszystkie wykrzykiwały jej imię. Nie zrozumiała, co mówią, ale sens był jasny. Max. Peter. Telefon.

Sam nie spytał, czy chce wyjść na zewnątrz. Zaklął i otworzył drzwiczki - padło jedno krótkie, soczyste słowo, które świetnie podsumowało wszystko. Potem zawrócił do ciężarówki, podał jej rękę, pomógł wejść, patrząc gdzieś w bok, odwrócony plecami, by czuła się swobodnie.

Poszedł razem z nią na przystań, wciągając džinsy i odwracając się - tym razem rzeczywiście - aż się ubrała. Grzebała w stercie ciuchów, jednym uchem nasłuchując, co się dzieje na ścieżce. Zdawała sobie sprawę, że to głupie - nikt nie będzie jej tu przecież szukał! Ale była

zdenerwowana. Jej narzeczony czekał przy telefonie, a ona tymczasem wciągała na siebie bieliznę na przystani. Trudno to byłoby kiedykolwiek mu wytłumaczyć, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. A co dopiero teraz.

Nie wiedziała, dlaczego, ale piekły ją oczy, a w gardle nagle zrobiło się sucho. To nerwy - mówiła sobie, walcząc z zapięciem stanika i przygryzając wargi, by nie wydać dźwięku, podczas gdy Sam stał do niej tyłem, patrząc w wodę. Już oddychał spokojnie, a plecy miał wyprostowane. Mogła się tylko domyślać, co czuł. Włożyła sukienkę i obciągnęła ją na biodrach, szukając na przystani amuletu. Niemal pragnęła, by ten przeklęty przedmiot wpadł do wody i odpłynął. Ale leżał tam, przy jego lewej nodze. Złoto lśniło w świetle księżyca.

Pochyliła się, podniosła szybko talizman i włożyła go na miejsce, schodząc z przystani.

- Odwiozę cię - powiedział, idąc za nią.

- Nie, lepiej pójdę.

Otworzył boczne drzwiczki od strony kierowcy.

- Nie powinnaś iść tą drogą w ciemności. Siadaj do wozu.

- Nie mogę wsiąść do wozu - odparła, przełykając ślinę i starając się pozbyć suchości w gardle. - To nie będzie dobrze widziane, jeśli oboje zjawimy się tam razem. A wiesz, jak one lubią gadać.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym wrzucił koszulę do samochodu.

- Rób, jak uważasz.

I nagle to, co wydawało się słuszne i cudowne, stało się brudne i tanie. Włączył motor, a Max przeklinała samą siebie, tym bardziej, im dalej szła ścieżką w stronę

domu; samej sobie robiła wymówki, że zabrnęła tak daleko. Niemal zakochała się w człowieku, którego nie powinna pragnąć, podczas gdy wcielenie męskiej doskonałości czekało na nią na drugim końcu przewodu telefonicznego!

I uznała, że miała szczęście. Kiedy usłyszała warkot ciężarówki

przemierzającej pola, pobiegła, podnosząc tumany kurzu i strasząc lamy i kucyki w zagrodzie.

- Dziękuję ci bardzo, Ilona - zawołała głośno, a następnie spojrzała na księżyc, wyglądający spoza drzew. Śmiał się śmiechem Kota z Cheshire*.

RS

*Kot z Cheshire - postać z „Alicji w Krainie Czarów”. Zjawiał się w gałęziach drzewa, po czym znikał stopniowo; najdłużej widać było jego szczerzący się uśmiech (przyp. tłum.).

Zazdrość. Sam nie zasmakował dotąd tego uczucia, aż do ostatniej nocy na przystani. Nigdy w ciągu całego życia nie czuł tej zimnej gorzkości, która przepelniała go bez reszty, gdy stał tak na pomoście, słysząc, jak Max ubiera się za jego plecami. Słyszał, jak stara się uporać z zapięciami i haftkami i widział łzy zdenerwowania na jej rzęsach, kiedy pobięła przed siebie ścieżką.

Zawstydzona, bo pozwoliła sobie na zapomnienie i ponieważ taka po prostu była: radosna, pełna pasji, beztroska. I tak piękna, że aż odczuwał ból patrząc na nią. Sprawiała, że pragnął ją trzymać, nagą i rozgrzaną, aż dałaby mu poznać, kim ona jest i czego chce od życia, od miłości. Od niego.

Max mogłaby go uznać za nieuleczalnego romantyka, ale Sam nie miał zwyczaju nic sobie wmawiać, wyobrażać sobie rzeczy nieistniejących. Ale nie był też człowiekiem, który wątpiłby w prawdę, kiedy ją po prostu widział. A ostatnia noc była prawdziwa. Tam, w jej oczach - ta maleńka iskierka zachwyty, czy też nadziei - jak by tego nie nazwali poeci. Ale według Sama to światełko -to była miłość, prosta, zwykła miłość.

Kochała go, czy też pragnęła kochać, tak jak on chciał kochać ją, wierząc wbrew wszystkiemu, że im się to uda. Znaleźć wyjście, zmienić wszystko. Nie miał słów na opisanie bólu, jaki ścisnął mu serce,

kiedy ujrzał, że to światełko przygasa, zgaszone, zanim się na dobre rozpałiło, a wszystko z powodu telefonu Petera.

Peter - narzeczony, dureń, wrzód na tyłku - miał ją zabrać z farmy, z pamięci, z jego serca. I ona miała pójść także, miała ponownie wślizgnąć się zgrabnie w swoje dawne życie, łatwe i bezbolesne, z sercem odrętwiałym, bo myśl o miłości przerażała ją śmiertelnie.

Siedział teraz na murku przed jej domem, z papierowym kubkiem z kawą w rękę i ciepłym porannym słońcem na twarzy. Czuł, że ponownie wzbiera w nim gorycz - dwa razy silniejsza i w dalszym ciągu bez sensu. Nie mógł przecież powstrzymać biegu wydarzeń.

- Pomożesz mi z tymi zwierzakami, czy będziesz tu siedział i gnął?
- zawołał Ben.

Sam spojrzał w stronę, gdzie Ben zaganiał właśnie dwie kozy Ewy na rampę i następnie do ciężarówki typu „gęsia szyja”.

- Nie gniję, myślę - odparł Sam i zsunął się z murku, wrzucając po drodze do śmietnika kubek po kawie.

Ben skrzywił się, kiedy Sam się zbliżył.

- Widziałem już kiedyś, jak myślisz i to, co widzę teraz, to z pewnością nie jest myślenie.

Sam wykrzywił się także, wiedząc, że powinien był zostać w domu. Torturował tylko samego siebie, tkwiąc tutaj, a starszy pan od rana był w cierpkim nastroju. Charczał i sapał, jak mały piesek na za krótkiej smyczy i niemal urwał Samowi głowę, kiedy ten spytał, co jest nie w porządku.

Ale obiecał mu pomóc w uruchomieniu małego ZOO, a był człowiekiem, który dotrzymuje słowa. I, uczciwie mówiąc, jakaś perwersyjna część jego samego miała nadzieję, że Peter przyjedzie, kiedy on tu będzie; po prostu chciał zobaczyć na własne oczy tego człowieka.

Zlekceważył więc słowa Bena i podniósł z ziemi listę, wykreślając z niej kozy, kiedy znalazły się na ciężarówce.

- Co następne? - spytał, kiedy Ben wyszedł ze stodoły.

- Brzuchata świnia. - spojrzał, przechodząc, na Sama. - Bez żartów. Jest bardzo wrażliwa, a Ewa nie potrzebuje tam ponurego zwierzęcia.

- Boże uchojaj - rzekł Sam, otwierając furtkę na padok.

Lamy spojrzały na nich wyczekująco, ale owce zignorowały ich zupełnie, jakby znając swoje miejsce w kolejce. Kozy pierwsze, potem świnka i dopiero potem owce. Lamy miały jechać w drugiej części wozu, a kucyki pony w trzeciej.

Ewa i Ben załadowali przenośne zagrody, karmę i legowiska już wczoraj, następnie sprawdzali wszystko jeszcze raz tego ranka. Za pół godziny małe ZOO Peacock Ma-nor będzie w drodze, zdążając na swoje pierwsze oficjalne miejsce. Przy pewnej dozie szczęścia Ewa znajdzie więcej zamówień, nie tylko pomagając zwierzętom zarobić na swoje utrzymanie, ale też reklamując Peacock Manor nieco szerzej. Może ludzie zainteresują się jazdami na wozach z sianem, czy pieczeniem kurzydzy, czy czymkolwiek, co Ewa mogłaby zaoferować.

Sam potrząsnął głową, kiedy zdołał wreszcie zagnać świnkę do wozu. Nigdy nie przestawało go dziwić, co ludzie są w stanie zrobić dla stworzeń, które kochają.

Kiedy owce zostały załadowane i zamknięto wejście do pierwszego „przedziału”, Ben ponownie zwrócił się do Sama.

- No, więc o czym tak usilnie myślałeś?

-O wyprzedazach. - Sam rozejrzał się, kiedy wchodzili z powrotem na padok. - Nie znasz się na odnawianiu mebli?

-Ja nie, ale mój brat jest w tym dobry. - Ben pociągnął wodze i lama ruszyła z wysoko podniesioną głową, raczej prowadząc go niż idąc za nim do ciężarówki. -Dlaczego? Czy masz coś do naprawienia?

-Jeszcze nie - Sam zerknął w górę w okna Max. - To po prostu pewien pomysł. Ben zatrzymał się. On i lama spojrzeli na Sama.

-Zdajesz sobie sprawę, że źle kombinujesz?

-Z tymi wyprzedazami?

-Z Max. - Ben z lamą odwrócili się i poszli w kierunku ciężarówki. - Ona wychodzi za tego gościa i dobrze ci radzę, wycofaj się.

-Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

-Nawet nie zaczynaj. - Ben pociągnął wodze a lama wydawała się niezadowolona z obecności ich obu. -Wszyscy wiedzą, że wróciła na przyjęcie z mokrymi włosami, a ciebie widzieli, jak odjeżdżałeś, bez koszuli i z włosami przyklepionymi do czoła.

Sam cofnął się, jak uderzony pięścią. Sądził, że nikt go nie widział. Myślał, że udało mu się stamtąd szybko zmyć.

-Kto ci to mówił?

-Słyszałem w Cy's, a gdzieżby indziej? - podszedł o krok do Sama. - Postarałem się załatać, co tylko mogłem. Powiedziałem im, że pomagałeś nam przy myciu zwierząt przed wyjazdem do ZOO i musiałeś przypadkiem oblać się wodą.

Sam wymruczał jakieś podziękowanie, ale Ben tylko machnął ręką.

-Co u Boga Ojca robiłeś z tą dziewczyną?

- Pływaliśmy nago. - Sam powiedział to, przekonany że Ben nie rozpo

wie tego dalej, nawet Ewie, jeśli poprosi się go o dyskrecję. - Nigdy tego nie robiła, więc ją zabrałem. Po prostu kąpaliśmy się razem, jak przyjaciele. Ben zagryzł wargi, patrząc uważnie na Sama.

-I dlatego całą noc nie spała, spacerując po trawniku w ciemnościach? Kiedy wszystko było takie niewinne? Po prostu dwoje przyjaciół i cholerna impreza nago w wodzie.

-Nie rozumiesz.

-Rozumiem, że Ewa zadzwoniła do mnie o trzeciej nad ranem, ciężko zdenerwowana, bo Max była cały czas przed domem, gadała do siebie, mamrotała coś o szczerzącym się księżycu i o piwie z alkoholami i różne takie bzdury. - Ben z lamą znowu podszedł bliżej. - Ta dziewczyna ma i tak dosyć zmartwień od czasu, kiedy tu przyjechała. Z Gwen, która znowu tu jest, z tym idiotą narzeczonym i z tym nie dającym jej spokoju mostem. Przysięgam, jeżeli zrobiłeś coś, co ją zraniło, cokolwiek...

-Ben, ja jestem w niej zakochany.

Benowi opadła szczeka, a lama w dalszym ciągu wpatrywała się w niego uparcie.

Tak myślał zeszłej nocy, oczywiście, ale gdy usłyszał siebie samego wypowiadającego te słowa, wszystko stało się bardziej realne, chociaż tym bardziej niemożliwe.

- A ona, czy też cię kocha?

Sam spojrział w dół przyglądając się swoim butom.

- Myślę, że tak; właściwie jestem pewny, ale co z tego? Powiedziałeś przecież, że wychodzi za Petera.

Ben potrząsnął głową.

- Jak może to zrobić, skoro kocha ciebie?

Sam uśmiechnął się widząc zakłopotanie Bena. Rozumiał go doskonale.

- Cóż, taka jest Max. Wbiła sobie do głowy, że miłość zabiła Briana i nie chce teraz mieć z tym uczuciem nic wspólnego.

-Dokładnie tak, jak jej matka wmówiła sobie, że można w życiu przeżyć tylko jedną miłość.

-I przeżyła już swoją?

-Piętnaście wspaniałych lat - Ben to powiedział, ale Sam usłyszał w tym słowa Ewy. Ben wykręcił się na pięcie i spojrzał w dół. - Co masz zamiar z tym zrobić?

Lama podeszła bliżej, z szeroko otwartymi oczami, jakby na coś czekała. Sam wzruszył ramionami i podrapał ją za uchem.

-Co mogę zrobić? Wiesz tak samo dobrze, jak ja, co ona myśli o Gwen, o moście, w ogóle o całym miasteczku. Nie ma tu wiele miejsca na negocjacje.

-Fatalna sytuacja. Znam to dobrze - westchnął Ben, a w jego głosie zabrzmiało znużenie i poczucie klęski. Wyglądał teraz na swoje sześćdziesiąt lat. - I nie mam ci za złe, że tak szybko rezygnujesz. - Spojrzał w stronę domu, gdzie Ewa wchodziła akurat tylnymi drzwiami. - Bo ja chyba także to zrobię.

Max pchnęła tylne drzwi i zeszła za matką po schodach.

- Ale dlaczego musisz jechać dzisiaj? Nie możesz w przyszłym tygodniu?

Ewa zatrzymała się i spojrzała na córkę.

- Bo w centrum ten tydzień jest Tygodniem Zwierząt Domowych. Następny tydzień będzie Tygodniem Urody. - Uśmiechnęła się i dotknęła dłonią policzka Max. - A przy okazji, ty i Peter możecie spędzić trochę czasu tylko ze sobą.

Max zmarszczyła brwi.

- Co to niby ma znaczyć?

Ewa podniosła ręce i zaczęła iść trawnikiem do furtki.

- Nic a nic. Po prostu nie widzieliście się prawie dwa ty godnie i pewnie będziesz chciała pobyć z nim sam na sam.

Max została z tyłu.

- Pewnie, że tak... A czemu nie mielibyśmy...?

- Nie ma żadnego powodu - odparła Ewa, ale jej promienny uśmiech wydawał się nieco wymuszony, kiedy przechodziła przez furtkę.

I nic dziwnego - pomyślała Max, przypominając sobie, jaka była nieznośna przez cały ranek, skamłająca i warcząca na przemian. Z rozkoszą uciekłyby od siebie samej, gdyby mogła. A wszystko to tylko dlatego, że w nocy nie spała, a Peter miał przyjechać. A ona nie chciała być z nim sama. Jeszcze nie - nie dzisiaj.

- A gdybyś posłała z Benem chłopców Jenkinsa? - zawołała i podbiegła, by pociągnąć matkę z powrotem.

Ewa zwolniła kroku i odwróciła się do niej.

- Max, czy mogłabyś w końcu przestać? Po prostu jesteś zdenerwowana. To naturalne po tym, co się wydarzyło, ale teraz już wszystko pójdzie jak z płatka.

Max wytrzeszczyła na nią oczy.

- Jak z płatka? Co przez to rozumiesz?

Ewa odrzuciła głowę do tyłu.

-W porządku, wygrałaś. Rozumiem, że Peter zerwał zaręczyny - czy teraz ci łatwiej?

-Ależ nie zerwał ich - zaprzeczyła Max, składając ręce na piersiach i patrząc przed siebie na podwórze. -Po prostu potrzebował czasu do namysłu, do oceny sytuacji. A dlaczego tak myślałaś?

Wyraz oczu Ewy złagodniał.

- Jesteś moją córką, wiem, kiedy kłamiesz, albo starasz się coś

ukryć. I wiem, kiedy jesteś zraniona. - Smutno pokiwała głową. - Rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałaś, jak musiało ci być przykro i wstyd. Ale teraz on jest już w drodze tutaj i oboje możecie wszystko wyprostować. Nie jestem tu potrzebna, tylko bym wam przeszkadzała.

- Dokładnie to samo mówiłam sobie dziś rano - stwierdziła Delia, wchodząc na trawnik; już nie stukała wysokimi obcasami, ale szła zdecydowanie, obuta w solidne sportowe buty Ewy.

Praktyczna Delia! - uśmiechnęła się w duchu Max. Kto by pomyślał?

- „Delio” - powiedziała sobie - „ostatnią rzeczą, jakiej Max potrzebuje, jest piąte koło u wozu”. - Roześmiała się, kiedy była już przy nich. - Dlatego jadę pomagać przy ZOO. Jeżeli można.

- Wspaniale - odparła Ewa, kładąc rękę na ramieniu Delii i kierując się do ciężarówki. - Lamy bardzo cię polubiły, wiesz o tym.

Delia kiwnęła potakująco.

- Myślałam, że mogłabym zacieśnić jeszcze te więzy.

- Delio, zaczekaj! - Max wyciągnęła ręce; Delia i Ewa odwróciły się do niej. - Proszę, nie jedź. Potrzebuję cię.

Delia potrząsnęła głową, uśmiech jej łagodniał, kiedy podchodziła do Max.

- Nie potrzebujesz mnie już więcej. - powiedziała cichym, niemal pieszczotliwym głosem i chwyciła ją za rękę. - Wszystko będzie dobrze między tobą i Peterem. Będzie wspaniale, zobaczysz. - Ścisnęła jej palce. - To był pewien plan, hę? - uśmiechnęła się wesoło i zwróciła do Ewy. - Reklama to był mój pomysł, wiedziałaś o tym?

- To było naprawdę świetnie pomyślane - powiedziała Ewa, po czym zerknęła na Max. - A propos, Sam zaprasza nas wszystkich na kolację

do „Tap Room” dziś wieczór. Małe przyjęcie zaręczynowe. Max potrząsnęła głową.

- To nie jest dobry pomysł.

- Obiecał, że urządzi prywatny stół, tylko dla naszej piątki, ale nalegałam, żeby się do nas przyłączył, tak, że będzie nas sześcioro.

- Ale mammo, ja nie chcę.

- Maxine, uspokój się. Obiecał, że będziemy tam zupełnie sami, a wiesz, że Sam zawsze dotrzymuje słowa.

- Nie zawsze - mruknęła, wywołując w pamięci jego obraz, kiedy patrzył na nią na przystani. Matka przyglądała jej się, zdziwiona, wobec czego machnęła ręką i roześmiała się. - Żartuję, żartuję. Ale w dalszym ciągu nie uważam, że powinniśmy tam pójść.

- Nonsens. Nie będę miała czasu, żeby przygotować kolację w domu, a ty tego nie zrobisz, więc „Tap Room” jest logicznym wyjściem. Zdaje się, iż Sam powiedział, że o ósmej, ale na wszelki wypadek zadzwoń do niego - dodała Ewa, po czym obie z Delią odeszły, zostawiając Max samą przy murku.

- Na pewno zadzwonię - mruknęła Max, kiedy pies Columbo pomaszzerował na swoje ulubione miejsce pod drzewami i otarł się nosem o jej rękę. Max przyklekła i podrapała go za uszami. - Chyba jesteśmy tu tylko my dwoje.

- Zostanę, jeżeli chcesz.

Podniosła głowę na dźwięk tego głębokiego głosu, który dźwięczał jej w uszach przez całą noc.

- Dam sobie radę - rzekła, czując, że kłamie, kiedy ujrzała jego twarz.

Cienkie zmarszczki wokół jego oczu były tego ranka wyraźniejsze, a w wyrazie ust nie było nic zabawnego ani żartobliwego. Wyglądał na zmęczonego, znużonego, ale myśl, że nie spał tej nocy, tak jak i ona,

nie sprawiała jej żadnej przyjemności. Jaki sens miało to, że oboje byli nieszczęśliwi, jeśli nie było wyjścia z tej sytuacji?

Przyklęknął na jedno kolano, by podrapać drugie ucho psa, co wprowadzi Columbo w stan najwyższej rozkoszy. Było im łatwiej, pomyślała, z psem pomiędzy nimi. Zawsze można zająć ręce, jeśli by zapomniały, gdzie jest ich miejsce.

Zerknęła na niego ponownie i złapała na wpatrywaniu się w nią. Nie krył się z tym, nie miał zamiaru nic udawać. Zatem ona pierwsza się odwróciła, zdając sobie sprawę, że bezpieczna będzie dopiero w Nowym Jorku.

- A przy okazji, pięknie wyglądasz.

Kiwnęła głową i wstając wymamrotała jakieś podziękowanie. Ubrała się bardzo starannie - wybrała coś nowego - ostry błękit, cienkie paseczki - z kolekcji świątecznej, która tkwiła upchana w jej walizce aż do dzisiaj do czwartej nad ranem, kiedy zmordowana spacerami zabrała się do prasowania, po prostu, żeby coś zrobić, dowodząc tym, jak bardzo była znużona.

Ale sukienka po wyprasowaniu wyglądała o wiele lepiej. I przyjemnie było wiedzieć, że jej wysiłki zostały docenione.

- Przyniosłem ci coś - powiedział, podchodząc do niej.

Cofnęła się, nagle ostrożna.

- Wyciągnij rękę. - Uśmiechnął się, kiedy schowała ręce za siebie. - Nie ugryzę cię, obiecuję.

Wyciągnęła otwartą dłoń, na której Sam położył lśniące, czarne strusie pióro.

-Pomyślałem, że może ci się przyda do tego kapelusza, teraz, kiedy Peter jest już w drodze.

-Może się i przyda - odparła i przeszła w kierunku ganku, z piór-

kiem w rękę, wołając za sobą psa. Ale ten turlał się na plecach pod nogami Sama, czekając na dalsze drapanie po brzuszku.

- Co znowu się dzieje? - spytał Sam.

W dalszym ciągu poklepywał psa, ale patrzył tylko na nią.

- A co myślisz, że się dzieje? Peter przyjeżdża, wracam do domu. To chyba zupełnie jasne.

- I co, w końcu chce się żenić?

- Tak przynajmniej powiedział mi przez telefon wczoraj wieczorem. Chce poznać moją matkę, ustalić termin, wszystko to, co już od tygodni planujemy.

- A ty po prostu znowu zaczniesz wszystko od nowa w tym miejscu, gdzie się przerwało? - Sam wstał i przeszedł wolnym, miarowym krokiem koło murku. - Nie pamiętasz, że złamał ci serce i zostawił cię, zdaną tylko na siebie?

- Potrzebował czasu, by się przekonać...

- A co z tobą, Max? Czy ty jesteś przekonana? - Stał przed nią. Jego głos brzmiał miękko, miękko jak dotknięcie jego ręki, kiedy gładził jej policzek. - Czy jesteś przekonana, że właśnie takiego małżeństwa ci trzeba?

- Muszę wrócić do domu - odparła spokojnie, walcząc z pragnieniem poddania się temu dotknięciu, ciągle jeszcze zbyt bliskiemu, dotknięciu, dzięki któremu zapominała o wszystkim, co chciała powiedzieć i dlaczego. - Muszę wrócić do swojego mieszkania, do studia, do Petera z kamerą w rękę. Muszę wrócić do takiego życia, jakie było.

- I udawać, że nic się nie stało? Wmówić sobie, że nigdy nie dotykaliśmy się, nie całowaliśmy się, nie byliśmy tak blisko największego zbliżenia, że dotychczas czuję w ustach twój smak, zapach twojej skóry.

- Czemu to robisz? - Odwróciła się, odchodząc w stronę ganku.

- Przyczyna jest jedna. Kocham cię.

Zwolniła i zatrzymała się, patrząc mu w oczy, kiedy się zbliżał. *A więc tak wygląda miłość*, pomyślała. Ciemna, czuła, troszkę niepewna siebie. Teraz już wiedziała, bo domyślała się już przedtem - ostatniej nocy, kiedy wahała się, wycofywała, chciała być pewna, że naprawdę go pragnie. Jak mógł wątpić, kiedy nawet teraz był tym jedynym, którego pragnęła?

Poczuła, że znowu ślizga się po krawędzi, ślizga się, aż runie w ciemny, głęboki tunel miłości, której nie pragnęła, nie mogła, nie powinna była pragnąć, kiedy właściwy mężczyzna był w drodze do niej. Jechał teraz tutaj z Virginia Beach, by zacząć od nowa, wyjaśnić wszystko, zabrać ją ze sobą z powrotem tam, gdzie było ich miejsce. Do imprez targowych, do biurowych mebli. Do wszystkiego, co ciągle miało sens, jeśli myślała o tym logicznie, i spokojnie - i co trzymało ją dostatecznie daleko od owej niebezpiecznej krawędzi. A jedyne co pozostało, to upewnienie się, że Sam nie będzie przyzywał ją z tego tunelu.

Splotła ręce na piersiach jakby w obronie przed jego czułością, przed ciężarem w sercu - i skierowała się w stronę domu.

- „Kocham cię!” zacytowała i uśmiechnęła się. – Tak łatwo się mówi, prawda? Najpierw Karolinie, teraz mnie... A której powiesz to na Boże Narodzenie? - Oczy jej zwęziły się. Potrząsnęła głową. - Nie wiem, Sam. Wydaje mi się, że ciągle szukasz czegoś nowego.

Mogła tak myśleć - miała powody. On też wiedział, że kiedyś wpadł w to uczucie zbyt mocno, za szybko; zdarzyło się mu to dotychczas tylko raz, kiedy kończył osiemnaście lat, a Max była jeszcze dzieckiem.

- Przestałem szukać już jakiś czas temu. A jeżeli ciebie nie będzie

tu na Boże Narodzenie, powiem ci to chociażby przez telefon.

- Wątpię, czy to się spodoba mojemu mężowi.

- Jeżeli wyjdiesz za mąż.

- Wyjdę za mąż - powiedziała jak echo i opuściła rękę. - A poza tym, nawet jeżeli nie wyjdę, zapewne nic nie zmieni twoje „kocham cię”.

- To dobry początek.

Zamrugnęła powiekami.

- Początek czego? Nie planujesz przecież wywiesić w oknie tabliczki „Do sprzedania”, a tu ja nie mam nic do roboty.

- Jest przecież Blue Ridge Cafe. Niewielki lokalik na wzgórzu, podają dobre jedzenie.

- Sam, przestań...

- Nie chciałabyś go zobaczyć? Tuż obok baru, pięknie odnowione meble i dobrana zastawa z porcelany. - Zaryzykował krok w kierunku Max. - Powiedziałem wczoraj, że musiałbym mieć konsultanta, ale myliłem się. Musiałbym mieć partnera.

Jej oczy zwięzły się.

- Nie będę miała partnera, pamiętasz?

- To wynajmę tę część budynku. Zobaczymy, czy będą jakieś oferty.

- Z pewnością będą - powiedziała i dostrzegł, jak odwraca wzrok od niego w proteście przeciw odkurzaniu starych marzeń, chwytaniu jej w sieć wyobraźni. - Schomberg mógłby mieć dobry sklep z przynętami i wędkami.

- Mogę inaczej wykorzystać Cafe. Mogłabyś zbudować nowe, Max, urządzić tam wszystko tak, jak opowiadałaś. Jedyne, co musisz zrobić, to zostać tutaj.

- I wpadać na Gwen w sklepie warzywnym? - Znowu się wycofywa

ła, szła w kierunku schodów i rozmawiała z nim przez ramię. - O nie, dziękuję. Podeszedł za nią do schodów.

-Dlaczego z nią nie porozmawiasz, nie dowiesz się, co naprawdę się stało tamtej nocy?

-Bo już dawno przestałam o niej myśleć. Nigdy nie skontaktowałam się z nami, nie rozmawiała z moją matką, wysłała jej kartkę, to wszystko. Milczenie - to jak przyznanie się do winy, nie uważasz?

- Miała dopiero osiemnaście lat.

Max zatrzymała się w drzwiach.

-To dostatecznie dużo, żeby umieć zatelefonować.

Ale jeżeli to cię tak interesuje, porozmawiaj z nią ty.

- Próbowałam. Jej twarz pozostała obojętna, ale palce zacisnęły się na klamce.

-Widziałeś się z nią?

-Chyba powinienem powiedzieć ci o tym wcześniej. Przyszła do „Tap Room” w poszukiwaniu pracy. Nie przyjąłem jej, oczywiście.

-Nie moja sprawa - powiedziała, ale obojętność w jej głosie miała wyraźnie fałszywą nutę.

-Może to dla ciebie nieprawdopodobne, ale nie było jej łatwo tutaj wrócić. Ludzie nie przyjęli jej z otwartymi ramionami.

-To może wyjedzie. Faktem jest, że Brian ją kochał, a ona go zawiódła. Czego więcej trzeba? - Otworzyła obie połowy drzwi. - Miłość ma takie sposoby, zauważyłeś? Wynosi człowieka wysoko, żeby jeszcze boleśniej spadł na ziemię. A ja nie mam zamiaru dla kogoś spaść w dół po śliskim zboczu.

-Za późno.

Obejrzała się. - Nie pochlebiaj sobie za bardzo.

-Nie pochlebiam. Ale byłem z tobą w ciężarówce, pamiętasz? - Usiadł na najniższym stopniu, wsłuchany w jej kroki na ganku i w dół po schodach. Poprawił się na siedzeniu. Uśmiechnął się do niej, kiedy znalazła się naprzeciw niego. - Teraz więc pozostaje kwestia, co z tym zrobimy?

-Ty sobie pójdziesz. To właśnie zrobimy. Peter i ja mamy wszystko, czego nam potrzeba.

Podniósł rękę w górę.

-Wiem, wiem, wspólne cele i interesy. Czy może jakoś inaczej?

-Tak czy owak, to jest początek. Solidny początek. -Odwróciła się na dźwięk wjeżdżającego na podjazd samochodu. - To Peter. Przepraszam cię...

-Tylko jedno: kiedy spyta, jak ci minął tydzień, co odpowiesz?

Zerknęła na niego. - Powiem mu, że niemal wpadłam w jamę Królika*, ale już jest wszystko w porządku.

*Królik - postać z „Alicji w Krainie Czarów” L Carrolla (przyp. tłum.).

Znała wóz Petera tak dobrze, jak swój własny. Srebrny jaguar, zaledwie roczny, zawsze fachowo przejrzany i lśniący. *Z wyjątkiem dzisiejszego dnia*, pomyślała, widząc chmurę kurzu, jaki wzbijał się nad tym sportowym samochodem, psując jego wygląd. Ale Peter nie wydawał się tym przejęty, kiedy zamknął drzwiczki i spojrział na nią - wysoki mężczyzna, tak szczupły, że nieomal chudy, z włosami koloru pszenicy w lecie i twarzą, o której pisała do matki.

Podszedł do niej, nie tak jak Sam - stawiający długie, niespieszne kroki, pokonywał przestrzeń jak człowiek, który się spieszy. Człowiek z miasta: intensywnie skoncentrowany, dostrzegający tylko to, co było przed nim. A w tej chwili to była ona.

Uśmiechnęła się, naprawdę zadowolona, że go widzi. Zawsze lubiła Petera. Spotkali się trzy lata temu na zdjęciach reklamowych makaronu dla pisma z przepisami kulinarnymi; on był tam fotografem, ona - stylistką, w ostatniej chwili zaproszoną do współpracy. Początkowo byli nieufni wobec siebie, ale ona nie mogła nie być pod wrażeniem tego, z jaką świeżością podchodził do każdego ujęcia. On zaś, kiedy zobaczył, co Max potrafi zrobić z wstążką makaronu na widelcu i parą pincetek, poprosił o jej służbowy telefon. Oboje perfekcjniści, szybko zorien-

towali się, że są serdecznymi kolegami w zawodzie - i udane partnerstwo rozwinęło się w romans - w każdym razie w jakiś rodzaj romansu.

Nie był to romans poetów ani autorów piosenek, z nierealnymi marzeniami i wyznaniem miłości. Był wygodny, z tych układów, które są realne i trwają długo. Zbudowany na...

Zmarszczyła brwi i spojrzała na Sama, nagle zniecierpliwiona, zirytowana i znudzona.

- Hmm... khaki i skórzane mokasyny - powiedział tak cicho, że tylko ona mogła to słyszeć. Wtedy odwrócił się i posłał jej ten uśmiech, który znała i wiedziała, że może sprawić kłopot. - Bardzo w stylu Chelsea.

- Świetnie wygląda. - odwróciła się. - Powinieneś kiedyś sam spróbować.

- Kochanie, ja to wymyśliłem - odparł, a ona nie mogła pohamować śmiechu: nie była w stanie wyobrazić sobie Sama w luźnej marynarce i spodniach z frędzlami.

Ale Peterowi było w tym dobrze.

- Dziecinko, tak mi przykro - rzekł, kiedy podszedł do niej.

Przytuliła się do niego, myśląc, że wygląda na zmęczonego i z przykrością zdała sobie sprawę, że musiał prowadzić całą noc, by przybyć tu tak wcześnie.

Chwilę stali przytuleni, a Sam patrzył na swoje buty, zastanawiając się, dokąd teraz pójdą, dlaczego ten facet głaszcze ją po plecach i czy w tej chwili Max jest dla niego kimś, czy nie.

Spojrzał na nich akurat w chwili, kiedy Peter całował Max - chyba to było to, chociaż wyglądało raczej na dziobanie - taki rodzaj pocałunku zarezerwowany wyłącznie dla kumpli, podobny do pocałunków Sama wieczorem po jej przyjeździe. Niezbyt pasujące do narzeczonego.

Peter odsunął się od niej o krok, jakby dopiero teraz spostrzegł Sama. Max czym prędzej przedstawiła ich sobie, kończąc słowami „...i Sam właśnie wychodził”.

-W tej sekundzie - potwierdził Sam, uśmiechając się szeroko do Petera, kiedy podali sobie ręce. - Jak się jechało? Takim wózkiem to musi być sama przyjemność.

-Zawsze - odparł Peter, oglądając się wstecz i z czułością patrząc na jaguara. - Mam ten samochód od roku, ale za każdym razem sprawia mi frajdę, kiedy siadam za kierownicą.

-Wiem, co pan ma na myśli. Ja miałem Aston Martina DB7.

-DB? - Peter gwizdnął cicho. - Piekielny wóz. - Zerknął na Max i znowu szybko przeniósł wzrok na Sama. - Pewnie mógłbym tak stać tutaj i rozmawiać o samochodach przez cały ranek, ale, jeżeli to panu nie przeszkadza, Max i ja mamy coś pilnego do zrobienia. - Uśmiechnął się do niej. - Czy już ci mówiłem, jak bajecznie dzisiaj wyglądasz?

Sam musiał przyznać mu punkty za takie zachowanie. I za trzymanie ją za rękę, tak, jakby się obawiał, że mogłaby od niego uciec. Przede wszystkim musiał przyznać mu punkty za spoglądanie na nią jakby z zaskoczeniem - na tę piękną kobietę, którą nieomal stracił. Nie mógł się powstrzymać aby nie pomyśleć o tym, czy Peter kocha ją po wszystkim co się wydarzyło.

Sam wystarczająco zasmakował tej goryczy, kiedy cofnął się o krok i wyobraził sobie, że pierwszym miejscem, do którego po jego odejściu podążą, będzie jej sypialnia. Bóg jeden wie, że on na pewno by tak zrobił. Ścisnęło go w brzuchu na myśl o niej, takiej gorącej i miękkiej pod nim i pragnął, by nie mieć żadnych wątpliwości, tylko kochać się z nią, kiedy miał taką szansę -bo to już nigdy nie wróci.

- Rozumiem - powiedział i znowu cofnął się o krok. - Nie zapomnijcie: dziś wieczorem kolacja w „Tap Room”.

Peter powiódł wzrokiem od jednego do drugiego.

- W „Tap Room”?

- Sam ma restauracyjkę w miasteczku - wyjaśniła Max. - Zaprosił nas na kolację zaręczynową, ale gdybyś nie miał ochoty...

- Ależ z przyjemnością! - Peter uśmiechnął się i ponownie wyciągnął rękę do Sama. - Dziękuję. To nam pozwoli naprawdę porządnie obchodzić zaręczyny.

- Taki był pomysł - rzekł Sam z nadzieją, że jego własny uśmiech jest choć w połowie tak szczery, jak Petera. Żałował teraz, że obiecał Ewie przyłączyć się do nich.

- Wyciągnę bagaże, a ty pomożesz mi się rozpakować - powiedział Peter do Max, po czym pobiegł z powrotem do samochodu. - Chciałbym też obejrzeć całą farmę. Delia mówiła mi, że macie tu lamy!

- I strusie - dodała Max, zdając sobie sprawę, że ciągle trzyma w ręku piórko. Spojrzała na Sama. - To do zobaczenia dziś wieczorem.

- O ósmej - powiedział, podczas gdy Peter wyciągał z bagażnika walizki i aparaty fotograficzne, podobne do tych, jakie Sam nosił za Max, kiedy przyjechała. - Urządzą prywatny stół i poproszę, by Michael zrobił coś takiego, co zrujnuje Benowi cały wieczór. - Zauważył, że Peter zatrzasnął bagażnik i schował kluczyki do kieszeni. - Wydaje się miłym gościem.

- Jest nim - odparła i zerknęła na niego. - Naprawdę jest.

- Myślę, że wobec tego wybaczę mu te mokasyny. - Sam przesłał jej szybki grymas tylko po to, by zorientować się, że tego nie zauważyła. - Zapomniałem, czego powinienem życzyć narzeczonej. Gratulować czy życzyć szczęścia?

-Do widzenia - powiedziała i odwróciła się z uśmiechem, bo Peter się zbliżał.

-Do zobaczenia wieczorem! - zawołał Peter za Samem, który pozdrowił ich, odwrócił się i ruszył przez podjazd i trawnik w kierunku swojej ciężarówki.

-Przyjęcie wieczorne - powiedział Peter, kiedy staną! przed nią. - To może być zabawne. - Pochylił się nad bagażami. - Załatwmy się z tym, to pokażesz mi potem lamy. A propos, co to za piórko?

-Do kapelusza. - Poprowadziła go przez furtkę w kierunku tarasu. - To długa historia.

-Piękne miejsce. - stwierdził, obrzuciwszy ogród szybkim spojrzeniem. - Zrobiłbym kilka zdjęć na zewnątrz, kiedy pójdziemy go obejrzeć. Muszę powiedzieć, że jest wspaniale zaplanowany. To pewnie bardziej twoje dzieło, niż Wilhelma - od razu tak sobie pomyślałem.

-Prawdę mówiąc, to przede wszystkim Delii. - Zostawiła drzwi frontowe otwarte, zaskoczona, że tak gładko powrócili do stereotypu ich zachowań.

Ale czy tego właśnie pragnęła? Szybką drogę do domu?

-Delia, aha... - zaniósł swoje bagaże do frontowego holu. - Nigdy nie wiadomo, czego się po niej spodziewać. Bierze się za coś i rzuca, albo posyła coś do mnie, zamiast do Wilhelma. - Uśmiechnął się, kiedy wchodzili po schodach. - W niczym nie przypomina ciebie.

-O, ja jestem dość przewidywalna. - Przed drzwiami swojego pokoju zawahała się i odwróciła do niego. - Ale jest kilka rzeczy, o których powinieneś wiedzieć. Rzeczy, które zdarzyły się w tym tygodniu.

Postawił bagaże i wziął ją w ramiona.

-Muszę tylko wiedzieć, czy nie masz już żadnych wątpliwości. Że naprawdę chcesz wyjść za mnie.

-Oczywiście. To po prostu jest...

- Więc wszystko inne jest bez znaczenia. Dla nas obojga to był bardzo dziwny tydzień. Tak bardzo bałem się przyjazdu tutaj, spotkania z twoją matką, tego ślubu. Ale kiedy nie było cię ze mną w Wirginia Beach, tęskniłem tak bardzo, jak nigdy nie wyobrażałam sobie, że mogę tęsknić. Bardziej, niż myślisz.

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym zwilżyła wargi.

- A za czym dokładnie tęskniłeś? Co sprawiło, że tak nagle przekonałeś się, że powinieneś mnie poślubić?

- To nie była jakaś jedna rzecz. - Zajęty był bagażami. - Czy mogę to gdzieś położyć?

- Przepraszam. - Otworzyła drzwi sypialni i wpuściła go. Łóżko wydawało się ogromne, niezgrabne, jakby w pokoju nie było dość miejsca, by je wygodnie obejść. Stała w drzwiach, kiedy podszedł do szafy. - Zajmij te dwie szuflady po lewej.

- Zwykle lubię zajmować te po prawej. - Potrząsnął głową i zaśmiał się. - Mogą być po lewej. - Rzucił bagaże na łóżko i odsunął suwak walizki. - A gdzie twoja matka? Szykowałem się całą drogę na to spotkanie. Pracowałem nad przemową, która –ma –zrobić –wrażenie –na –teściowej.

- Będzie wieczorem, a przemowy nie trzeba. - Podeszła do okna, nagle zdenerwowana, zirytowana, sama nie wiedząc, dlaczego. - Powiedz mi lepiej, za czym tęskniłeś. To chyba łatwe.

Peter zamyślił się ze stosem koszul w ręku.

- Głównie za drobiazgami. Za tym, że wiesz, czego mi potrzeba do zdjęcia, nawet zanim ja sam o tym pomyślę. Za tym, że zawsze jesteś zorganizowana we wszystkim... - Przerwał i spojrzał na nią. - Czy długo tu będziemy? Nie zrozum mnie źle, nie chcę od razu wyjeżdżać... - Mamy jeszcze tydzień wakacji, ale gdybyś chciała wyjechać wcze-

śniej... Większość rzeczy zostawię nierozpakowaną.

- Tęskniłeś za tym, że jestem dobrze zorganizowana? - schyliła gwałtownie głowę. - Peter, każda harcerka jest też dobrze zorganizowana, ale to nie oznacza, że trzeba zaraz się z nią żenić!

Rzucił na łóżko stertę koszul i podszedł do niej bliżej.

- Nie w tym sensie. Po prostu praca z inną stylistką uświadomiła mi, jakim byłem idiotą. Ty i ja - to jak dobrze naoliwiona maszyna. Jesteśmy jak Hepburn i Tracy fotografii kulinarnej. Gable i Lombard książek kucharskich*.

*Flip i Flap miłości*** - pomyślała, po czym potrząsnęła głową, zastanawiając się, skąd jej przyszło do głowy takie skojarzenie. Miłość nigdy nie była zasadniczym tematem. A czyż Hepburn i Tracy nie mieli za sobą długiej i szczęśliwej kariery? Dobrze naoliwiona maszyna - jak powiedział Peter.

Przy całym swoim zdecydowaniu nie mogła się jednak powstrzymać od wyjrzenia przez okno, kiedy usłyszała ryk motoru odjeżdżającej ciężarówki Sama.

- Wyobrażałem sobie, że zaczniemy zdjęcia potraw i wnętrz od jutra - powiedział Peter, stojąc znowu przy łóżku. Przekładał ubrania z walizki do szuflad. - Co mam włożyć na siebie dziś wieczorem na przyjęcie?

*Katherine Hepburn i Spencer Tracy, Clark Gable i Carol Lombard - gwiazdy kina amerykańskiego, tworzące wyjątkowo zgrane pary (przyp. tłum.).

***Flip i Flap* (w oryginale *Laurel i Hardy*) - Stan Laurel i Oliver Hardy, para komików kina amerykańskiego lat trzydziestych (przyp. tłum.).

- Coś swobodnego. „Tap Room” to nie żadne wytworne miejsce. - Spojrzała na łóżko i ponownie na Petera. - Więc nie obchodzi cię, co się stało w tym tygodniu; czy tak?

- Oczywiście, że mnie obchodzi. Ale podejrzewam, że byłaś na mnie wściekła, więc pewnie poszłaś gdzieś, bawiłaś się z innymi dziewczynami... - śmiał się, wieszając jej na szyi dwa aparaty. - A jeżeli ten kapelusz jest jakąś wskazówką, bawiłaś się na całego.

Podeszła do miejsca, gdzie obwieszony wstążkami kapelusz wisiał na oparciu krzesła.

- Zrobiły mi przyjęcie weselne. - Popatrzyła na lśniące czarne piórko, trzymane w ręku i wetknęła je pomiędzy kokardy. - Podarowały mi uroczę prezenty. - Podeszła do lustra i włożyła kapelusz na głowę. Wstążki huśtały się jej przed oczami, kokardy były bardzo brzydkie. Nawet z tym piórkiem nie był to w żadnym wypadku Monet*. Ale może bez tej niebieskiej sukienki...

Ściągnęła kapelusz i położyła go na komodzie. To naprawdę nie było w jej stylu i Petera mogłoby zaszokować. Jego twarz pojawiła się w lustrze nad jej ramieniem.

- Co robisz? - wyszeptał.

- Nic. - Przebiegła palcami po strusim piórku i spojrzała na niego ponownie. - Peter, musimy porozmawiać o tym ostatnim tygodniu. Były jakieś kłamstwa, były rzeczy, jakie zrobiłam.

- Z mojego powodu. - Zawahał się chwilę, po czym objął ją i przyciągnął do siebie. - Nie przygotowałem przemowy, więc będę improwizował. Nie powiedziałaś tego, ale wiem, że musiałaś się czuć dotknięta, że nie dzwoniłem aż do wczoraj wieczór. I mam nadzieję, że

*Claude Monet (1840 - 1926) francuski malarz, czołowy przedstawiciel impresjonizmu (przyp. tłum.).

mi wierzysz, kiedy mówię, że przyjechałem tu nie dla tematu, chociaż planuję coś niecoś tu zrobić.

-Delia mówiła mi, że lubisz stare Południe. Zrobił zażenowaną minę.

-Ta kobieta sprawia, że gadam najgłupsze rzeczy.

- To nic głupiego - zaprzeczyła. - I naprawdę wierzę, że nie przyjechałeś tu tylko dla reklamówki. Ale zorientowałam się, jak mało wierzy o sobie nawzajem. - Dotknęła ręką jego twarzy, starając się przywołać w pamięci inne rysy, linię innej szczęki, wygięcie innych ust. - Dlaczego tak jest?

Potrząsnął głową i spojrzał jej w oczy.

-Po prostu zawsze jesteśmy zbyt zajęci, żeby rozmawiać o innych sprawach. Praca, studio...

-Meble biurowe - dodała spokojnie i przycisnęła palcem jego brew, wygładzając zmarszczkę, jaka powstała, gdy się skrzywił. - I dlatego muszę ci powiedzieć, co się wydarzyło.

-Proszę, nie mów - powiedział łagodnie, jakby z błaganiem. - Max, podoba mi się sposób, w jaki jesteśmy ze sobą. Oczywiście, jesteśmy bardzo zajęci pracą, ale i to mi się podoba, a będziemy mieli całe życie, by nadrobić te wszystkie drobne sprawy. - Sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. - Ustalmy datę teraz, właśnie teraz. -Wyciągnął kalendarzyk i wręczył jej. - Zaznacz datę, jaką tylko zechcesz i to już będzie oficjalne.

Max spojrzała na kalendarz.

-Październik jest tutaj piękny, z tymi swoimi kolorami...

-Wobec tego pierwsza sobota października. - Peter uśmiechnął się. - Co ty na to?

-Wspaniale - odparła i oddała mu kalendarzyk. Gardło miała dziwnie suche i ściśnięte. Dlaczego, jeżeli spełniało się wszystko, czego

pragnęła? Przyszłość układała się przed nią prosto jak strzała, zgodnie z jej planami, z oszałamiającą karierą, dobrym mężczyzną u boku i solidnymi podstawami. Bo nie miała żadnych wątpliwości, że Peter będzie równie solidnie budował ich małżeństwo, jak niegdyś swoją karierę w biznesie. Będą mieć dom, dzieci, ubezpieczenie na życie, hipotekę. Żadnych niespodzianek, żadnego ryzyka. Żadnego wpadania w długie, ciemny tunel. Życie bezpieczne i wygodne, z dala od Schomberg i od człowieka, który sprawił, że uwierzyła, iż jest zupełnie w porządku pić piwo z wódką, kąpać się nago w świetle księżyca i snuć marzenia o miejscu zwanym Blue Ridge Cafe. Miejscu, które nie istniało, nawet nie mogło istnieć nigdzie indziej poza jej wyobraźnią.

Przełknęła zatem kulę w gardle i przygotowała się do powrotu do dawnego życia - znowu i już na zawsze. Ale nawet, kiedy schyliła się, by złożyć delikatny pocałunek na wargach Petera, nie mogła przestać marzyć o tym, co by się stało, gdyby pozostała naga w wodzie choćby tylko chwilę dłużej.

Wysunęła się z ramion Petera, ujęła jego rękę i poprowadziła do drzwi.

- Masz rację, będziemy mieli czas na wszystkie szczegóły. Ale właśnie teraz jest dobry moment, żeby omówić chociaż kilka z nich. Prezenty z przyjęcia są w sąsiednim pokoju. W dawnym pokoju mojego brata, Briana.

Sam zrobił wszystko, co możliwe, by z pomocą ekranu, przeniesionego z frontu jadalni stworzyć zaciszną niszę w rogu baru. Stół zastawił srebrem i porcelaną swojej matki - talerze ze złotą obwódką, ozdo-

bione różyczkami, przez długi czas ukrywane były w pudle, które ojciec zapakował, zabezpieczył i trzymał w piwnicy razem z innymi pamiątkami po matce.

Powoli, ale zdecydowanie Sam wyciągał je i odkurzał, ratując, co się da z przeszłości, dla swoich jeszcze nie narodzonych dzieci. I teraz kiedy ustawiał kieliszki do wina przy talerzach, niemal je widział: dziewczynkę z dużymi niebieskimi oczami i ciemnowłosego chłopca. Oboje tak podobni do kobiety, która tego wieczoru usiądzie tu przy stole z mężczyzną, którego ma poślubić. Z fajnym facetem, którego Sam nie mógł nienawidzić, nawet wtedy, gdy obrazy dzieci powstałe w jego wyobraźni powoli zanikały.

Cofnął się, zadowolony, że przy kolacji będzie tylko sześć osób, jako że niektóre z nakryć potłukły się w pudle i dodatkowa osoba musiałaby zadowolić się normalnymi talerzami z kuchni. Niedobra porcelana, pomyślał i niemal równocześnie odłożył wspomnienia na bok.

Ciągle jeszcze nie był pewien, co chciał osiągnąć, kiedy wysyłał pierwsze zaproszenie. Może chodziło mu o to, żeby chociaż raz jeszcze ją zobaczyć, zanim wyjedzie. A może o coś gorszego - ostatnia próba zerwania zaręczyn, pokazanie jej, jak wielki błąd popełnia. Ale chociaż pewnie tak było, wiedział, że już teraz nie jest. Nie po tym, kiedy zobaczył ich razem.

Niewątpliwie zależało im na sobie. A jeżeli życie z Peterem było tym, czego chciała, nie wolno mu próbować jej przeszkadzać. Wzniesie zatem toast za narzeczoną i narzeczonego i będzie żył dalej, jak przedtem.

Uniósł głowę, gdy usłyszał zza ekranu nagły wybuch śmiechu, muzykę i głośne rozmowy. Była sobotnia noc, najbardziej dla niego pracowita. Według ostatnich obliczeń w barze były teraz pięćdziesiąt trzy

osoby; nie, żeby było ich za dużo: fajna mieszanka miejscowych i przyjezdnych z dalszych osiedli. Sam myślał już o zamknięciu baru tego wieczoru, ale nie mógł ryzykować odprawiania gości od drzwi: na to był tutaj zbyt krótko. Włączył więc jakiś niezły utwór rockowy, ściszył dźwięk i, kiedy szedł do kuchni, mógł tylko mieć nadzieję, że Max go zrozumie.

- Nie, nie, nie! - wykrzykiwał Michael, podając talerze ze skrzydełkami i frytkami kelnerce i równocześnie pędząc z powrotem do pieca. - Musisz ubijać lekko i szybko. Och, na litość boską... - Wyrwał rondel z rąk kuchcika. - Sam skończę ten sos. Ty zajmij się hamburgerami.

Kiedy młody chłopak zawrócił ku grillowi, Michael zniżył głos i mrugnął do Sama.

- Takie są skutki, kiedy bierze się pracowników z ulicy.

- Wyszkoli się - powiedział Sam, podchodząc do menu na tablicy, kiedy tamten układał tace w stosik. - Kozi ser i galaretka z porów?

- Na zakąskę. Jak pizza, tyle że lepsze. I gwarantuję, że wyprowadzi z równowagi Bena.

- Zawsze fajnie jest widzieć człowieka, który lubi swoją pracę. - Sam postukał palcem w kartkę menu. - Co to jest „Saganaki”?

- Zobaczysz - Michael niemal śpiewał, wypychając Sama z kuchni. - Po prostu wyluzuj się. Tę kolację na pewno zapamiętasz.

- O, na pewno - potwierdził Sam, sprawdzając zegar. Wyszedł na zewnątrz i zastanawiał się, gdzie teraz może być Ben. Powiedział, że przyjdzie wcześniej, żeby skończyć pracę w browarze, zanim siądzie do kolacji. Wzrok Sama prześlizgnął się po czajnikach i pojemnikach

po przeciwnej stronie szklanej ściany, ale nie dostrzegł tam znajomej sylwetki w kombinezonie, schylonej nad urządzeniami.

Nie miał jednak czasu, by nadal o tym myśleć, bo frontowe drzwi otworzyły się i do środka wkroczyła Max, a za nią Peter, Ewa i Delia.

Max była w czerwonej sukience. Dostatecznie obcisłej i krótkiej, by Samowi zaparło dech. Musiał się zatrzymać. I przypomnieć sobie na czas, że Peter ma całkowite prawo do obejmowania jej w pól.

Peter coś opowiadał, ona potakiwała, ale natychmiast po wejściu spostrzegła Sama. Jej oczy - podniesione, szukające go, jakby wyczuwające jego obecność w głębi sali, jego wzrok zatopiony w niej. Ale uśmiechała się po prostu grzecznie, kiedy podszedł, by się z nimi przywitać.

Nie był jednak dostatecznie szybki: kilka osób w barze ubiegło go, podając ręce nowo przybyłym, ściskając ich i gratulując.

Max po chwilowym wahaniu opanowała się i przedstawiała narzeczonemu gości. Peter również zachowywał się jak należy, ściskając dłonie i zgrabnie unikając odpowiedzi na pytania, gdzie się podziewał w zeszłym tygodniu i o słynną książkę kucharską. Max musiała mu więc opowiedzieć o kłamstwach, wytłumaczeniach, jakich musiała udzielać, by ukryć jego nieobecność. Sam był zadowolony, widząc błysk poczucia winy w oczach mężczyzny za każdym razem, kiedy spoglądał na Max.

Kiedy zbliżył się do gości, zauważył kilka spojrzeń wędrujących do Max i z powrotem do niego. Postanowił więc nie przyglądać się jej za długo i zbyt intensywnie. Wiedział, że próby opanowania przez Bena plotek po przyjęciu nie wystarczą, żeby zapobiec ich szerzeniu się i

gorączkowym spekulacjom. Kolejny odcinek serialu „Maxine w niebezpieczeństwie”.

Ale mimo że wszystko to go nękało, nie wierzył, by było coś złego w plotkach czy rozmowach. Wynikały z prostej ciekawości. Chęci przybliżenia kawałka historii tego miasta.

Brian i Gwen stali się częścią historii Schomberg od tego pamiętnego lata; opowiadało się o nich równie często, jak o strasznej śnieżycy w siedemdziesiątym trzecim, czy o pustelniku, który kiedyś mieszkał tu na szczycie góry. Chcąc nie chcąc Max była także częścią tej historii. Ale, w przeciwieństwie do śnieżycy czy pustelnika, jej historia nie miała jeszcze zakończenia.

Kiedy Sam rozejrzał się wokoło, wiedział, że wszyscy właśnie na to czekali, zaciekawieni, jak rozstrzygną się sprawy Max. Sam zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim Max do tego dojdzie.

Ewa dotknęła jego ramienia, aż drgnął, zaskoczony.

- Czy widziałeś Bena? - spytała.

- Bena? - spojrzał na nią. - Myślałem, że jest z tobą.

- Powiedział, że spotka się z nami tutaj. - Podeszła do drzwi i wyjrzała na ulicę. - Nigdy dotychczas się nie spóźniał.

Spodziewając się, że Ben tak tego nie skończy, Sam zaśmiał się i spróbował odciągnąć ją od drzwi.

- Pewnie poszedł na hamburgera do Cy's.

Spojrzała na niego i podeszła do okna.

- Powiedział, że Michael szykuje dzisiaj jedzenie. Jeżeli jego reputacja chociaż w części odpowiada prawdzie, będziemy mieli na kolację cuda w galarecie.

Delia zerknęła na Sama.

- Czy jest aż tak zły?

- Albo tak dobry - to kwestia gustu. - Podał jej rękę. Ty jesteś pewnie Delia; widziałem cię na planie.

- Przyznaję się. - Popatrzyła w stronę, gdzie Max i Peter ściskali coraz więcej dłoni i przyjmowali kolejne gratulacje. I co chwila ręka Petera spoczywała na smukłym ramieniu Max.

Sam zbliżył się do Delii i powiedział zniżonym głosem:

- Powiedziałbym, że to sukces.

- Byłby i bez tego - odparła cicho, niemal szeptem. - Ale musiałam być pewna.

Sam odrzucił głowę do tyłu.

- Pewna czego?

Peter spojrzał na nich, jakby poczuł na sobie spojrzenie Delii i Sam dostrzegł, jak jego uśmiech zmienia się, staje się łagodniejszy, bardziej szczerzy.

- Że się ożeni - szepnęła i zaraz potem zmarszczyła nos, rozśmieszając tym Petera. Potrząsnął w końcu głową i odwrócił się. - Tworzą piękną parę - powiedziała, a Sam nie był pewien, kogo starała się przekonać - jego czy siebie samą.

Zanim jednak zdołał zapytać, już jej nie było. Przyłączyła do Ewy i już z nią obserwowała drogę przez okno, kiedy Peter podszedł do Sama i klepnął go po ramieniu.

- Chcę ci jeszcze raz podziękować za zaproszenie.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność - odpowiedział i dopiero wtedy odważył się spojrzeć wprost na Max. - Wasz stół jest gotowy.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziała i nie był pewien, co go w tym powiedzeniu bardziej rozdrażniło - oficjalny ton, czy sztuczność.

Sztuczność - stwierdził w końcu. Oboje starali się prowadzić zwykłą rozmowę i udawali, że nic między nimi nie iskrzy.

- Muszę cię ostrzec, że jesteśmy naprawdę w świątecznym nastroju - rzekł Peter, odciągając go na bok.

- W porządku, jesteście we właściwym miejscu - odparł Sam, prowadząc ich między stołami do niszy na tyłach sali.

Ale Peter zatrzymał się nagle i rozejrzał.

- Wiesz co? Myślę, że powinniśmy teraz pozwolić sprawom toczyć się swoim torem.

Poszedł kilka kroków za Samem i podniósł rękę.

- Mogę prosić o chwilę uwagi? - Wziął Max za rękę, a Sam ujrzał, jak opuściła głowę, kiedy Peter wysunął ją przed siebie. - Jak wielu z was już wie, ja i Maxine obchodzimy dziś swoje zaręczyny i bylibyśmy szczęśliwi, gdy byście też wzięli w tym udział. - Zwrócił się do barmana. - Następna kolejka na mój koszt. Pijemy za ten lokal.

Podniosły się radosne okrzyki, a Peter zwrócił się do Sama.

- Zapisz to na mój rachunek, a ja później załatwię sprawę - powiedział spokojnie, po czym nagle odsunął ekran. - I dajmy sobie spokój z tym, dobrze? Zrobimy wielkie, ogólne przyjęcie.

Max odciągnęła go na bok.

- Ale przecież Sam zadał sobie cały ten trud, żeby urządzić nam intymne...

Peter zwrócił się do Sama:

- Nie zależy ci na tym, prawda? Odpowiedź Sama skierowana była do Max.

- Jak ci się podoba.

Wiedział, że była bliska sprzeciwienia się decyzji Petera; po chwili jednak wzruszyła ramionami i wskazała ekran.

- Zabierz to.

- Złap go z drugiego końca - dyrygował Peter - i wynieśmy to stąd. Czy możemy coś zrobić z muzyką? - Nie czekając na odpowiedź

podniósł po prostu rękę i dał znak barmanowi. - Mógłbyś dać trochę gorętszych rytmów?

- Nie ma sprawy - krzyknął barman w odpowiedzi i w ciągu sekundy bar rozbrzmiał dźwiękami salsy.

Peter rozejrzał się.

- Teraz potrzebujemy tylko trochę miejsca do tańca. Max potrząsnęła przecząco głową.

- Peter, to nie są zdjęcia. Skrzywił się i zwrócił do Sama.

- Wybacz. Rozumiem, że to jest może nie na miejscu, ale naprawdę chciałbym dziś wieczorem zatańczyć z Max.

Sam obserwował, jak jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, kiedy kelnerki biegały, rozdając darmowe drinki. Wszyscy dookoła uśmiechali się, kołysali w rytm muzyki - każdy czekał, co Sam teraz zrobi. Jakiego wyboru dokona?

Uniósł w górę rękę.

- Zabierzmy stąd te stoliki. - Gdyby użył czarodziejskiej różdżki, obsługa nie mogłaby być szybsza. W ciągu paru minut stoliki zostały podsuwane do ściany i duży kwadrat podłogi - osiem na dwanaście metrów - był gotowy do tańców.

Peter podskoczył i tanecznym krokiem wprowadził Max na parkiet. Po chwili przesunięto więcej stolików pod ściany i wiele par dołączyło do tańczących.

- Peter rzeczywiście lubi się bawić - stwierdziła Ewa, która ciągle obserwowała drzwi wejściowe. - Śmieszne, że Max nigdy o tym nie wspominała. - Uniosła się na palcach, wychylając się w bok. - Czy to Ben?

- Chyba tak. - Uspokojony, Sam pomachał do niego, kiedy Peter i Max wrócili do stolika.

- To naprawdę świetna zabawa. - Peter otarł dłonią pot z czoła i dał znak kelnerce. - Czy zamówimy jakąś przekąskę, czy coś gorącego?

Delia, pomóż mi.

Wzruszyła ramionami i sięgnęła po szklanę z wodą. -Poproś Sama albo Bena. Czy ja się na tym znam?

- Dostatecznie, żebym się cieszył, że w środę będziesz z powrotem.
- Uśmiech zagasł na ustach Petera, kiedy spojrzał na nią. - Nie masz pojęcia, jak mi cię brakowało.

Skinęła głową, nie podnosząc oczu znad szklanki.

- Taak, trudno dać sobie radę z tymi rachunkami. Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, podniósł się i zwrócił do Bena i Sama.

- Panowie, co macie dobrego?

- Zależy, czego chcesz - odparł Ben i nawet Ewa przyłączyła się do dyskusji. Tylko Max widziała, jak Delia wstała i wyszła.

Widziała, jak przechodzi między stolikami do damskiej toalety. Zastanawiała się, dlaczego tak odburknęła Peterowi i czemu zostawiła przy stole torebkę. Max ściągnęła torebkę Delii z oparcia krzesła, wstała i poszła za nią.

Pchnęła drzwi i wetknęła głowę do damskiej toalety.

Delia stała samotnie przed lustrem w pomieszczeniu, ciasnym i praktycznym, z czystą białą podłogą, ścianami w kaflach i słabym zapachem środka dezynfekcyjnego. Pomieszczenie, jakiego w żadnym wypadku Max nie zaakceptowałaby we własnym lokalu. Ale znowu: to był lokal Sama, nie jej. I nigdy nie będzie jej.

Stanęła w drzwiach i podniosła w górę torebkę.

- Pomyślałam, że możesz tego potrzebować.

Delia kiwnęła głową i rzuciła otwartą torbę na stół, ale starała się unikać wzroku Max.

- Dobrze się tam bawią.

- To nadzwyczajne, ile może działać odrobina muzyki. - Max oparła się o brzeg kontuaru i spojrzała na

odbicie Delii w lustrze. - Nic nie powiedziałaś, jak poszło z małym ZOO.

- Bajecznie. Przysięgam, że jeśli kiedykolwiek będę bogata, kupię sobie lamę. - Delia odkręciła ciemnoczerwoną szminkę i zbliżyła twarz do lustra. - Ewa zarzeka się, że jeżeli codziennie głaszcze się lamę, nie dopada człowieka żaden stres.

Max roześmiała się.

-Ewa przysięga także, że jej pies jest wysoce inteligentny, tak że uważaj.

-W porządku - wierzę jej. Między Bogiem a prawdą nie pamiętam już, kiedy ostatni raz tak się dobrze bawiłam. - Mówiąc to, machała szminką w okolicach warg, ale ich nie dotykała. - Dlatego myślę, że może zostanę tu na trochę. Cisnę do diabła dokumentację i wynajmę pokój u twojej matki na lato. Żeby naprawdę głaskać lamy.

Max patrzyła na odbicie Delii w lustrze.

-Na całe lato? Ależ Peter bez ciebie nie da sobie rady.

-Da sobie, bez wątpienia - zapewniła Delia i wrzuciła z powrotem nieużytą szminkę do torebki. - O asystentów najłatwiej. - Uśmiechnęła się lekko do Max. -Wiesz, o co naprawdę trudno? O miłość.

Max spuściła oczy na umywalkę.

-Tak mi mówiono.

-Ale talizman miłosny zadziałał: Peter jest tutaj, a my powinniśmy wrócić na salę i świętować. - Delia zatrzasnęła torebkę i skierowała się do drzwi. - Niedługo będziesz szła przez nawę kościelną. Wtedy wszyscy będziemy mogli odsapnąć.

Ostatnie słowa niemal wymamrotała, już przechodząc przez drzwi; powiedziała je bardziej do siebie samej i pozostawiła Max bardziej zmieszana, niż kiedykolwiek.

-Delio! - zawołała Max i pobiegła za nią. Dogoniła ją w korytarzu przed toaletą. Delia poprawiała teraz spódnicę, obciągała ją w dół, wygładzała wokół bioder. Bezmyślne czynności, jak przedtem ze szminką. I tak niepodobne do Delii, że Max zatrzymała ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

-Delio, co się z tobą dzieje? - spytała Max zaskakująco łagodnym głosem, z wahaniem, chociaż nigdy w życiu nie zgadłaby sama, dlaczego. - Co chciałaś powiedzieć przez „wszyscy będziemy mogli odśpinać”?

-Było dotąd za dużo napięć, to wszystko - odparła Delia. Ale Max zauważyła, że nawet ten zbyt promienny uśmiech teraz zniknął z twarzy Delii. Nie patrzyła także wprost na Max. - Wszystkie te „zechce - nie zechce” i „a co będzie, jak nie przyjedzie?”. Po prostu miło jest wiedzieć, że to wszystko się skończyło i wyjdiesz za mąż.

Max weszła za nią do zatłoczonego baru, starając się odgadnąć, co takiego było w jej głosie, jej zachowaniu. Udało się jej to dopiero, kiedy Delia zatrzymała się tuż przed ich stołem i niespodziewanie skierowała się do baru. O'Boże! Jak mogła dotychczas tego nie dostrzec!

Max wskoczyła na wysoki stółek obok Delii, kiwnęła głową kobiecie ze swojej drugiej strony, po czym przysunęła się blisko do Delii i zniżyła głos do szeptu.

-Ty go kochasz, prawda?

-Czyś ty nie była dziś za długo na słońcu? - odpowiedziała Delia pytaniem, z wymuszonym śmiechem, kiedy barman stawiał przed nią kufel piwa.

Ale żadna z nich nie była naiwna.

Max zwilżyła wargi i rozejrzała się dookoła.

-Od dawna go kochasz?

-Och... to strasznie kłopotliwe. Nigdy nie chciałam, żebyś się dowiedziała.

- Delio - powtórzyła Max łagodnie, ale z naciskiem -od jak dawna?

Delia z westchnieniem odchyliła się do tyłu.

- Od pierwszego dnia mojej pracy w studio.

Max potrząsnęła głową, oparła łokcie na ladzie i starała się nie zwracać uwagi na parę z drugiej strony baru, która bezwstydnie się na nie gapiła.

- Więc dlaczego, zamiast walczyć o swoje, przyjechałaś tutaj pomóc mi go odzyskać?

Uśmiech Delii był słaby i niepewny.

-Bo on nigdy nie widział we mnie nic poza asystentką. Nigdy. Wiele razy starałam się zwrócić jego uwagę, jeszcze zanim ciebie poznał. Urządzałam kolacje u siebie w domu... wiesz, wino, piękna muzyka i tak dalej. Ale nic do niego nie docierało.

-Mężczyźni potrafią być tępi - przyznała Max i ni stąd ni zowąd w jej umyśle pojawił się obraz Laverne i Squiggy'ego.

-I wtedy zjawiałaś się ty - ciągnęła Delia - i oboje tak doskonale pasowaliście do siebie. Twoja energia, kiedy pracujesz, nie da się porównać z niczym, co kiedykolwiek widziałam. I, żeby było jeszcze gorzej, naprawdę cię polubiłam. Jesteś głęboka, skoncentrowana, wiesz, czego chcesz od życia i osiągasz to.

-Tak to wygląda, prawda? - spytała Max tak cicho, że sama ledwie siebie słyszała.

-Więc kiedy poprosił cię o rękę, to było jakby ciężar spadł mi z serca. W końcu ktoś go zajął, naprawdę go zajął, co oznaczało, że powinnam przestać wzdychać i żyć dalej tak, jak przedtem.

-Max! Delio!

Obejrzały się i zobaczyły Petera na brzeżku parkietu, z rękami uniesionymi, jakby pytał „Co się dzieje?”.

- Lepiej tam wróć - powiedziała Delia, machając do niego ręką.

Max uśmiechnęła się do Petera i zwróciła do Delii.

- A ty nie pójdziesz?

- Za chwileczkę. - Zsunęła się ze stołka, ale nie ruszała się z miejsca. - Czy myślisz, że twoja matka nie będzie miała nic przeciwko temu, żebym została na farmie?

- Przeciwno? - Max zaśmiała się. - Jestem pewna, że będzie zachwycona. Wy obie rozumiecie się lepiej, niż kiedykolwiek ja z nią.

- Zadzwoń do domu, nim usiądę; powiem im, że przez jakiś czas mnie nie będzie. I zastanowię się, co mam powiedzieć Peterowi. - Przerwała i spuściła wzrok. - Mam nadzieję, że mi wierzysz, że naprawdę cieszę się z twojego szczęścia.

Max kiwnęła głową, zdumiona i upokorzona. Zastanawiała się, jak do tego doszło, że w takiej sytuacji przyjaciółka daje jej swoje błogosławieństwo.

- Dobrze, bo chcę, żebyś wiedziała, że jeżeli kiedykolwiek znowu wdasz się w jakieś talizmany miłosne i nie powiesz mi o tym - podniosła głowę i uśmiechnęła się - przysięgam, że cię odnajdę.

Peter wziął Max za rękę, kiedy znalazła się na parkiecie.

- Czy coś się stało?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Delia po prostu poszła zadzwonić do domu, powiedzieć im, kiedy wraca.

Peter kiwnął głową.

- Ona jest bardzo blisko z rodziną - powiedział, kiedy szli - i Max nie mogła powstrzymać się od myśli, że nie jest jednak tak bystry, jak sobie dotychczas wyobrażała. Jak mógł nie zauważyć, co czuje Delia? Pracować z nią codziennie i nie widzieć tego?

A jak z kolei ona mogła spędzić z Delią cały tydzień i nie mieć o tym pojęcia aż do tej chwili, pięć minut temu?

„Dobrze to ukrywała”, zdecydowała Max. Zatrzymała się i obejrzała. „Albo po prostu nikt nie zwracał na nią uwagi”.

- Ben ofiarował się pokazać nam browar - mówił Peter, obejmując ją w pasie i pociągając za sobą do stołu.

Siedzenia były puste, dzban z piwem stał nietknięty pośrodku stołu.

Peter przedzierał się przez tłum w kierunku szklanych ścian browaru.

- Ben jest już tam z Ewą. - Zwrócił się znowu do Max. - Poproszę

ich, żeby poczekał parę minut, aż Delia przyjdzie.

- Nie, nie rób tego. - Max zdała sobie sprawę, że powiedziała to zbyt szybko, kiedy tylko Peter zwrócił się do niej. A ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała Delia, było wzbudzić ciekawość Petera. Wzruszyła więc obojętnie ramionami i odsunęła krzesło. - Oczywiście, to zależy od ciebie, ale wiesz, jak to jest, kiedy Delia rozmawia z siostrami.

Peter zmarszczył brwi.

-O, to może trwać godzinami.

-Dlatego uważam, że powinieneś tam pójść, a ja zaczekam. - Siadła i upiła łyk wody. - Dołączymy do was, jak tylko Delia wróci.

-Jeżeli tak sądzisz... - już szedł w tamtą stronę, wołając do niej przez ramię: - Nie będziemy tam długo.

-Baw się dobrze - odkrzyknęła, po czym znowu usiadła, układając kawałki chleba, wlewając sobie piwo do szklanki, z uczuciem, że jest na tym przyjęciu zupełnie samotna.

Siedziała przy stole, który Sam dla nich przygotował. Dopiero teraz dostrzegła ważne szczegóły: kwiaty, dotychczas nie zapalone świece - i wzruszyła ją troskliwość, z jaką przygotował to wszystko. Czubkami palców przebiegła po złotej obwódce talerza, uniosła w górę kryształowy kieliszek do wina; pamiętała ten wzór z czasów, kiedy siadywali oboje przed szklanymi drzwiami kredensu jego matki. Piękne nakrycia, traktowane z respektem i używane tylko przy specjalnych okazjach. W Dniu Dziękczynienia, na Boże Narodzenie. A teraz - na jej zaręczyny.

Uniosła wyżej kieliszek, przypatrując się grze świateł i kolorów w kryształach. Myślała o mamie i tacie Sama, tańczących przy szafie grają-

cej, całujących się w kuchni - tak w sobie zakochanych po przeszło dwudziestu latach małżeństwa; nic dziwnego, że Sam wzrastał w wierze, że miłość jest kluczem do długotrwałego związku i był przeświadczony, że wpadanie w jamę króliczą prowadzi najwyżej do przytulnego małego sanktuarium - ogniska domowego.

Ale Delia też tak wpadła i dokąd ją to zawiodło? Wisi oto przy telefonie i gada z rodziną, tracąc czas na rozmowy międzymiastowe, bo człowiek, w którym się zakochała, nie miał dosyć rozumu, żeby odwzajemnić tę miłość.

Max westchnęła i odstawiła kieliszek; kątem oka pochwyciła spojrzenie pary, siedzącej przy sąsiednim stole: uśmiechali się do niej, jakby była najmiłszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkali. Wyobrażali sobie na pewno, że w kryształach kieliszka widziała ślubny welon i róże, a nie długie, ciemne tunele i rachunki telefoniczne.

Ale kimże ona była, żeby rozwiewać złudzenia obcych ludzi? Powinna to zachować dla swoich przyjaciół. Uśmiechnęła się zatem w odpowiedzi i usiadła ponownie, w nadziei, że wycieczka po browarze niedługo się skończy.

Spojrzała przez szklane ściany do browaru, myśląc, że mogłaby w końcu przyłączyć się do nich, kiedy dostrzegła za szybą Bena i Ewę, pograżonych w rozmowie. Chyba poważnej, sądząc z postawy Ewy i z faktu, że Ben nie patrzył na nią. Spoglądał w dół na swoje stopy, rozglądał się po garnkach - człowiek małomówny, przemawiający raczej gestem.

Ale o czymkolwiek mówili między sobą, rozmowa przerwała się, kiedy w rogu obok wielkich garów pojawił się Peter, wskazując coś, czego Max nie mogła dostrzec. Ewa i Ben odsunęli się od siebie i skupili uwagę na Peterze, ale każde z nich od czasu do czasu zerkało na

drugie, nie starając się jednak zbliżyć do siebie ponownie. Rozmowa była skończona, niczego nie postanowiono i Max ze swojego miejsca była w stanie wyczuć napięcie pomiędzy nimi. Czyż miłość nie jest wspaniała? - pomyślała i z westchnieniem przeniosła uwagę na Petera.

Stał teraz przy cysternie z nierdzewnej stali, wspinając się na niską drabinę, by lepiej widzieć. Wiedziała, że zawsze fascynowały go szczegóły; temu właśnie częściowo zawdzięczał swoją karierę fotografa. Ale po dniu spędzonym z nim na farmie wiedziała jeszcze, że miał siostrę - czarną owcę; że kochał fantastykę, ale nigdy nie miał czasu na czytanie; a także, że w Wirginia Beach wyrzucił z pracy stylistkę za to, że zepsuła lampę i niemal spowodowała pożar w studio.

To było na chwilę przedtem, zanim nadeszła koperta od Delii. Był pewien, że to jakiś znak.

Poszukała wzrokiem Ewy, pomyślała o Delii - obie zakochane i obie nieszczęśliwe. A ona sama - na drodze do życia, jakiego pragnęła i wiedziała, że Peter ma rację. To był znak.

Jak uśmiechający się księżyc.

- Co taka urocza dziewczyna, jak ty, robi w takim miejscu?

- Jesteś beznadziejny - odparła z uśmiechem i odwróciwszy się, zobaczyła, jak Sam siada przy stole i nalewa sobie szklanek piwa z dzbanu.

- A ty mnie unikasz. - Zrobił ruch w kierunku jej szklanki. - Nalać ci?

Potwierdziła skinieniem i patrzyła, jak przechyla dzban, wiedząc, że nie powinna okazać zaskoczenia. Po prostu był typem mówiącym bez ogródek i nie wykręcającym się rozmówkami o pogodzie czy cenach

żywności. Nie wtedy, gdy miał co innego na myśli.

- Myślałam, że to najmądrzejsze w zaistniałych warunkach - powiedziała, nie widząc powodu, by odpowiedzieć nieszczerze.

- Chyba masz rację - powiedział i spojrział na nią z grymasem, odstawiając dzban na stół. - ...w zaistniałych warunkach.

Wiedziała, że powinna go teraz przeprosić, wstać i poszukać Petera, albo oderwać Delię od telefonu. Cokolwiek - byle tylko nie być z nim sam na sam. Ale przy całej dobrej woli nie była w stanie zmusić się do odejścia, zachowywać się chłodno i z dystansem. Fatalnie, bo właśnie odsunął krzesło od stołu i wyraźnie chciał usiąść kolo niej.

Roześmiała się i sięgnęła po szklanę, zastanawiając się, jakie niebezpieczeństwo może jej grozić w sali pełnej ludzi.

Stał przez moment, obrzucając salę badawczym spojrzeniem, odpowiadając na pozdrowienia i uśmiechy, zagonioną kelnerkę zwolnił na pięć minut, by odpoczęła, kiedy już porozdaje drinki; barmana i pomocnika pochwalił za to, że muzyka gra bez przerwy.

Był urodzony do tej pracy, stwierdziła. Do pracy z ludźmi, krzątający, wyzwania, by stworzyć coś od początku do końca. Znów był częścią tego miasta, pasował tu doskonale i łatwo - w sposób, jaki jej nigdy by się nie udał.

- Właściwie nie jest to tak do końca taki wieczór, jak planowałem, - powiedział, zwracając się znowu do niej - ale ludzie wydają się świetnie bawić na waszym przyjęciu.

Przytaknęła.

- Wygląda na to, że jest dzisiaj pełno. A to znaczy, że powinieneś stale mieć tu miejsce do tańców.

- Albo Petera jako szefa socjalnego.

Max potrząsnęła głową i zaśmiała się.

- Wierz mi, na co dzień jest zupełnie inny. Nie wiem, co dzisiaj w niego wstąpiło.

- Jest po prostu szczęśliwy. Jak większość narzeczonych. - Usiadł naprzeciw niej, w odpowiedniej odległości, co uznała za bardzo rozsądne przy tym tłumie gapiącym się na nich.

Ale, co dość absurdalne, była świadoma, że pod stołem, pod obrusem, jego nogi znalazły się zaledwie o kilka centymetrów od jej nóg. Musiałaby tylko lekko przesunąć swoje w lewo, by się zetknęły.

Odchylił się na krześle ze szklanką w rękę, a ona czekała, niepewna, w nadziei, że zaraz zjawi się tu Peter, Delia, czy nawet pomocnik kelnera.

- A zatem - spytał - czy wyznaczyliście już datę?

- Pierwsza sobota października.

- Będzie na pewno pięknie o tej porze roku.

- Tak myślimy. - Zerknęła tam, gdzie ostatnio widziała Petera, w dalszym ciągu czując na sobie wzrok Sama. - Oczywiście to bardzo nieodległy termin, ale Ewa pomoże i zawsze jest...

- Popelniasz błąd - powiedział Sam łagodnie. - Wiesz o tym, prawda?

Odwróciła się od niego.

- Sam, proszę, nie. Nie teraz.

- Nie teraz - powtórzył, po czym pociągnął długi łyk piwa, otarł usta wierzchem dłoni i ze stukiem postawił szklanę na stole. - A kiedy, Max? Kiedy wrócisz już do Nowego Jorku, popsikasz potrawy lakierem do włosów i będziesz się zastanawiać, czy kiedykolwiek znajde klienta na to miejsce, gdzie chciałem postawić twoją kawiarnię?

Odsunęła krzesło.

-Nie mam zamiaru tego słuchać.

-A co będzie po dzisiejszym wieczorze? - ciągnął. Zatrzymał ją na miejscu, posadził z powrotem na krześle wyłącznie siłą słów, wyrazi-
stością głosu. - Kiedy przyjęcie się skończy, pójdziesz do łóżka, bę-
dziesz kochać się z Peterem, a myśleć o mnie.

Zaprzeczyła.

- Nie będę myśleć o tobie.

Chwilę badał spojrzeniem jej oczy, twarz, wreszcie usta jego wy-
krzywił smutny uśmiech. - O tak, będziesz. Tak, jak ja będę myśleć o
tobie. Bo cię kocham. Kocham to, jak się śmiejesz, jak myślisz. Jak re-
agujesz na moje dotknięcie.

-Jak możesz tak mówić? To był tylko tydzień.

-Max, to było całe życie. Myślę, że pokochałem cię na całe życie.

-Sam, proszę.

-Prosisz - o co? Prosisz, żebym kłamał, mówił ci to, co chcesz usły-
szyć, bo prawda byłaby zbyt przykra, zbyt bolesna? - Dostrzegła, że
wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej dłoni, w ostatniej chwili zre-
fleksytował się i chwycił zamiast tego szklanekę. - Prosisz, żebym po-
zwolił ci siedzieć tu i uśmiechać się do Petera, patrzył, jak on cię doty-
ka i udawał, że niczego nie czuję? - Potrząsnął głową i odchylił się do
tyłu, odsuwając się od niej. - Nie, Max, nie mogę tego zrobić. Już nie.
Nie teraz, kiedy pragnę cię tak bardzo, że to aż boli. Wszystko, co po-
winienem robić, to patrzeć na ciebie i wiedzieć, że ty mnie pragniesz
tak, jak ja ciebie. - Wciągnął głęboko powietrze i powoli je wypusz-
czał. - Kocham cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. I - jak by
ci nie było trudno w to uwierzyć - czasami to wystarczy.

Zwilżyła wargi, napotkała jego wzrok i przez jedną szaloną chwilę załamała się, znowu na skraju przepaści, gotowa rzucić się w ramiona tego mężczyzny, tak nieodpowiedniego i znającego ją tak dobrze.

Nagle ktoś odezwał się do niej po imieniu, odciągnął ją, uratował przed nią samą. Spojrzała w górę i dostrzegła powracającego wreszcie Petera.

Sam podniósł dzbanek. Przeklinał samego siebie za głupotę. Nie miał zamiaru zaczynać tej rozmowy. Postanowił, że przysiadzie się do niej tylko dlatego, że Peter oddalił się i zostawił ją samą przy stole zastawionym świecami i kryształami w sali pełnej kufli piwa i precli. Miał po prostu usiąść i odpocząć. Wypić drinka za jej zdrowie. Ale i teraz, kiedy powinien odejść, czuł, że ciągnie go do niej, że nie może się ruszyć.

-Max...

-Nie mogę, Sam - rzuciła pośpiesznie i zaraz przyłożyła rękę do piersi, śmiejąc się, bo ludzie zaczęli odwracać ku nim głowy. A on marzył, żeby zamknąć to przekłete miejsce, kiedy tylko będzie mógł.

-Masz tu wszystko fajnie urządzone - rzekł Peter, patrząc na jedno i na drugie, kiedy zbliżył się do stołu wraz z Benem i Ewą.

-Rzeczywiście - odparł Sam, serwując sobie kolejnego drinka, co pomogło mu nie patrzeć, jak Peter opiera rękę na krześle Max, siadając.

-Czy to jest coś, czego zawsze chciałeś? - spytał Peter i Sam omal nie wybuchnął śmiechem.

-Nie - powiedział, patrząc na Max. - W gruncie rzeczy to dla mnie też niespodzianka.

-O Boże, znowu! - powiedział Ben i Sam odwrócił się, wdzięczny za zmianę tematu; do ich stołu zbliżał się Michael ze skwierczącą patelnią.

Ben przewrócił oczami.

- Znowu coś spalił.

Sam potrząsnął głową i nalał sobie następnego drinka.

- To tylko część widowiska. - Tak, jak wszystko, co dzieje się przy tym stole.

- Panie i panowie - zaczął Michael - dziś wieczór przyrządziłem danie, które nazwałem „Na Cześć Miłości Sześciorga”. - Obrzucił stół szybkim spojrzeniem i na jego twarzy pojawił się niesmak. - Kogoś tu brakuje.

- Mów dalej - szepnęła Max. - Ona zaraz wróci.

- Och, to świetnie - rzekł Michael. Następnie podniósł rękę i, trzymając patelnię wysoko w górze, wlał do niej zawartość małej buteleczki. - Specjalności z najbardziej romantycznych miast świata: Rzym, Paryż, Niagara Falls. - Zachichotał. - To tylko żart.

Ben jęknął, kiedy Michael wyciągnął teatralnym gestem zapalniczkę z kieszeni.

- Zaczniemy naszą podróż od Aten, krainy Afrodyty, bogini miłości. - Pstryknął zapalniczką, przytknął ją do patelni i podniósł naczynie w powietrze, kiedy płomień strzelił w górę, wywołując burzę oklasków i entuzjazm widowni. - „Saganaki” - zawołał, zwracając się w stronę tańczących. - Płonący ser.

- Płonący idiota - wymamrotał Ben pod nosem.

Ewa powstrzymała śmiech i oparła rękę na jego ramieniu.

Ben zerknął na jej rękę, ale nie uśmiechnął się, ani nie odezwał. Nagle odsunął krzesło i odszedł od stołu.

- Saganaki dla czworga - powiedział Michael, bo Ben w dalszym ciągu oddalał się w kierunku drzwi frontowych.

Ewa patrzyła za nim, płomienie na patelni Michaela trzaskały i Sam zorientował się, że Ben już nie wróci. Nie tym razem.

Mądry facet, pomyślał, patrząc, jak Ewa chce wstać, po czym siada z powrotem i ostentacyjnie odwraca się plecami do drzwi - typowa pani Henley, uparta aż do końca.

Peter ponownie zwrócił się do niego.

- Słyszałem, że masz zamiar wkrótce rozbudować salę jadalną.

- Był taki plan. - Sam zerknął na Max. - Tylko trochę, nic specjalnego. Myślałem o dodatkowej salce na przyjęcia i degustacje nowych dań. Ale wszystko na razie jest wstrzymane.

Peter pokręcił głową.

- Jaka szkoda.

- Raczej można to nazwać błędem - sprostował Sam i nie był pewien, czy dostrzegł w jej oczach żal, czy rezygnację.

- To naprawdę wygląda interesująco - powiedział Peter, kiedy Michael wyciskał sok z cytryny na ser i ustawił patelnię na stole. Następnie zwrócił się znowu do Sama. - Daj nam znać, kiedy już zrobisz tę nową jadalnię. Przyjedziemy na wielkie otwarcie.

- Będę o tym pamiętał. - Sam odstawił szklanekę i wstał. - I nie zapomnijcie przywieźć dzieci.

- Dzieci? - Ewa spojrzała zdziwiona, ale nie mogła przestać obserwować drzwi. - Czy planujecie dzieci tak szybko?

Peter zaśmiał się.

- Najpierw odbędziemy całą ceremonię. A propos... - odwrócił się do Sama. - Chcielibyśmy, żebyś był na ślubie, prawda, Max?

- To niemożliwe - odparł Sam, ratując dziewczynę z kłopotliwej sytuacji. Ben na pewno pojedzie, a któryś z nas musi zostać w knajpie. Tak naprawdę dzisiaj jest ta sama sytuacja. - Wstał od stołu. Jeszcze raz gratuluję. Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi.

Peter podniósł się także.

- Chyba nie wychodzisz? Michael zmarszczył się, krojąc ser.

- Saganaki dla trojga.

- Mam kilka rzeczy do zrobienia - odparł Sam i odwrócił się, by powiedzieć Ewie dobranoc.

Ale ona też już wstała, patrząc w drzwi wejściowe. Wzięła do ręki torebkę, odłożyła ją, po czym znowu podniosła.

- Ewo - powiedział Sam. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, niepewna. - Chodź - powiedział. - Po prostu chodź.

Ewa patrzyła na niego i zerknęła niepewnie na Max.

- Idź - powiedziała córka, a Ewa wsadziła torebkę pod pachę i skierowała się do drzwi.

- Mam tylko nadzieję, że nie jest za późno - powiedział miękko Sam i zwrócił się do Michaela. - Nie zapomnij o szampanie.

Ten machnął ręką.

- Przy deserze, a wtedy ciebie już nie będzie.

- Przyjdę może później, jeśli tylko będę mógł. - Zmusił się do uśmiechu, patrząc na Petera. - Ale wy oboje bawcie się dobrze.

Max śledziła go wzrokiem, kiedy odwrócił się i opuścił bar. Widziała, jak przeciskał się między stołami, idąc w kierunku kuchni. Wiedziała, że teraz skłamał pierwszy raz od chwili, kiedy ją spotkał. Na pewno już nie wróci.

- Podaj mi swój talerz - powiedział Michael, ale Max nie była w stanie się ruszyć, ledwie mogła oddychać. To jednak nie miało sensu. On - to był Schomberg i precle, ona - Manhattan i eleganckie magazyny. Nie mieli wspólnych pragnień, nie mogli nawet mieszkać w tym samym miejscu. Nie byli sobie przeznaczeni, to jasne.

Dlaczego więc tak trudno było jej patrzeć, jak odchodzi?

- Max, twój talerz - rzekł Peter.

Spojrzała na niego, serce jej nagle zaczęło bić zbyt mocno, za głośno. Z pewnością mogłaby go posłuchać. Ale jego twarz nie wyrażała nic, żadnych oznak, że coś jest nie w porządku poza faktem, że nie podała mu tego cholernego talerza.

- Czy wolisz może spróbować kawałeczek ode mnie? - spytał, z niepokojem unosząc brwi. Poczowała się równocześnie wzburzona i winna.

To był właściwy człowiek, właściwy wybór, ten tutaj, siedzący na wprost niej. Wiedział o tym, ona też. Każdy w tej sali to wiedział. A jednak to Sam był tym, którego pragnęła. Sam, ze swoimi marzeniami, swoimi preclami i zupełnym brakiem umiejętności ratowania jej, bo ona nie stała już na krawędzi. Już wpadła. A kiedy spojrzała w głąb tunelu, na jego drugim końcu stał Sam.

Nie na zawsze czy na wieczność, nie na dobre i na złe, bo żadna z tych rzeczy nie była możliwa. Ale na teraz, na dzisiejszą noc, kiedy księżyc jeszcze się uśmiecha.

Zwróciła się do Petera.

- Nie mogę tego zrobić.

Wzruszył ramionami i odłożył widelec.

- Będzie następne danie. Potrząsnęła głową.

- Mam na myśli, że nie mogę wyjść za ciebie.

- No, proszę! - Michael chwycił patelnię i skierował się do kuchni.

- Nie mam Saganaki dla jednego.

Peter popatrzył na nią. - Max, ustaliliśmy datę. Podadzą zaraz szampana.

- Pozwól, że cię o coś spytam - dotknęła jego policzka ręką, czując, że się uśmiecha. - Czy mnie kochasz?

Odsunął jej rękę.

- Oczywiście, że tak.

- A jak mnie kochasz?

- Jak w „Randce w ciemno”! - Odrzucił głowę. - Co to za pytanie?

Dostrzegła jego zmieszanie, zażenowanie - to okropne, krępujące zażenowanie, bo nie znał na jej pytanie odpowiedzi. W tym momencie poczuła dla niego taką czułość, że mogłaby w końcu wyperswadować sobie, uznać, że nie ma racji. Ze w końcu mogłaby wyjść za niego. Zrozumiała jednak, że to tylko czułość, współczucie i pojęła, co Sam miał na myśli, mówiąc, że to wystarczy. Nie, już nigdy więcej.

- Peter, bądź szczery. Czy jesteś we mnie zakochany?

- Max, bądź rozsądna...

Uśmiechnęła się i ścisnęła mu rękę.

- W porządku. Naprawdę. Bo ja w tobie też nie jestem zakochana. Miałaś rację, kiedy zadzwoniłeś pierwszy raz, kiedy nie miałaś pewności, czy to, co robimy, ma sens. Po prostu nie wiedziałam, dlaczego zmieniłeś zdanie. Dlaczego wróciłeś.

Zawahał się, a ona wiedziała, że w tej chwili walczą w nim plany i zamiary... i butelki szampana. Potem westchnął i przyciągnął jej rękę do siebie.

- Wróciłem, bo może nie znam się na miłości, ale wiem na pewno, że cię lubię i szanuję. I nie mógłbym dać sobie rady sam ze sobą, gdybym cię zranił. - Splótł jej palce ze swoimi i przyglądał się im. - Przy całej swojej niezależności i sukcesach w pracy jesteś bardzo staroświecka w uczuciach, jesteś romantyczką. Zawsze o tym wiedziałem.

Max zaśmiała się.

- Słabo z tym romantyzmem.

Peter uśmiechnął się najbardziej niewymuszonym, najszczerzym tej nocy uśmiechem.

-Jesteś najbardziej romantyczną kobietą, jaką znam. Dlatego właśnie nie chciałaś żyć ze mną przed ślubem. Małżeństwo i dom są dla ciebie zbyt ważną rzeczą. Obiecałem zapewnić ci obie te rzeczy, ale kiedy przyszedł czas, zawiodłem cię. A ty nigdy w przeciągu tych lat odkąd się znamy, nie zawiodłaś. Dlatego właśnie wróciłem. Bo pragnąłem uczynić cię szczęśliwą. Pragnąłem tego bardziej, niż czegokolwiek.

Skinęła głową i spojrzała w kierunku kuchni.

- Będę szczęśliwa. Ale nie w małżeństwie z tobą.

Nie, bo jestem zakochana w kimś innym.

- W Samie, prawda? - Spojrzała na niego, a on wzruszył ramionami. - Podejrzewam, że znam cię lepiej, niż ktokolwiek z nas myśli. - Odrzucił głowę. - Więc zostajesz tutaj? To znaczy, że tracę również stylistkę?

Max popatrzyła na pierścionek, który miała na palcu.

- Nie zostanę. Nie mogę.

- To co masz zamiar robić?

- Nie mam pojęcia. - Ściągnęła pierścionek z palca i podała mu. - Po prostu wiem, że muszę tak właśnie postąpić.

Przez chwilę przyglądał się brylantowi, potem wziął od niej pierścionek i spojrzał przez ramię na salę.

- Ale co teraz im powiemy?

Max odwróciła się i ujrzała twarze, wpatrzone w nich od stolików, z parkietu... twarze, które błyskawicznie się odwróciły, podczas gdy stopy starały się odnaleźć rytm tańca, a szklanki podnoszono do ust zbyt szybko.

Roześmiała się i wstała.

- Prawdę - odparła, wiedząc, że będą o nich plotkować w Cy's co najmniej przez miesiąc - i w ogóle się tym nie przejmowała.

Odwróciła się w porę, by ujrzeć Delię, zbliżającą się od pomiesz-

czenia z automatami telefonicznymi. Schwyciła rękę Petera i zmusiła do wstania.

- Ale przedtem, zanim powiemy cokolwiek, powiedz mi, kto tam idzie.

Podążył za jej wzrokiem.

- To Delia.

Delia zatrzymała się i patrzyła na nich, jakby miała w każdej chwili zerwać się i uciec.

Max uśmiechnęła się i choć Delia gwałtownie potrząsnęła głową, nie miała już czasu, by się wycofać. Spojrzała na Petera.

- Czy wiesz, dlaczego ta dziewczyna wysłuchiwała twoich najgorszych głupot, prowadziła wszystkie twoje papiery i schodziła nam z drogi, kiedy upewniła się, że mamy się pobrać?

- Bo jest moją asystentką...? Max roześmiała się.

- Bo cię kocha.

- Mnie? - Przyłożył rękę do piersi. - Delia mnie kocha?

Max czuła, jak serce jej się ściska, kiedy ujrzała wyraz jego oczu.

- Kocha cię już od lat.

- Zawsze myślałem, że to mi się wydaje - rzekł Peter. - Nigdy nie marzyłem... to znaczy - nie jestem w niczym podobny do mężczyzn, z którymi się spotykała. Zupełnie nie jestem w jej typie.

Max położyła mu rękę na ramieniu.

- Ależ jesteś dokładnie typem, jakiego ona potrzebuje.

Teraz Peter patrzył na Delię i widział wszystko, za czym tak długo tęsknił.

- A jeżeli moje przypuszczenia są słuszne, ty też jej pragniesz. Ale jeżeli wyjdzie teraz, możesz ją stracić na zawsze.

Max patrzyła za nim, kiedy przechodził przez salę, patrzyła, jak Delia zawróciła, jak wyciągnął do niej ręce, a Delia potrząsnęła głową. Wtedy ujrzała, jak Peter podchodzi do niej, jak bierze ją w ramiona i nie musiała widzieć już niczego więcej.

Wyszła do kuchni, przeciskając się między stołami, w nadziei, że Sam nie odszedł daleko - bo teraz nie mogła już przecież poprosić Petera o kluczyki.

RS

Max zatrzymała się w drzwiach kuchni, patrząc na wszystkich - od Michaela do nocnego szefa kuchni.

-Którędy Sam wychodził?

-Skąd mam wiedzieć? - odburknął Michael, wiecznie nadęty, wyciągając tacę z pieca.

Ale nocny szef wskazał jej tylne drzwi.

-Trzasnął drzwiami i wyleciał tędy mniej więcej kwadrans temu.

-Chyba słyszałam, jak włącza silnik ciężarówki -rzuciła kelnerka, która właśnie weszła do kuchni. Spojrzała na Max, zdejmując omlety z ognia. - Ale nie jestem zupełnie pewna.

Max spojrzała na tylne drzwi w nadziei, że kelnerka może się pomyliła. Miała szansę znaleźć go, jeżeli poszedł piechotą, ale nie wtedy, gdy wsiadł do samochodu.

-Zacznę od parkingu - powiedziała i zwróciła się do Michaela. - Czy to galaretka?

-Kozie ser i galaretka z porów. Czy masz pojęcie, jak długo musiałem szukać przyzwoitego koziego sera? - Michael rzucił patelnię na ladę. Ser był brązowy i spękany, z cienką, złocistą skórką. - I co mam teraz z tym zrobić?

-Zawiń połowę - odparła Max, biorąc plastikowy pojemnik z półki obok pieca do podgrzewania. - Potraktuj to jak danie na wynos.

- Czy to oznacza, że wszystko w porządku? - Michael pociągnął nosem, krojąc galaretę na cztery części; dwie z nich włożył do pudełka i zamknął pokrywkę. - A co z drugą połową?

- Delia i Peter są tam jeszcze i obchodzą zaręczyny. - Wzięła pudełko i podbiegła do drzwi. - Może im to podasz? Zrób piękną prezentację. Jak najwięcej kolorów.

Michael zasalutował.

- Wedle rozkazu.

Roześmiała się i wykręciła piruet.

- I, Michael, następnym razem, kiedy będziesz robił Saganaki, pamiętaj o podaniu do tego chrupkiego ciemnego chleba. Te chlebowe paluszki zupełnie nie pasowały.

- Mówiłem mu to - rzekł nocny szef kuchni, po czym zwrócił się do kelnerki. - Czy mu tego nie mówiłem?

Max nie miała już czasu na wysłuchiwanie uwag Michaela; musiała znaleźć Sama. Ale kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, stanęła bez ruchu na schodach, zdając sobie sprawę, że nie ma pojęcia, od czego zacząć.

Zaczęła szukać talizmanu Ilony, zapominając, że ostatniego wieczoru wsadziła go do torebki, zaraz po telefonie od Petera; powiedziała sobie wtedy, że już go nigdy więcej nie będzie potrzebować, mając przy sobie tego właściwego mężczyznę. Opuściła rękę, żalując, że postąpiła zbyt pochopnie; dobrze byłoby mieć go ze sobą jeszcze przez jedną noc, aż spojrzała w niebo. Księżyc był mniejszy, niż zeszłej nocy: zmniejszył się, jak uśmiech Kota z Cheshire i przypominał jej, że jeszcze jest czas. Gdziekolwiek był Sam, znajdzie go tej nocy.

Zeszła po schodach i rozejrzała się. Bar był kiedyś zajazdem, tak że przeciwnie niż większość domów na ulicy, miał nieco miejsca na samochody na zapleczu, i podjazd, prowadzący na drogę. Parking był ciemny, oświetlony jedynie pojedynczą lampą halogenową, wiszącą

pośrodku na słupie. Przeszła pomiędzy dwoma rzędami aut, rozglądając się za ciemnozieloną furgonetką w morzu innych - zielonych, czarnych i czerwonych.

- Powinien był zatrzymać tego Aston Martina -mruknęła i zaczęła sprawdzać rejestracje, pochylając się i mrużąc oczy w półmroku, spodziewając się wyczytać znajome numery.

Zatrzymała się, ściskając w dłoniach plastikowe pudełko „na wynos”. Trzecia z rzędu zielona furgonetka od lewej miała tablicę, która wydawała się znajoma. To wystarczyło, by zawróciła i ruszyła w stronę ulicy. Jeżeli poszedł piechotą, odnajdzie go.

Gorące piątkowe noce zawsze wypędzały na Center Street tłumy ludzi. Letników, miejscowych, turystów. Wszyscy oni przechadzali się, oglądali wystawy, albo po prostu siedzieli, zajadając lody przed wejściem do Cy's.

Koncerty wieczorne, tradycyjnie odbywające się już od ponad dwudziestu lat, zaczęto niedawno znowu organizować na frontowych schodach urzędu pocztowego. Koce i składane krzeselka rozrzucone były na trawniku i mimo ciemności grupa młodych poważnych ludzi stała jeszcze na schodach, wykonując własną aranżację melodii Willy Nelsona - nazwa grupy wyleciała Max z pamięci. Zeszła schodami na ulicę.

Publiczność była mieszana. Małe dzieciaki bawiły się w berka pomiędzy kocami pod troskliwym okiem rodziców. Nastolatki stały na uboczu, udając, że nie zależy im na towarzystwie rodziny, chcąc jednak brać udział w odbywającej się imprezie. Max pomyślała, że gdyby ci chłopcy nadal grali, kiedy ona znajdzie już Sama, byłoby bardzo przyjemnie usiąść na trawniku i słuchać, jedząc przysmak Michaela i śmie-

jąc się z tego, że byli tak blisko odejścia od siebie na zawsze.

Przebiegła przez drogę w stronę trawnika, szukając Sama wśród rodzin, par, grup przyjaciół; dostrzegła kilka znajomych twarzy, ale nie tę, którą pragnęła zobaczyć. Pełna rozterek zawróciła w stronę baru i po chwili stała już u podnóża schodów, najpierw obserwując drogę, potem - starając się odgadnąć intencje Sama, domyślić się, dokąd mógł pójść.

Po prawej stronie u podnóża pagórka widać było most, niewielki park, trzy stoły piknikowe i budynek gospodarczy. Urocze miejsce o tej porze roku, pełne ludzi wędkujących, pluskających się, lub po prostu wylegujących się na trawie. Będzie musiała zaryzykować i spróbować przejść znowu tym cholernym trawnikiem, zapewniając sobie potężną publiczność. Odetchnęła głęboko i spojrzała w prawo. Po tej stronie nie było nic interesującego. Kilka sklepów, para starszych mężczyzn siedzących na stopniu przed zakładem fryzjerskim i „Kwik Way”.

Zwróciła się na prawo, w kierunku przeciwnym, niż most - wyrzucając sobie własne tchórzostwo, bo była pewna, że Sam nie poszedł tą drogą.

Minęła zaledwie kilka domów, zatrzymała się i zawróciła, pociągnięta jakąś niewytłumaczalną siłą. Było to zbyt przemożne aby się temu nie poddała. Wróciła tą samą drogą, którą przyszła, patrząc tym razem dokładnie w okna sklepowe, ale nie dostrzegła go nigdzie.

Zmieszana spojrzała na drugą stronę ulicy, do Cy's. Nie, tam nie mógł być. Ale właściwie czemu nie? Czyż każdy w tym mieście nie zaglądał do Cy's? Max zebrała całą odwagę, zeszła z krawężnika na jezdnię i skierowała się do żółto-białych drzwi. Ale kiedy dotknęła ręką klamki, spojrzała jeszcze przez ramię w kierunku baru. I wtedy to do-

strzegła. Światło lampy w mieszkaniu na drugim piętrze, które nazywał swoim domem.

Przebiegła z powrotem ulicę, zastanawiając się, jak mogła zapomnieć o czymś tak podstawowym i zatrzymała się dopiero przy frontowych schodach. Którędy on tam wszedł? Nie zauważyła w barze żadnego przejścia, ale mogło być na przykład od strony kuchni - i wtedy mógł się tam dostać nie zauważony przez nikogo.

Pobiegła dookoła budynku na tyły baru i już miała zamiar otworzyć tylne drzwi, kiedy przyszedł jej do głowy lepszy pomysł. Zebrała kilka kamyków z podjazdu i cofnęła się, aż mogła zobaczyć okna drugiego piętra. Pokoje były ciemne, tak że nie była w stanie odgadnąć, które to może być. Podrzucała przez chwilę kamyki na dłoni i aby mieć większą swobodę ruchów odstawiała na ziemię pudełko z serem. Miała nadzieję, że nikt w najbliższym czasie nie wyjdzie z baru do samochodu.

Wycelowała, zaczynając od okna położonego najbardziej w prawo i rzuciła kamykiem, ale chybiła co najmniej o trzydzieści centymetrów. Zmarszczyła brwi i naprężyła kilkakrotnie mięśnie ramion, zadowolona, że w końcu nie grała wczoraj w baseball.

Ponownie wycelowała i rzuciła kamykiem, trafiając tym razem w sam środek szyby.

- To jak jazda na rowerze - wyszeptała i ustawiła się naprzeciwko okna numer dwa.

Chwilę odczekała, wyobrażając sobie, że musiał usłyszeć hałas i usiadła, nad słuchując. Czy od razu się zorientuje? Czy też zajmie mu to trochę czasu?

Z pewnością się zorientował - zdecydowała i rzuciła ponownie kamień, uśmiechając się, kiedy usłyszała charakterystyczny brzęk kolejnej szyby. Podekscytowana teraz i bardziej zdecydowana, ustawiła się na linii trzeciego okna i cisnęła kamieniem, po usłyszeniu uderzenia

przebiegając z powrotem pod pierwsze okno.

Jeszcze jeden kamyk - i jeszcze - i jeszcze. W sumie sześć - i żadnego śladu ruchu wewnątrz mieszkania, ani cienia sylwetki pojawiającej się w oknie. Otworzyła dłoń. Straciła już zapach. Reszta kamyków wysypała się jej z rąk i potoczyła po ziemi. Nie, chyba nie było go w domu.

- Łatwo rezygnujesz, prawda?

- A ty mogłeś mi powiedzieć, że tam jesteś - odparła z uśmiechem, słysząc jego piękny, głęboki głos.

Stał przy ciemnozielonej furgonetce - właśnie tej, którą oceniła przedtem, jako jego - opierając się o tylną klapy, ze skrzyżowanymi nogami. Wyglądał jak marzenie, jak conocne marzenie jej kobiecego serca. A kiedy oderwał się od wozu i zbliżał do niej, z każdym jego krokiem jej serce było coraz mocniej i mocniej.

- Mogłem. Ale krępowałem się przerywać, bo właśnie szykowałam się do rzutu.

Stanął przed nią, nie dotykając jej, ale dostatecznie blisko, że mogła wyczuć jego zapach i ciepło skóry. Pomyślała, że mógłby ją objąć, ale on tymczasem odwrócił głowę i spojrzał w górę na okna.

- Cztery trafne na sześć - stwierdził. - Całkiem nieźle.

- Trafiłam pięć razy - sprostowała, przysuwając się do niego; jej oczy wpatrzone były w jego usta, w czule wygiętą dolną wargę, w piękny rysunek górnej; zastanawiała się, jak mogła wytrzymać tak długo bez tych ust tak cudownie dopasowanych do jej własnych. I jak mogłaby wrócić do Nowego Jorku jedynie ze wspomnieniem jego pocałunku.

- Ten ostatni to był szczęśliwy przypadek - powiedział Sam, patrząc na nią teraz z bardzo bliska, na jej włosy, policzki, jej usta. Głód wzra-

stał w nim z każdą chwilą, wyraźny i jasny, jak ona sama.

Nie zrobił jednak kroku w jej kierunku. Rozdzielały ich jej uniesione ręce, niezdecydowanie poruszające się palce.

-Gdzie więc byłeś cały ten czas, kiedy ja tu odbywałam „rozgrzewkę”?

-Leżałem na tylnym siedzeniu, zastanawiałem się, ile razy rzucisz, zanim stłuczysz pierwszą szybę. Ale, jak powiedziałem, łatwo zrezygnowałaś. - Ujął jej ręce w nadgarstkach i opuścił w dół, odsuwając je od siebie. Spojrzał na nią przenikliwie. - Czego ty chcesz, Max?

Popatrzyła na niego, starając się zachować równowagę, wyobrazić sobie, co się stało.

-Ciebie - odrzekła, jakby to była najprostsza rzecz na świecie. - Chcę ciebie.

-Tak po prostu! - Pozwolił jej odsunąć się, odszedł o krok i podniósł pudełko z serem Michaela. - A gdzie Peter?

Dostrzegła zwątpienie, w szorstkim tonie głosu usłyszała kryjącą się nieufność. I wtedy zrozumiała. Do tej pory szedł on sam, miał za sobą wiele kroków... Ale zasadniczy krok należał teraz do niej.

-Jest tam, w środku - wyjaśniła. - Z Delią.

-Z Delią... - Przyglądał się jej przez moment, po czym otworzył pudełko. - Co to jest?

-To „Paryż-na-wynos”. - Spojrzał na nią, a ona wzruszyła ramionami. - Myślałam, że moglibyśmy to zjeść razem. Siąść na trawie, posłuchać koncertu... - Zrobiła niewyraźny gest w kierunku, skąd dobiegała muzyka i potrząsnęła głową. - Nieważne.

Zamknął pudełko i zaniósł je do furgonetki, nie oglądając się, aż do chwili, gdy opuścił tylną klapę i usiadł wygodnie.

-Dlaczego Peter jest z Delią?

-Bo... my nie mamy zamiaru się pobrać. - Podeszła do niego i uniosła rękę. - Patrz, nie mam pierścionka, nie mam narzeczonego. - Ręka jej opadła. - Nie ma ślubu.

Nie uniósł brwi, nie drgnęła mu powieka. Żadnej reakcji. Tylko jedno słowo, które padło w ciszy.

-Dlaczego?

-Dlaczego? - Uniosła ręce, potem opuściła je. Szukając drogi uniku, schronienia się przed jego słowami „A mówiłem!”, znalazła tylko jedną drogę wyjścia. Prawdę. Nie zasługiwał na nic gorszego.

-Cóż, to raczej oczywiste. To znaczy... ty sam tak twierdziłeś. Jak mogłabym wyjść za Petera... - wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy.

-Jak mogłabym wyjść za Petera, kiedy jestem zakochana w tobie?

Nie odpowiedział, tak że nie miała innego wyjścia, tylko otworzyć jedno oko. Dostrzegła, jak na jego ustach zaczyna pojawiać się lekki uśmiezek.

- Co powiedziałaś?

Cofnęła się o krok z ostrzegawczo wyciągniętym palcem.

-O, nie! Nie uśmiechaj się w ten sposób. Nic się nie zmieniło.

-Wszystko się zmieniło. - Ześlizgnął się z klapy i wyciągnął do niej rękę. - Chodź tu.

Przysunęła się do niego, nieco niezdecydowana, troszkę niepewna - siebie samej, jego. Tego, czego będzie pragnął, jak wiele ona może mu dać, wiedząc, że ryzykuje rozczarowanie ich obojga. Ale prawda dotychczas sprawdzała się, tak że zawierzyła jej ponownie, kiedy zrobiła następny krok.

-Wiesz, że nie mogę tu zostać.

-Wspominałaś o tym.

- Ciagle jeszcze mam pracę. Mieszkanie. Jego uśmiech zmienił się w grymas.

- Ale bez mebli biurowych.

- Tak - przyznała i przysunęła się do niego nagle, wiedząc, że jej nie słucha. Nie mógłby; nie wtedy, gdy patrzył na nią w taki sposób, uśmiechał się w taki sposób. Sprawiał, że chciała wziąć go za rękę i biec razem z nim coraz głębiej tym tunelem, z wiarą, że wszystko jest możliwe, jeżeli tylko będzie go dostatecznie mocno trzymała.

Ale z tego miejsca, gdzie była teraz, widać było jeszcze jakieś światło, jeszcze mogła znaleźć się w domu, tam, gdzie było jej miejsce.

- Musisz wiedzieć: nie sądziłam, że tak się stanie - powiedziała. - Walczyłam z tym cały czas.

- I jeszcze dłużej - dodał tak poważnie, tak zasadniczym tonem, że musiała się uśmiechnąć, jak zwykle, rozbroił ją.

- Naprawdę cię kocham, Sam. Niech mnie diabli, jeśli wiem, co z tym począć.

- Może mógłbym ci w tym pomóc - powiedział spokojnie, a ją przeniknął dreszcz, kiedy Sam podszedł do niej całkiem blisko.

Ręce miał gorące i silne. Objął dłońmi jej twarz, pochylając się nad nią, zamykając oczy i dotykając leciutko jej warg swoimi. Całował ją delikatniej, niż kiedykolwiek całował ją jakiś mężczyzna; w jego ramionach czuła się, jak skarb, jak drogocenny klejnot, którego trzeba strzec. Kiedy podniósł głowę, by na nią spojrzeć, przesunął palcami po jej wargach, tak, jakby nie wierzył, że ona jest tu rzeczywiście, że jest jego. Przytuliła się do niego mocno. Zapomniała, że znajdują się na parkingu i pociągnęła go na ziemię, całując coraz gwałtowniej, głębiej. Chciała mu pokazać, że wszystko to jest rzeczywiste. I że ona na razie

nigdzie nie odchodzi.

Powstrzymał ją na chwilę. Pociemniały mu oczy, oddech miał płytki i nierówny, jak jej własny.

- Naprawdę chcesz posłuchać koncertu?

- Koncertu?

- Ja też nie - powiedział i chwycił ją za rękę, a po chwili usłyszała, jak klapa samochodu trzasnęła. Zostawili za sobą „Paryż-na-wynos” i pobiegli w stronę drzwi.

Drzwi, których Max dotychczas nie dostrzegła, bo ukryte były w cieniu w najdalszym końcu budynku. Czowała, że się uśmiecha, kiedy przeszli przez nie, a za ich plecami pozostał uśmiechnięty księżyc, który wszystko wiedział o szalonej, wspaniałej magii miłości.

Na schodach było ciemno więc Sam zapalił światło nad wejściem. Prowadził ją, a ona szła za nim po wąskich i stromych schodach na górę. Stare schody w starym domu, skrzypiące i trzeszczące na każdym kolejnym stopniu; zastanawiała się, ilu już kochanków wspinało się tutaj; w pośpiechu - jak oni teraz, śmiejąc się i potykając wchodzili do pokoju, spowitego w ciemności, mając na myśli tylko jedno.

Sypialnia znajdowała się na tyłach domu, obszerna i ładnie urządzona - zdradzająca obecność czasu przeszłego, z pamiątkami po jego życiu na Manhattanie. Przejrzyste zasłony wydymały się w oknie, poruszone wiatrem, wpływającym do pokoju wraz z muzyką i zapachami przypraw.

Hałas dochodzący z baru nie był tu zbyt duży, stłumiony odległością i grubymi drewnianymi belkami; Sam prowadził ją do łóżka, przykrytego prostą białą kapą, która zdawała się płynąć w ciemności. Odwrócił się do niej, a wówczas wszelkie wahania znikły, a ich miejsce

zajął płomień, który już od tak dawna tlił się w ich sercach.

Jego pocałunek znowu był jakiś inny, śmielszy, głębszy, gwałtowniejszy, niż wszystkie poprzednie. Max podniosła się, stanęła naprzeciw niego i odepchnęła go nieco, chcąc rozpiąć mu koszulę i dotknąć jego ciała. Mocowała się z guzikami, bo chęć była większa, niż umiejętności; śmiejąc się, oboje zmieszani, wspólnie w końcu pozbyli się tej koszuli.

Przesunęła rękami po jego piersi, wyczuwając bicie serca, mocne i szybkie pod jej dłońmi, kiedy przytuliła się do niego, obsypując pocałunkami delikatnymi jak szept jego szyję, pierś i sutki, drobne i sztywne. Wiedziała, że postępuje tak, jak powinna, kiedy pochwycił ją za ramiona i z ustami wtulonymi we włosy wyszeptał jej imię.

Uniosła głowę i niemal zaparło jej dech, kiedy ujrzała jego oczy, zwężone i pociemniałe, kiedy czubkiem palca obwodziła linię jego włosów od piersi w dół po brzuchu - aż tam, gdzie trójkąt włosów zniknął ukryty w zapięciu dżinsów.

Gdy przyciągnął ją bliżej drżały mu ręce. Położył je na plecach i zaczął głaskać je od łopatek aż do pośladków. W chwilę później znalazł uchwyt suwaka jej sukienki i zaczął pomału go rozpinać. Podciągnął czerwony jedwab sukienki wyżej, wokół bioder i ud. Z zachwytem obserwował, jak rozszerzają się jej źrenice kiedy unosił jej ramiona podciągając sukienkę coraz wyżej aby wreszcie ściągnąć ją przez głowę. Stała przed nim w staniku i majteczkach tak przezroczystych, że nie pozostawiały wiele miejsca dla wyobraźni. Patrzył na nią i już był pewien, że ten strój był nowy, podobnie jak nocna koszula, której Peter też nigdy nie widział.

- No i co, podziałaał? - spytał i uśmiechnął się, kiedy popatrzyła na

niego zmieszana. - Talizman - wyjaśnił.

Uśmiechnęła się tym razem słabo i krzywo.

- Trzeba zawsze wierzyć w krasnale - powiedziała, podchodząc do niego.

A on uznał to widać za wystarczające potwierdzenie, bo pochylił się nad nią, odrzucając wszelkie wątpliwości, jak wtedy, kiedy nosiła ten mały czerwony talizman.

Przesuwał usta wzdłuż jej ramion, całował delikatne wgłębienie u nasady szyi. Podniósł głowę i rozluźnił uścisk, zsunął ramiączka jej stanika i patrzył, jak zwilża wargi, kiedy ten nieprzyzwoity drobiazg upadł na podłogę.

Już kiedyś trzymał ją nagą w ramionach i teraz spieszno mu było znowu ją przytulić; zwlekał jednak specjalnie, badając każdy skrawek, każdą linię jej lśniącego, gładkiego ciała. Ale ona nie dała mu czasu. Nigdy nie czuł się bardziej męski, niż kiedy położyła swoje małe rączki na jego piersi i popchnęła na łóżko.

Wdrapała się na niego bez cienia nieśmiałości czy niepewności, okrakiem, kiedy on zmagał się ze swoimi dżinsami - z zapalem, ale nieskutecznie. Przemknęło mu przez głowę, że tortury mogą być niezwykle słodkie.

- Naprawdę cię kocham - wyszeptał, starając się, by to usłyszała, by wiedziała, że to prawda, kiedy pociągnął ją w dół, otulając sobą.

Poruszyła się, wtulając się w niego ciaśniej. Na jej twarzy pojawił się pełen zadowolenia uśmiech, a on czuł, jak serce wzbiera mu miłością do tej kobiety, która nie była niczym, co planował, ale wszystkim, czego kiedykolwiek potrzebował.

Uniosła się nieco, łącząc swoje wargi z jego ustami, kiedy jego ręka błądziła po jej piersiach, czując, jak wygina się w łuk pod dotknięciem jego dłoni, jak wplątu je mu palce we włosy, trzymając go mocno i

odpowiadając na jego pocałunki, przyjmując to, co jej dawał i w zamian oddając równie szczerze to samo.

Sam szczylił się opinią cierpliwego mężczyzny, dżentelmena z Południa w sztuce miłości. Znał uczucie rozkoszy w czasie długiej, gorącej nocy i czas, spędzany na oczekiwaniu, kiedy żar wirował i wzbierał. Ale teraz ta cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę, kiedy podniósł głowę z zamiarem całowania powoli jej szyi, a ona gwałtownym ruchem skierowała jego usta ku swoim piersiom.

Teraz stał się zachłanny, kontrolował się jednak doskonale, nie wystarczał mu wyłącznie smak jej ust, jej piersi, jej rozgrzanej skóry; pochylił się niżej, zsuwając jej majteczki i rzucając je na ziemię.

Znalazła się teraz na nieznanym gruncie; traciła szybko głowę, kiedy Sam całował jej brzuch, biodra; rozsunęła instynktownie nogi, kiedy jego palce szukały i w końcu odnalazły ten czuły, nabrzmiały punkt, który aż bolał, tak był spragniony jego pieścizoty. Dotknięcie było lekkie, wprawne; doprowadzał ją aż do krawędzi -znów i znów, ale nie dawał jej tej krawędzi przekroczyć.

Usłyszała swój własny jęk, a usta jej rozchyliły się, dając, biorąc, szukając jeszcze i jeszcze, szukając wszystkiego. Wiedziała, że znajdzie to tutaj, z nim. Jego usta były tam, właśnie tam, a ona czuła się zagubiona, wpadała znowu w głąb, ale tym razem bez lęku, bez granic, pewna, że on będzie na końcu tego tunelu i ją uratuje.

Nie był w stanie już więcej czekać, nie dał jej nawet złapać oddechu. Poruszył się, a ona zrozumiała jego potrzebę, otworzyła się dla niego, uniosła tak, by spotkać go i oplatając ciasno nogami jego ciało, przyjęła go głęboko w siebie. Poruszali się tym odwiecznym, a

wciąż nowym rytmem, wyłącznie ich własnym, zgodnym z miłością, jaka ich w tej chwili łączyła. Tworzyli coś z niczego w tym pokoju nad barem, unosząc się i opadając, wspólnie dążąc do krawędzi i bezpiecznie lądując razem po jej drugiej stronie.

Była trzecia nad ranem, kiedy w końcu wstali z łóżka i to tylko dlatego, że głód ich do tego zmusił. Sam stał w oknie, wyglądając na parking i patrzył bezradnie na małego szopa*, który przysiadł przy jego furgonetce i delectował się resztkami przysmaku serowego Michaela.

Nie zauważył, kiedy skończyło się przyjęcie na dole. Nie słyszał ostatnich akordów muzyki, ani zapuszczanych motorów ciężarówek. Wszystko, co słyszał, to jej głos przy jego uchu, szepczący jego imię, kiedy przyjmowała go w siebie, pozwalając kochać się co chwila na nowo.

Zasnęli; zdał sobie z tego sprawę, kiedy obudził się z Max, ciasno w niego wtuloną; w niego; pasowała do niego doskonale, jakby to było jej miejsce, jej prawo, jakby miała tu zostać na zawsze. Wtedy przymknął oczy i oddał się marzeniom, zastanawiając się, jak długo jeszcze ona tu zostanie, zanim odejdzie.

- „Paryż na wynos” odpada - powiedział. - Czy zostało coś z menu?

Obejrzał się i zobaczył, jak podnosi z ziemi sukienkę i ogląda ją krytycznie. Zawinęła się w prześcieradło, teraz skromna, a on uśmiechnął się do niej.

*Szop-pracz: niewielkie zwierzątko futerkowe, pospolite-w całej Ameryce Północnej; przed zjedzeniem pokarmu „pierze” go w łapkach (przyp. tłum.).

-Urokiem życia nad restauracją - wyjaśnił jej - jest, że można bez końca brać coś na wynos, tak długo, aż nie rozpalimy pieca. - Wyciągnął w jej stronę koszulę, a ona w zamian podała mu swoją sukienkę, niezbyt pewna, dlaczego to robi. To była po prostu jedna z tajemnic Max; mógłby z nią spędzić całe życie, rozwiązując te sekrety. Ale że miał niewiele czasu, odniósł sukienkę do szafy i powiesił ją.

-Jak się czujesz? - spytał, zapinając dzinsy, podczas gdy ona zastanawiała się nad jego koszulą, zaskoczona, że sięga jej aż za kolana i zdumiona, że rękawy musi zawijać aż tyle razy.

-Nie jesteś jeszcze gotowy, żeby wysłuchać, jak się czuję - powiedziała, uśmiechając się beztrudnie i kokieteryjnie. Zrzuciła mu ręce na szyję i ucałowała. - Nie pytaj mnie, co chciałabym zjeść; nieważne co, byle szybko.

Zeszli w dół po schodach, zatrzymując się przy drzwiach, potem przebiegli przez pusty parking do drzwi kuchennych. Sam nie zapomniał o kluczach, co Max uznała za objaw dużej bystrości. Ona zapomniała nawet o włożeniu bielizny.

Obiecała sobie wynagrodzić Sama za jego inteligencję później, w całkowicie nieakademicki sposób.

Popędzany niemożliwymi do wyrażenia w słowach obrazami Sam otworzył lodówkę i uśmiechnął się. Paryskie danie mogło się skończyć, ale sałatka z kurczaka zawsze się znajdzie.

- Co powiesz na kanapkę? - spytał, lecz nie uzyskawszy odpowiedzi odwrócił się i ujrzał, że jest sam w kuchni. Jako że podjął już nieodwołalną decyzję, tak czy inaczej wyjął sałatkę z kurczaka i główkę sałaty i zamknął lodówkę.

Wróciła do kuchni, kiedy smarował tosty masłem.

- Czy masz ćwierć dolara? - spytała, wsuwając mu ręce do kieszeni

i szukając drobnych, które znalazła dopiero po dłuższych poszukiwaniach na samym dnie.

Mruknął coś ostrzegawczo; zaczęła się śmiać, co jeszcze przedłużyło czas poszukiwań, a on uzyskał potwierdzenie tego, o czym już wiedział. Było im dobrze razem. Wszystko było proste i naturalne, jakby przeszli już kiedyś wspólnie całą drogę i teraz po prostu nią wracali. Pasowali do siebie, jak prawy i lewy pantofel, w których można pójść aż na koniec świata. I oto musiał się z nią rozstać, pozwolić jej odejść już tak niedługo, mimo że tyle czasu zajęło mu jej odnalezienie.

- Naprawdę powinieneś postarać się o trochę więcej płyt do tej grającej szafy - powiedziała, podnosząc rękę z monetą i przechadzając się po barze.

- Są zamówione - zawołał do niej i dalej szykował sandwicze z odrobiną „Blue Moon” na spodzie.

Ponieważ nie wracała do kuchni, ułożył pokrojone pikle na talerzykach po jednej stronie, barwne chipsy po drugiej i zaniósł je do baru.

Obsługa - jak zwykle - zostawiła lokal posprzątany i przygotowany do lunchu i Sam wcale nie czuł się winien, że zrzucił na nich całą tę robotę. Ustawił talerzyki na stole obok grającej szafy i poszedł do lodówki za barem po coś zimnego. Rozejrzał się przy tym szukając wzrokiem Max, kiedy nalewał picie do szklanek.

Bar był niewielki i nie miał zakamarków, w których' można by się ukryć, Sam podszedł więc do folii plastikowej, zasłaniającej wejście do przyszłej jadalni, zakładając, że tam znajdzie Max.

Otworzyła okiennice i teraz drewniana podłoga pokryta była kwadratami bladego, upiornego światła. Ona była zaledwie cieniem w oddalonym kącie sali, kiedy szła powoli, jakby wyliczała coś długością kroków - na przykład planowała ustawienie mebli. A może tak mu się

tylko wydawało? Wizja tak nieodparta, że nie mógł się z niej otrząsnąć, nawet kiedy rozsądek mówił mu, że tak być nie może.

Była to samolubna fantazja - wiedział o tym. Pozwalała mu ona na wszystko, czego chciał, czego potrzebował, w miejscu, ciągle nawiedzanym przez duchy. Nawet teraz, kiedy wiedział, że kocha Max, wiedział, że ona kocha jego, nie było tu dla niej spokoju. Widział to w sposobie, w jaki się poruszała, nie odliczając kroków, ale po prostu chodząc. Nie była w stanie spokojnie usiąść, zapomnieć na chwilę o przeszłości i nie dociekać, co przyniesie przyszłość.

Wiedział na pewno, że jest uparta i przestraszona, że trudno ją przekonać. Nagle odwróciła się do niego i uśmiechnęła, a on już wiedział, że nie może jeszcze dać za wygraną, nie może rezygnować z ich wspólnej przyszłości.

- Kolacja podana - powiedział. Nie jest to romantyczna podróż po świecie, ale da ci wytrwać do śniadania.

Roześmiała się, a on otoczył ją ramieniem, ona zaś objęła go w pasie i tak przytuleni poszli razem do stolika w barze.

- Bardzo dobre - stwierdziła między dwoma kęsami, dopiero teraz świadoma, jak bardzo była głodna. – Czy to roboty Michaela?

Sam przytaknął i wrzucił kawałek do ust.

- Chyba pęknie ze złości rano, kiedy odkryje dziurę w samym środku.

Uśmiechnęła się i podsunęła mu pikle.

-Miałeś szczęście, że go znalazłeś. Posiada wielki talent.

-I humory i dziki temperament.

-jak większość artystów. Wiem, że Peter był taki - powiedziała, wy-

skrobując z talerza swoją porcję i zerkając na następną. Wiedziała, że jeżeli zje tak dużo, nie zaśnie. Spojrzała na Sama. Przebiegło jej przez myśl, że sen nie jest tu najważniejszy i zabrała się do reszty sandwicza, mówiąc sobie, że powinna się wzmocnić.

- Jak sobie wyobrażasz pracę z nim - teraz...?

Wzruszyła ramionami i odsunęła krzesło, zbyt najedzona, by móc skończyć. Musiała wstać, sprawdzić, czy w ogóle jest w stanie się ruszyć.

-Nie widzę problemu. Zawsze byliśmy przyjaciółmi.

-Więc nie żal ci „chłodnego światła świtu”?

-Jeszcze nie ma świtu - odparła i podeszła do okna. Kiedy będzie, spytaj mnie o to.

Ulica była pusta, okna sklepów ciemne. Nie było już muzyki przy poczcie, ani lodów w Cy's, drogą przebiegał tylko kojot*, wracający z polowania do domu.

Spojrzała na biało-żółte drzwi po drugiej stronie drogi, z dzwonkiem w środku, dźwięczącym, kiedy się wchodziło, tak, by Cy wiedział, że ktoś przyszedł na kawę, kanapkę, czy plotki.

Zastanowiła się, czy historia jej zerwanych zaręczyn już się rozeszła. Pytań „dlaczego” i „z jakiej przyczyny” było dosyć, by ten młyn zaczął mielić i mełł przez resztę wakacji. Ale... czy nie mogłaby uprzedzić plotkarzy? Zapukać do drzwi, kiedy będzie tam tylko starszy pan i kawiarka... mogłaby wtedy opowiedzieć wszystko po swojemu, postarać się, by wszystkie szczegóły były jasne, zanim zjawi się dzienna zmiana. I może dowie się czegoś nowego o Gwen.

* Kojot - zwierzę przypominające wilka, zamieszkujące lasy i prerie Ameryki; ostatnio często podchodzące nocami w pobliże osiedli ludzkich, by się pożywić (przyp. tłum.).

Cofnęła się, sama zaskoczona swoim pomysłem, a może jeszcze bardziej faktem, że jej to przyszło do głowy. Że jakaś jej część chciała wiedzieć, chciała dowiedzieć się, czy Gwen ma zamiar tu zostać, czy wyjechać, czy jest szczęśliwa, czy godna pożałowania - i jak, do diabła, dawała sobie radę z samą sobą przez te wszystkie lata!

- Wszędzie cisza i spokój - powiedział Sam, który stanął za nią, trochę ją tym zaskakując. Uwolnił ją w ten sposób od wszystkich pytań, nad którymi w gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty się zastanawiać, i od odpowiedzi, które w zasadzie nie miały znaczenia.

- Nie na długo - odpowiedziała, tuląc się do niego, kiedy objął ją rękami w talii, a jego usta szukały wrażliwego miejsca za jej uchem. Okrywał lekkimi pocałunkami jej ucho, szyję, odsunął na bok kołnierz, szukając delikatnej skóry na ramieniu.

Westchnęła i przechyliła głowę na bok, kiedy fala głębokiej rozkoszy opłynęła ją całą, wypełniając sobą wszystkie ciemne i puste przestrzenie w jej wnętrzu, które dotychczas tak długo ignorowała, że zapomniała w ogóle o ich istnieniu. Aż do tej chwili, aż do zjawienia się Sama.

Zamknęła oczy, pragnąc, by można było tak stać wiecznie, pozwalając mu trzymać się w ramionach i całować; wiedziała, że Sam chce zrobić wszystko, co w jego mocy, by ją uszczęśliwić.

- Kiedy masz zamiar odejść? - wyszeptał, jakby od czytując jej myśli, rozumiejąc jej nastrój.

Zacisnęła oczy, bo łzy, niespodziewane i zupełnie niepotrzebne, zapiekły ją pod powiekami. Dlaczego teraz? zastanawiała się; przecież uważała się za taką twardą, tak przygotowaną, tak cholernie dobrze przygotowaną na wszystko!

- Zanim słońce wszędzie - odszepnęła. - Mam zdjęcia do reklamy Ewy, a przygotowanie wymaga czasu.

- Miałem na myśli twój wyjazd do Nowego Jorku.

Usłyszała, że głos mu się zmienił; wyczuła też zmianę w jego nastawieniu do niej i odsunęła się, nagle ostrożna.

- Jutro... może w poniedziałek.

- A gdybym cię poprosił, żebyś została? Żebyś wyszła za mnie i otworzyła tę kawiarenkę, o której ciągle myślisz. Co byś powiedziała?

- Sam, już o tym...

Trzymając ją w ramionach, odwrócił tak, że znaleźli się ze sobą twarz w twarz.

- A gdybym powiedział, że to ja wyjadę? Wywieszę „Do Sprzedania” w oknie baru i wrócę do Nowego Jorku. Co byś powiedziała?

- Powiedziałabym, że blefujesz. Potrząsnął głową.

- Nigdy nie blefuję.

A ona przegrała wystarczająco wiele partii pokera, by wiedzieć, że to prawda.

- Zadzwoń rano do agenta nieruchomości - ciągnął. - Do mojego starego biura pośrednictwa. Ty będziesz pracować z Peterem dziś rano, wrócisz tu wieczorem i złapiemy pierwszy samolot w niedzielę. - Chwilę czekał, dając jej czas, by mu przerwała. - Co o tym powiesz?

Patrzył prosto na nią, w nią, a ona ucziwie wyszła mu naprzeciw, nie dając się ponieść wahaniom. - Nie mogę ci na to pozwolić i wiesz o tym. - Odwróciła się i podeszła z powrotem do stołu. - Byłbyś niešťczęśliwy i to byłaby moja wina. Nie chcę, żebyś miał mi za złe, ale po prostu nie mogę tu zostać.

- Z powodu Gwen?

- I Briana - i wszystkiego innego. - Odwróciła się; nie była już rozgniewana, była smutna. I zadowolona, że musi wyjechać, być wolną raz na zawsze. - Co chcesz udowodnić?

Podszedł do niej powolnym, odmierzonym krokiem.

- Tylko to, że teraz powinniśmy iść i porozmawiać z Gwen. Naprawdę, uważam, że powinniśmy to zrobić właśnie teraz - ty i ja. Będzie w domu, jestem tego pewien i w końcu zrozumiemy, raz na zawsze, co wtedy się wydarzyło.

Założyła ręce na piersiach i stanęła mocno na nogach.

- Nie mam zamiaru nigdzie iść, a zwłaszcza do Gwen. Mówiłam ci już, nie obchodzi mnie, co ona ma mi do powiedzenia.

Zatrzymał się tuż za nią, a wzrok mu łagodniał, w miarę, jak mówił:

-Czego ty się tak boisz, Max?

-Niczego... niczego w ogóle. Po prostu nie widzę sensu w wygrzebywaniu tego na nowo.

-Wolisz po prostu uciec, tak?

-Nie uciekam - odparła. - Po prostu wybrałam wyjazd.

-Wyjazd z Schomberg... wyjazd ode mnie. Opuściła głowę.

-Mówiłam ci już, Sam. Miłość - to nie dosyć. Nagle schwycił ją i przyciągnął do siebie. I kiedy ją całował, była w niej tylko czułość i pragnienie, tak silne, tak prawdziwe, że dosłownie czuła jego smak. Smak miłości, wnিকającej głęboko do jej wnętrza, otulający jej serce, sprawiający, że trudno jej było oddychać i myśleć. Wtedy pozwolił jej odejść, odsunął się, a kiedy odwrócił się, zrozumiała, że straciła go na zawsze.

- Ubieraj się - powiedział, kierując się do kuchni. - Odwiozę cię do domu.

Ewa była w ogrodzie, kiedy Max weszła na tylne schody.

Sam odwiózł dziewczynę jeszcze przed świtem. Jechali w napiętej ciszy. Wsiadła tuż przy drzwiach, przeklinając się za to, że nie wzięła własnego samochodu i miasto za to, że nie było w nim taksówek. Zaciśkała mocno wargi, by nie zawołać go po imieniu, kiedy odjeżdżał, nie obejrząwszy się na nią.

Przecisnęła się przez frontowe drzwi, jak złodziej, równocześnie zirytowana i zadowolona, kiedy okazały się otwarte; nie była jeszcze gotowa na spotkanie z kimkolwiek.

Samochód Petera stał zaparkowany przed domem. Max przebiegła szybko obok drzwi Delii; miała ochotę zapukać, dowiedzieć się, co się wydarzyło w nocy, sprawdzić, czy Peter był razem z nią. Miała nadzieję, że tak - w końcu oboje mieli szansę na przyszłość. Mieszkali w tym samym mieście, pracowali razem, lubili te same restauracje - podobnie, jak ona i Peter, tylko jeszcze bardziej.

Ale odeszła od drzwi; chciała się wykapać i przebrać, przygotować do dnia zdjęciowego; planowała całkowicie oddać się pracy, zapomnieć o wszystkim poza jak najdoskonalszą reklamą dla matki. A kiedy dzień się skończy, wskoczy po prostu do samolotu i polecą do domu, gdzie

zacznie się uczyć, jak można żyć bez Sama.

W kuchni zaczęła naukę od razu, szykując kawę, biorąc bułeczkę z talerza na stole i rezerwując powrotny bilet na samolot do Nowego Jorku. Szukała fartuszka i wyjmowała miseczki z szafki, kiedy usłyszała głos na zewnątrz domu. „Ewa” - pomyślała i wyjęła drugi kubek z szafki.

Matka była na dole; miała na sobie wielki kapelusz z opadającym rondem, a na kolanach ochraniacze. Walczyła z chwastami z pasją, która zawsze fascynowała Max. I nie było nic dziwnego w widoku małych kangurków, śpiących w kojcu i lamy przy płocie, zerkającej na lilie jej matki, jakby to było pyszne śniadanie.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek śpisz? - spytała Max, przecinając na ukos trawnik.

- Kiedy pamiętam o zaplanowaniu tego w kalendarzyku - odparła Ewa, sięgając po kubek. - Czytasz w myślach - dodała i dosłownie jęknęła, upijając pierwszy łyk. Potem zrzuciła z kolan ochraniacze i usiadła, zakładając nogę na nogę. - Czy wszystko w porządku?

- Myślisz - z Peterem? - Max szybko kiwnęła głową, wiedząc, że Delia na pewno opowie jej, co się wydarzyło i pragnąc równocześnie lepiej przyjrzeć się lamie. - W porządku - powiedziała, zaskoczona, kiedy zwierzę uniosło głowę i spojrzało na nią, jakby pytając, czego chce. Wyszła i pogłaskała lamę po szyi, a ta podeszła bliżej, dając do zrozumienia, że jej się to podoba.

Poklepała ją znowu i spojrzała na matkę.

- Miał rację, kiedy dzwonił pierwszy raz. Ślub nie był dobrym pomysłem.

Ewa kiwnęła głową.

- A ty i Sam?

- Też w porządku - odparła Max, a lama podeszła do niej blisko, przyglądając jej się prawie równie badawczo, jak Ewa.

Matka czuła się wewnętrznie rozdarta, Max wiedziała o tym. Chciała dowiedzieć się więcej, spytać o Sama i o to, gdzie Max była przez całą noc. Ale Max przez tyle lat trzymała matkę na dystans, że trudno jej było teraz zbliżyć się do córki, choć dziwnym trafem Max tego właśnie teraz chyba chciała.

- Mamo - rzekła i w końcu spojrzała wprost na nią. - Wszystko w porządku, możesz pytać. - To musiało spodobać się lamie, bo podeszła jeszcze bliżej.

Max popieściła miękką, gładką wełnę, podczas gdy Ewa zastanawiała się - pomału zrzucając z siebie lata milczenia.

- Czy ty go kochasz? - spytała wreszcie.

Ręka Max zatrzymała się. Skinęła głową twierdząco.

- A on - czy ciebie kocha?

Max odwróciła twarz i zaczęła trochę mocniej poklepywać lamę, ale potwierdziła.

- Wobec tego dobrze, że zerwałaś z Peterem. Ale jeśli wszystko jest w porządku, a ty i Sam kochacie się, dlaczego tak wcześniej wróciłaś do domu?

- Na zdjęcia - odparła, a lama odwróciła się i odeszła. Co ona może o tym wiedzieć? pomyślała, patrząc w ślad za zwierzęciem. Zawiedzioną, bo zaczęła dopiero odkrywać, że teoria jej matki była słuszna - nie można mieć stresów, kiedy głaszcze się lamę.

Ale nie była gotowa do tłumaczenia się, ani odkrywania duszy, jeszcze nie. I nie kłamała, po prostu unikała rozmowy. Zdjęcia były czymś realnym, a ona musiała zająć się tym, co było dla niej łatwe. A wszystko, czego teraz pragnęła - to czegoś, co byłoby łatwe. Nie miała

ochoty myśleć, chciała po prostu działać, ruszać się, pracować.

- Peter chce, żeby przy pracy nie było żadnych kłopotów - powiedziała, kierując się do stołu, który Ewa wczoraj przygotowała. - Ustawienie zajmie trochę czasu, tak że muszę się zaraz do tego zabrać.

Sieć w dalszym ciągu była na miejscu, ale wszystko inne zabrano do domu na noc. Po kawie poważnie zajmie się gotowaniem, Peter ustawi swój sprzęt i przed południem wszystko będzie zrobione; reklama jej matki będzie na dobrej drodze do ukończenia, a Max w drodze do domu.

- Czy Sam przyjdzie później? - spytała Ewa. - Mogłabym zrobić kolację.

- W soboty w „Tap Room” jest pełno. Nie będzie miał czasu.

- To może w niedzielę?

- Dzisiaj wieczorem wyjeżdżam.

- Wyjeżdżasz? - Ewa spojrzała na nią, zdziwiona. - Dzisiaj?

- Mam strasznie dużo pracy. - Odwróciła się i zobaczyła, że lama wróciła i przygląda się jej znad głowy Ewy. - Czy masz ochotę znowu zabawić się w rekwizytorkę?

Ewa przyglądała się jej chwilę dłużej, po czym potrząsnęła głową.

- Myślę, że będzie bezpieczniej, jeżeli usunę się z drogi. Ty z pewnością wiesz, co trzeba zrobić.

- Masz rację - odparła spokojnie Max. - Wiem.

Wzięła głęboki oddech, próbując uwolnić się od myśli o Samie. I niepewna, jak zacząć. Wróciła zatem do poklepywania lamy, unikając pytających oczu zwierzęcia, kiedy patrzyła poprzez trawnik na padok, na stajnię, na odległą wozownię. Było tam zaledwie kilka kucyków,

spały do późna, a reszta była na pastwisku wraz z lamami i kozami.

Strusie wstały już także i stamtąd, gdzie stała Max, Squiggy wydawał się mieć coś czerwonego na szyi. Szedł za Laverne, która udawała, że nie chce mieć z nim nic wspólnego, ale co chwila zerknęła wstecz, jakby sprawdzała, czy tam jest.

- On szybko dorasta - powiedziała Ewa, już na nogach, obcinając zeschnięte płatki róż. - A kiedy jego szyja nabierze jasnoczerwonego koloru, Laverne będzie musiała uciekać naprawdę szybko.

- Będzie szczęśliwa - powiedziała Max, kiedy Laverne rozłożyła skrzydła, pokazując, że jest gotowa.

Max uśmiechnęła się i zwróciła ponownie do lamy. Śmieszne, jaki czasem jest obrót rzeczy. Spojrzała na Ewę.

- A co z tobą i Benem?

Ewa wzruszyła ramionami i dalej wpatrywała się w różę.

- Nie znalazłam go. Byłam u Cy's, poszłam do mostu, nawet posiedziałam chwilę na koncercie, myśląc, że może tam zajrzy, ale nie. Dzwoniłam do niego na telefon w ciężarówce, zostawiłam wiadomość w domu - właściwie nawet trzy, jeżeli chcesz wiedzieć - ale nie dał znaku życia. - Przerwała obcinanie suchych liści i zwróciła się do Max. - I nie sądzę, żeby się odezwał.

- Oczywiście, że da znać - powiedziała Max, biorąc sekator i kładąc rękę matki na grzbiecie lamy. - Ben cię kocha. Wiesz o tym, prawda?

- Powiedział mi to - odparła Ewa, klepiąc lamę po szyi, a zwierzę patrzyło to na jedną, to na drugą, całkiem zdezorientowane. - Oczywiście, zawsze go wyśmiewałam. Mówiłam mu, że to po prostu niestrawność, czy coś w tym rodzaju. Wyobrażałam sobie, że tak będzie między nami zawsze, że będziemy przyjaciółmi, dobrymi, bardzo dobrymi

przyjaciółmi. Ale wczoraj powiedział mi, że chce czegoś więcej. Że jest zmęczony wracaniem do pustego domu, zmęczony spędzanymi samotnie nocami. - Jej ręka zatrzymała się. Spojrzała w ziemię. - Poprosił, żebym za niego wyszła.

- I co powiedziałaś?

Spojrzała na Max.

- Powiedziałam „nie”. - Ręka jej opadła i skierowała się na ganek, jakby nawet terapia głaskania łamy nie wystarczała. - Jak mogę wyjść za Bena, kiedy miłością mojego życia był twój ojciec?

- Ależ jego już nie ma od bardzo dawna - powiedziała łagodnie Max.

- Co to ma do rzeczy? - Ewa przysiadła na najniższym stopniu ganku, ściągnęła kapelusz i odłożyła go na bok. - Kiedy spotkałam twego ojca, nie miałam niczego ani nikogo. Był najbardziej uroczym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Dobry, łagodny, ani jednej złej cechy. Cały rok starałam się go przekonać, by nie interesował się mną, myślałam, że ktoś taki, jak on, nie mógłby mnie chcieć; że tylko złamie mi serce. A któregoś dnia pozwoliłem mu przywieźć się tutaj i to było to. - Spojrzała na Max. - Twój tata i ta farma uratowały mi życie. Kochał mnie wbrew mnie samej. Nauczył mnie, jak na nowo odzyskać nadzieje i marzenia. - Lekko potrząsnęła głową, a jej oczy błagały Max o zrozumienie. - Jak mogłabym zdradzić taką miłość, jak ta?

- Niczego nie zdradzisz, mamó, odwrotnie: uczysz ją. Sama powiedziałaś: tatuś nauczył cię, co to znaczy kochać. Dlaczego myślisz, że nie chciałby, byś znowu posłuchała jego lekcji? Z kimś takim, jak Ben?

Ewa westchnęła i popatrzyła przed siebie.

- To właśnie problem. Kocham Bena. Chcę go widywać, być z

nim. Pomału zastępuje w moich myślach i w sercu twojego ojca. Spojrzała na Max z żalem. - Nawet nie pamiętam już dźwięku jego głosu. Słyszę tylko Bena. Max nakryła dłoń matki ręką.

-I nie ma w tym nic złego.

-Nawet gdybym chciała ci wierzyć, myślę, że Ben już jest dla mnie stracony. Nigdy nie widziałam go tak wściekłego, jak wczoraj wieczorem.

-Był zraniony i prawdopodobnie teraz jest mu przykro. Ale nie będzie przecież trzymał się stale z daleka.

-Ale jest taki uparty i łatwo się irytuje... - Przerwała z szybkim ruchem głowy. - Nie wiem, co to zmieni, bo w dalszym ciągu nie mogę mu obiecać, że za niego wyjdę.

Max przysunęła się bliżej i szepnęła:

-To dlaczego nie zaczniesz właśnie teraz?

-Czy to nie piękny ranek? - Delia po prostu wpłynęła do ogrodu przez drzwi frontowe i usadowiła się na schodach.

Nie umalowała się i miała włosy mokre po kąpieli, ale jaśniała po prostu tak, że Max aż westchnęła. Niektórym ludziom miłość świetnie robi.

- Miałaś dobrą noc, prawda? - powiedziała Ewa.

Delia oparła brodę na rękach, zadowolony uśmiezek zaigrał na jej ustach.

- Mężczyzna to zwierzę. - Spojrzała na Max. - Powinnaś była mnie ostrzec.

Gdyby wiedziała, byłaby to zrobiła, ale Max mogła tylko starać się, by nie rozdziawić ust ze zdumienia.

- Muszę oczywiście zadzwonić do sióstr. - Skrzywiła się w kierunku Ewy. - Oczywiście zzielenieją.

Nagle Delia wyprostowała się, a uśmiech znikł z jej twarzy, kiedy spojrzała na Max.

- Czy wszystko w porządku?

-Oczywiście.

-To dlaczego jesteś tu tak wcześnie?

-Zdjęcia - wyjaśniła i przez ramię dostrzegła Petera, wchodzącego na ganek.

Był ubrany i uczesany, gotów do działania. Max pomyślała sobie, że Delia nie może patrzeć na niego w ten sposób przy ludziach. Westchnęła ponownie i w duchu życzyła im wszystkiego dobrego. Bóg wie, że niektórzy ludzie zasługują na szczęście.

-Dzień dobry wszystkim - powiedział, po czym stanął jak wryty, wpatrzony w Max. - Jakim cudem znalazłaś się tu tak wcześnie?

-Ze względu na zdjęcia. - Oparła ręce na kolanach i podniosła się. - Czy tylko ja jestem dziś gotowa do pracy?

Wszyscy potrząsnęli głowami, unikając jej wzroku, kiedy wchodziła po schodach i szła do kuchni.

- Nie wiem, jak wy, ale ja jestem gotowa zacząć.

Włożyła fartuszek i układała miseczki i przepisy, patelnie i inne potrzebne naczynia, kiedy weszła Delia.

Max podniosła do góry fartuszek.

- Znowu bawisz się w stylistkę?

Delia kiwnęła potakująco i schwyciła rzucony jej fartuch w locie.

-Jeżeli chcesz wiedzieć, naprawdę dobrze się bawię. Bardziej, niż kiedykolwiek, gdy zajmowałam się rachunkami i księgami.

-Ja zacznę piec naleśniki, a ty zajmij się biskwitami. -Max rozłożyła menu i przymocowała je magnesem do lodówki. - To mi brzmi, jak czas na zmianę zawodu.

-Być może. - Delia sięgnęła pod stół kuchenny i wyciągnęła komplet narzędzi Max. - Powiem o tym później Peterowi.

Max zerknęła na nią, wyjmując z szafki mąkę i proszek do pieczenia.

- Poza faktem, że jest zwierzęciem, jak było zeszłej nocy?

- Interesująco - powiedziała. - Kiedy odeszłaś, każdy patrzył na mnie, jakbym była tą „drugą kobietą”.

Max roześmiała się.

- Założę się, że byłaś zachwycona.

Delia z namysłem skinęła głową.

- Przez jakiś czas. „Femme fatale” to było zawsze moje marzenie. Ale potem przyszedł Cy, kupił Peterowi i mnie drinka, a my powiedzieliśmy mu prawdę.

- Prawdę - powtórzyła Max. - To interesujące pojęcie dla Cy. - Odmierzyła mąkę do miseczki, myśląc, jak to dobrze, że nie poszła do niego, by opowiedzieć wszystko od siebie. - Wy oboje przedstawiliście się jako para, rozumiem.

- Wiele rozmawialiśmy tej nocy. - Skrzywiła się w kierunku Max. - Był dżentelmenem, zanim stał się zwierzęciem.

To było podobne do Petera, ale Max zatrzymała tę uwagę dla siebie. Delia ciągnęła:

- Nie mamy zamiaru się spieszyć, niech sprawy same potoczą się po swojemu. Ale zaprosił mnie do swojej rodziny w następny weekend. Jak myślisz, co to znaczy?

Max w twarzy Delii widziała wszystko: nadzieję, pragnienie, to, co ona odepchnęła od siebie w sprawie Sama.

- Myślę, że to znaczy, że twoje siostry będą druhnami.

Delia zaśmiała się.

- A ty będziesz honorową panną młodą. Ale nie chwalmy dnia przed północą, jak mówią. - Otworzyła zestaw Max i spojrzała. - A więc na początek naleśniki i biskwity.

Max patrzyła, jak Delia sięga do pudełka i wyciąga igły do zastrzyków, lakier do włosów, miękkie butelki plastikowe.

-Czekaj. Odłóż to wszystko. Powiem Peterowi, że pstrykniemy tylko zdjęcia stołu, bez zbliżeń. Wtedy nie będzie trzeba dotykać jedzenia żadną z tych rzeczy.

- A co z dodatkiem proszku do pieczenia do naleśników?

Max spojrzała na stojącą przed nią miseczkę.

- Uradujemy strasznie Ewę, jeśli potem zjemy to wszystko. Ja też się ucieszę, bo uwielbiam naleśniki. - Podeszła do lodówki po jajka. - Czy wiesz, że to będzie pierwsze uczciwe zdjęcie reklamowe, jakie zrobiłam?

- Uczciwość w reklamie... Kolejny niezwykły pomysł. - Delia odłożyła narzędzia z powrotem do torby i odłożyła ją na podłogę. - A... mówiąc o uczciwości, dla czego wróciłaś tak wcześnie? - Przyjrzała jej się, wstając. - Powinam cię ostrzec: spędziłam wiele czasu z lamami. Znam prawdę.

Max musiała się uśmiechnąć. Delia zawsze przecież znała prawdę.

- Powiedzmy, że nie musisz się na razie martwić o mój ślubny bukiet.

Delia zdjęła książkę kucharską z półki i otworzyła ją na zaznaczonej stronie.

-Czy w ogóle się z nim zobaczysz?

-Mało prawdopodobne. - Max wbiła jajko do miseczki i poszła do lodówki po mleko. - Nie teraz, kiedy odrzuciłam wszystkie jego propozycje.

-Jakie propozycje?

-Powiedział, że mógłby już dzisiaj wystawić bar na sprzedaż, gdybym go o to poprosiła. - Max odmierzyła filiżankę mleka i wlała je do miseczki. - Oczywiście mógł to całkiem bezpiecznie zaproponować,

bo przecież nigdy bym tego nie zrobiła.

- Uważasz, że proponował ci to dlatego, że wiedział, że się nie zgodzisz?

- Nie, to było szczere. - Westchnęła i poszukała mieszadełka. - On też spędził jakiś czas z lamą.

Delia strzepnęła mąkę z nosa Max.

- Muszę ci powiedzieć, że nic z tego nie wydaje mi się sensowne. Zrywasz plany ślubu z Peterem, żeby pójść i odszukać Sama; a potem odrzucasz wszelką szansę, żeby z nim być. - Pokręciła głową, wsypując mąkę do filiżanki. - Musiałam tu coś gdzieś pominąć.

- To skomplikowane - zauważyła Max i wyjrzała na podwórze, gdzie zobaczyła Ewę i jednego z chłopców Jenkinsa, jak wyciąga kangurki z kojca, by je umieścić w nowej sypialni w stajni. - To po prostu część życia w Peacock Manor.

- Z mojego punktu widzenia to wygląda raczej prosto. Znowu pozwoliłaś, by Gwen wygrała.

Ręka Max zatrzymała się w pół drogi do butelki z olejem kukurydzianym.

- Co to ma oznaczać?

Delia wytrzepała torbę po mące.

- To znaczy, że ubrdałaś sobie, że gdybyś tylko do strzegła coś w Gwen, jakąś wskazówkę, że ona nie jest taka, jak wszyscy myśleli, twój brat żyłby do dzisiaj. Ale nawet, jeżeli wyczułaś jakieś złe wibracje ze strony tej dziewczyny, to z tego, co słyszałam o Brianie, tak czy owak nie słuchałby wcale, prawda?

Max westchnęła i przerwała ubijanie ciasta na naleśniki. Wyglądała przez okno, oczyma duszy widząc Briana: zrzuconego przez konia, spadającego z drzewa i omal nie porażonego prądem na dachu stodoły, tylko dlatego, że sam chciał wszystko sprawdzić - trudna droga do

prawdy.

Max zamknęła oczy i oparła dłonie o próg.

-Masz rację. To był uparty typ.

-I gdybyś mu powiedziała, że z Gwen jest coś nie tak, odwróciłby się od ciebie tak, jak odwrócił się od Sama i poszedł za nią, tak czy owak.

-Ale przynajmniej można by znaleźć sens w tym, co się wydarzyło.

-Może i teraz można by, gdyby ktoś porozmawiał o tym z Gwen.

-Próbowałam. Lata temu - przypomniała Max. - Ale nigdy nie mogłam jej znaleźć. Jakby zniknęła z powierzchni ziemi.

-No, ale teraz wiesz, gdzie ona jest, prawda? Dlaczego nie pójdziesz do niej i nie zapytasz?

Max potrząsnęła przecząco głową i cofnęła się od okna.

-Nie mogę. Nie obchodzi mnie to.

-Wiem, że Ewa z rozkoszą poszłaby do niej i nagadała solidnie, ale ona też „nie może”. I oczywiście nie zrobi tego, teraz także dlatego, że nie może ryzykować zrobienia czegoś przeciw tobie. Oto, jak Gwen trzyma całą waszą rodzinę w szachu.

Max zwróciła się do Delii.

-Nie wiem, o czym mówisz.

-Nie? To jak to jest, że mężczyzna będący o mniej niż 15 kilometrów stąd, który cię kocha, chce zrobić wszystko, żeby tylko być z tobą, a ty wolisz wrócić do Nowego Jorku i żyć samotnie? Chcesz odrzucić jedyną rzecz, o którą najtrudniej, bo nie chcesz iść i dowiedzieć się tego, co powinnaś, od Gwen. - Z niesmakiem potrząsnęła głową. - Co znaczy, że tamta znowu zwyciężyła. Zniszczyła szczęście Briana, twoje

Sama. Nie kiwnąwszy palcem. Trzy na trzy trafione. Całkiem nieźle.

Max patrzyła przez okno na stodołę, na padok, na pola i góry, na te wszystkie miejsca, gdzie bywała Gwen. I ujrzała swoje życie rozciągnięte pomiędzy nimi, ubogie i pokrecone jak stary korzeń drzewa, dlatego że nie odważyła się skorzystać z okazji oczyszczenia wspomnień, ani bólu, ani winy, z którymi żyła już od tak dawna.

I oto zobaczyła Sama, mężczyznę, którego kochała, wyłaniającego się z ciemnego, bardzo długiego tunelu. Kiedy spojrzała bliżej, zorientowała się, że ten tunel nie był w końcu wcale taki ciemny. Na jego końcu stał dom i pełne, bogate życie. Ale tylko, jeżeli to zrobi - zobaczy się z Gwen.

Rozwiązała fartuszek i ściągnęła go przez głowę.

- Niedługo będę z powrotem. - Schwyciła torebkę i skierowała się do drzwi. - Mam jeszcze kilka mostów do spalenia.

Max nie musiała sobie przypominać, gdzie mieszka Gwen. Nawet nie potrzebowała wskazówek. Connorowie zaczęli wynajmować domki turystom mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rodzina Max otworzyła pensjonat - każdy robił coś, co trzeba było, żeby utrzymać rodzinną farmę. Kiedy wyszła na podjazd, nie zazdrościła im, że wynajmowali Gwen: chciała po prostu wiedzieć, który domek jej dali.

Pani Connor zjawiała się przed drzwiami domu, kiedy samochód Max podjechał bliżej, jakby oczekiwała jeszcze jednego gościa. Była jedną z niewielu kobiet, które nie przyszły na ślubne przyjęcie Max i kiedy dziewczyna dostrzegła, że twarz jej się wydłuża, wydało jej się,

że wie, dlaczego. Wystawiła zatem głowę przez okienko i pomachała do niej.

- Hallo, pani Connor - zawołała. - Dzień dobry!

Pani Connor posłała jej niepewny, niewyraźny uśmiech, kiedy obie podeszły do furtki.

- Maxine, przepraszam, ale dziewczyna musiała mieć jakieś miejsce do zamieszkania, a to jest...

Max uśmiechnęła się i uniosła rękę.

- Proszę się nie tłumaczyć. To biznes, wszystko jest w porządku.

- Cieszę się, że rozumiesz. - Wskazała rząd domków poza parkingiem. - To, czego szukasz, to domek z numerem trzy. - Zniżyła głos i przyłożyła dłoń do ust. - Te nowsze zachowałam dla innych gości.

Max roześmiała się.

- Doceniam to - rzekła i poszła przez parking w prawo od podjazdu.

Huśtając torebką na ramieniu, uśmiechnęła się do pani Connor i poszła ścieżką do domku z numerem trzecim.

Uznała, że jest przygotowana. Przepowiadała sobie nawet głośno swoją przemowę w samochodzie, jadąc tutaj, wzbudzając w sobie prawdziwy, gorący gniew, zanim zjechała na boczną drogę. Ale kiedy kobieta na ganku tego maleńkiego domku wstała i zwróciła się ku niej, Max przekonała się, że wcale nie jest przygotowana.

Włosy dziewczyny były, jak dawniej, ogniście rude, ciało zgrabne i wdzięczne. W kącikach oczu zjawilo się parę cienkich kreseczek, ale Gwen zawsze bardzo lubiła się śmiać. A jej spojrzenie było tak samo czyste i wyraźne, jak zawsze, jakby nie miała w ogóle niczego do ukrycia.

Patrzyły na siebie poprzez balustradę, a w głowie Max wirowały wszystkie pytania, które od tak dawna wymagały odpowiedzi. Ale to

Gwen odezwała się pierwsza.

- Cieszę się, że przyszłaś - powiedziała i sięgnęła po krzesło na ganku. - Czemu nie usiądziesz? Właśnie zrobiłam mrożoną herbatę. I mamy sobie dużo do powiedzenia.

Max zwlekała, nie chcąc siadać i pić herbaty, ani w żaden inny sposób sugerować, że przyszła tu, by „cerować, co się rozpruło”.

- Chcę od ciebie tylko jednego.

Gwen kiwnęła głową i opuściła ramiona.

-Chcesz wiedzieć, gdzie byłam tej nocy, kiedy mieliśmy oboje z Brianem uciec i pobrać się.

-To dobry początek - powiedziała Max i skrzyżowała ręce na piersiach; serce jej biło tak mocno i boleśnie, że trudno jej było oddychać, a nawet stać. Ale nie miała zamiaru siadać obok Gwen.

Gwen patrzyła na nią, wargi miała mocno zaciśnięte, jakby walczyła ze sobą, powstrzymując siłą słowa, cisnące się na usta.

- Choćby to było dla ciebie trudne do zrozumienia, wiedz: siedziałam wtedy w moim pokoju w Waszyngtonie, z rozdartym sercem, bo Brian mnie nie chciał.

Max podniosła rękę.

-To po prostu śmieszne, i wiesz o tym.

-Teraz wiem, ale wtedy... - odwróciła się, potrząsając głową. - wtedy byłam młodziutka i głupia, a mój ojciec potrafił być bardzo przekonujący.

Max przypomniała sobie ojca Gwen na stacji benzynowej, tak pewnego siebie, tak przytłaczającego. Potrafił sprawić, że wszyscy oprócz Briana uwierzyli w to, co mówił o Gwen.

- Nie mam pojęcia, jak dowiedział się o naszych planach. - Gwen zaśmiała się krótkim, niewesołym śmiechem i przypatrywała się wła-

snym ręką. - Przypuszczam, że sądziliśmy, że zacieramy ślady bardzo dobrze, bardzo dokładnie. A tymczasem on wiedział o wszystkim. Gdzie się spotykamy, dokąd się wybieramy, tak, jakby był tam, gdzie omawialiśmy nasze plany. A kiedy spytał mnie, czy wiem, skąd dowiadywał się o tym wszystkim, nie odpowiedziałam. Wtedy powiedział, że to Brian mówił mu o tym. Że przyszedł do niego, wyłożył wszystko, a w końcu wyznał mojemu ojcu, że nie mógłby się zdobyć na taki krok. Max zachnęła się, wściekła.

- I ty mu uwierzyłaś?

Gwen popatrzyła na nią.

- Był moim ojcem. Nigdy w życiu mi nie skłamał. Dlaczego miałabym sądzić, że tym razem mówił nieprawdę?

- Brian przecież cię kochał!

- A ja kochałam jego - odrzuciła Gwen. - Ale powiedział ojcu, że to nie wystarczy. Powiedział, że powinnam pójść na uczelnię, skończyć prawo, zrobić to wszystko, co planowałam przed poznaniem go. - Jęknęła i odeszła o kilka kroków od balustrady. - To brzmiało bardzo prawdopodobnie; Brian właśnie tak zwykle mówił. Czuł się bardzo winny, że wszystkie te plany odrzuciłam i mam zamiar ugrzęznąć z nim na farmie z krowami i owcami. Tak, jak gdybym nie kochała tej farmy naprawdę, tak jak on! I jakbym nie wiedziała właściwie, czego chcę. - Znowu spojrzała w stronę Max. - Uwierzyłam ojcu, bo znałam Briana. Wiedziałam, że mógłby uznać swoje postępowanie za słuszne, za szlachetne. Że po prostu nie potrafił spojrzeć mi prosto w oczy i powiedzieć, że powinnam odejść. - Zamknęła oczy i odwróciła się. - Więc wyjechałam. Wróciłam do domu i spakowałam się, żeby pojechać na

uczelnię. I ciągle myślałam, że Brian zadzwoni, albo napisze do mnie. Setki razy nakręcałam wasz numer i zaraz odkładałam słuchawkę: byłam zraniona i dumna, uważałam, że to Brian powinien zadzwonić pierwszy. - Westchnęła i spojrzała w niebo. - Nie wiedziałam, że już wtedy nie żył.

Max zamrugała oczami, kilka gorących łez spłynęło po jej policzkach. Weszła na ganek.

- Ojciec nie powiedział ci nic o wypadku?

- Jak mógłby? - spytała Gwen, a Max dostrzegła, jak lojalność walczy w niej jeszcze po tylu latach. - Gdyby powiedział mi, co się wydarzyło, dowiedziałabym się o jego kłamstwie. - Zwróciła się do Max. - Nie miał zamiaru zabić Briana. Zrobił po prostu to, co uważał dla mnie za najlepsze, bo byłam młoda i romantyczna. - Opuściła głowę. - Nosił w sobie tę winę przez dziesięć lat. - Wystarczająco długo, żebym mogła zostać prawnikiem, wyjść za niewłaściwego mężczyznę i skończyć jako osoba nieszczęśliwa, wypalona i rozwiedziona.

Max postawiła stopę na najniższym stopniu schodków, zdając sobie już sprawę, że nie spotka się tu z żadnym zagrożeniem, żadnym demone. A kiedy Gwen spojrzała na nią, Max nie dostrzegła w jej oczach fałszu ani chytryści, niczego, co mogłoby w niej obudzić wątpliwości, czy to prawda, co usłyszała. To była po prostu Gwen, rudowłosa, z piegami na nosku... Max pamiętała dobrze, dlaczego Brian tak bardzo ją kochał.

- A więc wróciłaś - stwierdziła, wchodząc na ostatni schodek.

Gwen potaknęła i odwróciła głowę, a jej wzrok błędził gdzieś daleko, po górach, po dolinach...

- Tylko na lato. Miałam w planie załatwić wszystko to, co powinienam, kiedy tu przyjechałam. - Odwróciła się, kiedy Max podeszła do

niej. - Możesz mi wierzyć, lub nie, ale rozmowa z tobą i z Ewą były na pierwszym miejscu, tyle że nie mogłam się na to zdobyć. - Posłała Max słaby uśmiech. - Doskonale wyglądasz, trzeba powiedzieć. Masz piękne włosy.

Max uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Ty też - odparła, a napięcie między nimi znikło zupełnie, kiedy opadła na jedno z krzesel.

Gwen przysiadła na krześle obok niej i wystawiła twarz do słońca.

- Więc byłaś tu przez te wszystkie lata?

Max potrząsnęła głową, orientując się, że Gwen wie o niej równie niewiele, jak inni. Sam powiedział, że ludzie nie ułatwią jej życia i teraz to widziała.

- Przyjechałam z powrotem bardzo niedawno. Gwen skinęła głową.

- Na jak długo przyjechałaś? Max spojrzała na swoje ręce.

- Nie jestem pewna. Mam jeszcze kilka rzeczy do załatwienia. -

Poczuła, jak uśmiech rozciąga jej wargi i spojrzała na Gwen. - Zawsze pijesz piwo z wódką?

Słońce zaczęło układać się do snu za szczytami gór, kiedy Sam wszedł do baru. Przy stolikach było pełno gości, obsługa uwijała się i ludzie pytali, o której zaczną się tańce.

Nic innego, tylko przyjęcie Max zrobiło mu reklamę. Wieści o dobrej zabawie u Sama rozeszły się prawie tak szybko, jak plotki o zerwaniu jej zaręczyn. Zauważył to po zaciekawionych spojrzeniach, rzuconych na niego, kiedy wchodził do Cy's, gdzie wszyscy już wiedzieli, że on ma z tym coś wspólnego. I choć on sam nie był zupełnie pewien, co się stało, nie wątpił, że któregoś dnia usłyszy prawdziwą wersję wydarzeń. Taką, którą będzie łatwiej zaakceptować, niż fakt, że Max miała rację. Czasami miłość nie wystarczy.

Nie musiał zamykać oczu, by ją zobaczyć, czuć jej dotknięcie. Była stale obecna w jego myślach, była wszystkim, czego pragnął i tym, czego nie mógł mieć. A w pierwszej wolnej chwili miał zamiar spróbować zamrozić serce - i tym razem zamrozi je bardzo mocno.

Równocześnie planował w duchu, czy zaangażować do baru więcej ludzi, ile będzie kosztowało zainstalowanie przyzwoitego nagłośnienia i jak będzie musiał oszczędzać na kupno stałego parkietu. Nie było tego we wstępnych planach, ale Sam ostatnio stał się bardziej elastyczny.

Odwrócił się i już miał wejść z powrotem, kiedy zatrzymał się w progu. Nie wiedział, co kazało mu się zatrzymać, spojrzeć za siebie. Nie usłyszał żadnego hałasu, nie dostrzegł niczego kątem oka. Po prostu jakiś szósty zmysł, coś sprawiło, że spojrzął w stronę magazynu i dostrzegł przejeżdżający biały samochód. Samochód był zwyczajny, nie różnił się niczym od innych wozów, jeżdżących po mieście. Ale gdy skręcił w prawo i pojechał wzdłuż Center Street, Sam był pewien, że to Max. Nie wiedział tylko, dlaczego była jeszcze w mieście. I dlaczego, u diabła, pojechała w kierunku mostu.

- Jeżeli nie masz co robić, z przyjemnością coś ci znajdę.

Sam odwrócił się i ujrzał Bena, który patrzył na niego spode łba stojąc w progu wejściowych drzwi. Spojrzenie Bena nie było niczym nowym. Od rana miał taką minę. A kiedy wreszcie chciał o tym porozmawiać, Sam był przekonany, że źródłem zmartwienia Bena była Ewa.

Teraz jednak nie miał czasu na rozmowy, ani na „Tap Room”; podniósł rękę i puścił się kłusem.

-Przepraszam, Ben, ale musisz jeszcze trochę poczekać.

-Dokąd się tak spieszysz?

-Na most! - zawołał przez ramię. I pobiegł, widząc, że na szosie zaczyna się już duży ruch.

Samochody stały w korku aż do szczytu pagórka, kiedy dotarł do ostatniego zakrętu. Serce waliło mu bardziej ze zdenerwowania, niż ze zmęczenia. Ale gdy pobiegł szybko pod górę, zrozumiał, że przyczyną nie jest Max. Czarna furgonetka leżała na dachu na moście, otoczona tłumem ludzi, zbierających śpiwory i walizki, rozsypane na drodze.

Oparł ręce na kolanach i spróbował uspokoić oddech, patrząc, co działo się poza furgonetką, zastanawiając się, czy Max przejechała już

na drugą stronę, czy po tych wszystkich latach znalazła się wreszcie po tamtej stronie mostu. I wtedy dostrzegł jej auto. Zaparkowała na poboczu, jeszcze po tej stronie.

Wyprostował się, otarł wierzchem dłoni czoło, dając sobie trochę czasu na podjęcie decyzji, co robić. Gdyby potrzebowała jego lub jego pomocy, podeszłaby. Ale nie robiła tego - i gdyby ktoś spytał go, co trzeba mądrego zrobić w takiej sytuacji, pewnie powiedziałby: zostawić ją w spokoju. Wrócić do baru.

Sam nie był jednak bardzo dobry w postępowaniu zgodnie z radami, zwłaszcza swoimi własnymi. Przeszedł więc przez jezdnię, mówiąc sobie, że robi to tylko dlatego, że akurat był w pobliżu. I że nie ma to nic wspólnego z tym, że chciał zobaczyć ją jeszcze raz.

Zanim podszedł do drzwiczek od strony kierowcy, zorientował się, że nie ma jej w samochodzie. Stał na poboczu, rozglądając się, starając się wyobrazić sobie, gdzie mogłaby być, kiedy podszedł do niego chłopak z wędką.

- Jeżeli szuka pan tej pani, która wysiadła z samochodu, to poszła tam - powiedział i wskazał pod most.

Sam podziękował; serce biło mu znowu bardzo mocno, chociaż tym razem nie biegł, tylko szedł. Schodził w dół ścieżką przy brzegu mostu, która prowadziła na placyk ze stołami do pikników - i do skał, o które rozbił się samochód Briana.

W duchu nie wierzył, że ona mogłaby tam być. Uważał, że dzieciak się pomylił, że poszła chyba z powrotem do miasta, zostawiając samochód do czasu, kiedy korek się rozładuje, a ona będzie mogła spokojnie zawrócić i pojechać do domu. Był więc zaskoczony, kiedy zobaczył, że Max siedzi na trawie, wpatrzona w rzekę, jakby wszystko na świecie było w całkowitym porządku.

Nie zawołał jej. Nie zrobił kroku w jej kierunku. Niemniej odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy, jakby wyczuła, że tam stoi i patrzy na nią. A kiedy się uśmiechnęła, serce mu po prostu stanęło, bo to, co zobaczył, nie mogło być bardziej prawdziwe niż to, że siedziała tutaj. I gdyby nie wstała i nie podbiegła do niego, musiałby spotkać się z kimś tego ranka. Bo potem będzie potrzebował poważnej pomocy.

Zatrzymała się w biegu i ostatnie kilka kroków przeszła coraz wolniejszym krokiem, aż zatrzymała się blisko, niemal w zasięgu jego ręki. Przekrzywiła głowę na bok, cały czas wpatrzona w niego, z rękami założonymi w tył, jakby w obawie, że zrobią one coś same, wbrew jej woli.

- Wiem, że nie zjedliśmy śniadania - powiedziała – ale siedziałam tu i myślałam właśnie, że moglibyśmy zjeść kolację... albo kanapkę. Mam ochotę na sałatkę z drobiu. Z piklami. I piwo. - Stojąc, spojrzała na swoje pantofle, potem podniosła wzrok na niego, a oczy miała szeroko otwarte i jakby zbyt jasne. - A może jest już za późno?

Potrząsnął głową.

- Jesteś dokładnie na czas.

I nagle znalazła się przed nim, objęła ramionami, pociągnęła go za sobą w dół i jej gorące, słodkie usta przywróciły mu życie, gdy całowali się na polance, z samochodami tkwiącymi ponad nimi w korku i rzeką płynącą obok, tak że całe miasto mogłoby ich zobaczyć - gdyby patrzyło.

Całował ją także, mówiąc, że może pójść z nim na kolację albo na zawsze, może z nim zrobić, co zechce. Ale ona odsunęła się, chcąc coś jeszcze powiedzieć. Opadł na trawę i trzymał ją za rękę, wyobrażając sobie, jak to zaraz pójdą razem jeść.

Rzuciła torebkę obok niego i usiadła.

- Byłam u Gwen.

Pochylił głowę.

-I...?

- To było interesujące. Wygląda na to, że jej ojciec tamtego lata zdołał zrobić z nas wszystkich głupków, włącznie z Gwen. - Odwróciła się i spojrzała na drugi brzeg rzeki. - To długa historia, opowiem ci ją później. - Rzuciła mu uśmiech. - U Cy's.

Skinął głową.

-To będzie naprawdę jego dobry rok.

-To samo pomyślałam. - Uniosła kolana i oplotła je ramionami. - Myślałam też o tym, co powiedziałaś. O tym, żeby tu zostać, otworzyć kawiarnię. Żebyśmy się pobrali...

Skinął głową z najwyższym trudem, powtarzając sobie w duchu, że zawsze był cierpliwym mężczyzną. -I...?

-I... jeżeli oferta jest nadal aktualna - odwróciła głowę z nieco krzywym uśmieszkiem - chciałabym namówić cię na „raz - dwa”.

-Jakie „dwa”?

-„Raz - dwa - trzy!” - powiedziała, a jej uśmiech rozszerzył się, kiedy próbowała przypomnieć sobie rozkaz. - Chcę tu zostać - wyjaśniła. - I chcę wyjść za męż.

Pociągnął ją za sobą na trawę i przytulił.

-Nie chcesz kawiarni?

-Ależ tak - powiedziała. A jej uśmiech stał się zdecydowanie złośliwy, kiedy objęła palcami jego szyję i pociągnęła za sobą na ziemię. - Ale nie z tobą.

Odchylił jej głowę do tyłu.

-Nie chcesz mojej jadalni?

-Nie - odparła, roześmiała się i szybko ucałowała jego wargi. -

Mówiłam ci już - żadnych partnerów. A poza tym potrzebujesz tego miejsca na bar. Mam wrażenie, że parkiet powinien być zainstalowany na stałe.

Pochylił się nad nią tak blisko, że czuł jej oddech na swoich wargach.

- Chyba masz rację.

- No i... Michael i ja nigdy nie zgodzilibyśmy się w kuchni. A kto będzie drażnić Bena, gdyby on odszedł?

- Znowu masz rację - szepnął i już miał zamiar przypieczętować umowę, kiedy Max wymknęła mu się starając się zachować dystans.

- Kocham cię, Sam. Wiesz o tym, prawda?

Musiał uśmiechnąć się, taki poważny miała wyraz twarzy.

- Chyba tak.

- I nic nie zrobię byle jak, ot tak, dlatego że księżyc się uśmiecha, albo z jakichś podobnych powodów.

Skinął, nie mając pojęcia, o czym ona mówi, ale pewny, że później mu to wytłumaczy.

- Jestem tutaj, bo nie wyobrażam sobie, żebym mogła być gdzie indziej. I nie wyobrażam sobie, że mogłabym być szczęśliwa bez ciebie.

- Ani ja - odparł i już układał się na ziemi, by raz na zawsze skończyć tę rozmowę, kiedy po jego lewej stronie pojawiła się para wysokich butów. Znanych butów. Butów znanych w „Tap Room”.

Zerknął w górę i ujrzał Bena, stojącego tam, z ponurą miną. Sam miał tylko nadzieję, że tak nie będzie już na zawsze.

- No cóż, oboje wydajecie się bardzo zadowoleni - powiedział, krzyżując ręce na piersiach, kiedy podnosili się z trawy. Potem spojrzał ponuro na Max. - Wystraszyłaś mnie. Swoją matkę też.

- Rozmawiałaś z Ewą?
- Dzwoniła do baru. Odebrałem telefon. Max potrząsnęła głową.
- Dzwoniła do baru - szukając mnie?
- Nie, szukała mnie. - Zaszurał nogami. Naciągnął czapkę niżej na oczy. - I znalazła.

Oboje, Max i Sam podeszli bliżej. -I...?

- I nic. Powiedziałem jej, że poszłaś w kierunku mostu, a ona zaczęła płakać. Powiedziała coś o tym, że byłaś u Gwen i że ma nadzieję, że wszystko jest w porządku... - przerwał i spojrzał na rzekę. - Nienawidzę, kiedy ona płacze.

Max schyliła się i podniosła torebkę.

- No i co masz zamiar z tym zrobić?
- Nic - parsknął i odwrócił się do Sama. - A co tu się dzieje?
- Pobieramy się - odparł Sam, przyciągając Max do siebie.
- Pobieracie? - twarz Bena wypogodziła się. - Cóż, to bardzo dobrze.
- Spojrzał na Max. - Twoja matka nic jeszcze nie wie, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Nie, jeszcze nie. Zadzwoń do niej z baru. A kiedy usłyszysz, prawdopodobnie się rozpłacze.

Ben kiwnął głową.

- Nie będzie wtedy sama. Sam uśmiechnął się.
- To pewnie byłoby najlepsze.

Max otworzyła torebkę i szperała w niej.

- Mogłabym poczekać z tym telefonem, aż tam dotrzesz.

Ben patrzył na nią.

- To nie zajmie mi więcej, niż dwadzieścia minut. Piętnaście - jeżeli się pospieszę.

- No, tyle mogę poczekać - powiedziała i wyciągnęła z torebki talizman. Był gładki i gorący, złote nitki lśniły w ostatnich promieniach słońca. A Max wiedziała, że gdzieś tam, daleko - uśmiecha się księżyc.

Wzięła rękę Bena i położyła mu talizman na dłoni.

- Kiedy zobaczysz Ewę, daj jej to. - Westchnęła, przyciągając do siebie bliżej Sama. - I powiedz jej, że przysłała cię Ilona.

RS